

# Stara baśń, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# *Stara baśń*

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

# TOM III

## I

Na spustoszonej grodzie Chwostkowym zwołano wielki wiec kmieci o następnego miesiąca<sup>1</sup> pełni.

Trzema jednak dniami wprzód, gdy księżycowej twarzy wiele jeszcze brakowało, by pełną była, starszyzna już się po dworach i zagrodach zbierać, radzić i wadzić zaczęła. Wszystko zapowiadało, że na tym zgłiszczu, co tyle okropności widziało, i wiec spokojnie nie przejdzie.

Ścibor do swoich jadąc, stanął po drodze u Piastunowego dworka, chcąc go też z sobą na radę powołać.

— Jam się tam wam do niej nie przydał — odpowiedział mu syn Koszyczków — a wołę moje barcie podpatrzeć... Moźniejsi niechaj stanowią, jam ubogi człek i przodować nie chcę, bo się na siłach nie czuję... Nie nawykłem do tego, a rozkazywać nie umiem, ino pszczołom moim, które słuchają mnie... i czeladzi, która sprzeczną nie jest. Życzę wam tylko, abyście poczynali w dobry czas, a pośpieszali z wyborem wodza... Niemców tylko co nie widać, gdy zwietrzą, że wódza nam braknie... Stójmyż z sobą po bratersku za jedno... Ja, co mi nakażecie, zrobię, a co robić trzeba, to wy lepiej wiecie...

Ścibor się mu uśmiechnął, potrząsając głową.

— Waszego by to nam bartniczego rozumu potrzeba, miły ojcze — rzekł — bo się u nas nie na pogodę, ale na straszny wicher zanosi. Leszków krwi, pomniejszego drobiazgu, zostało dużo, a naszych też kmieci, witeziów<sup>2</sup> wiele takich, którzy by radzi na gród się dostać chcieli i kneziować... Nie pójdzie nam łatwo...

Westchnęli oba; ale stary gospodarz przy swoim stał, aby raczej do pszczoł iść niż do ludzi. Żegnali się więc u wrót, a Piastun na plecy kobiałkę wzięwszy, do lasu co prędzej uszedł i drudzy jadący na wiec mimo zagrody, co później o niego u czeladzi i niewiast pytali, dowiedzieli się tylko, iż go dawno doma już nie było.

Ciągnęli kmiecie ze wszech stron nad Gopło, jechali i Leszki ponuro patrząc, ze strachem w sercach, ale nie chcąc ustąpić. Myśleli może, iż gdy się na innych nie zgodzą ludzie, do nich powrócą. Spotykano się po drodze milcząc i nieufnie oczyma mierzono.

Miejsce na wiec pono<sup>3</sup> takie wybrane było, ażeby nagłość sprawy przypominało.

Świeże gruz, żuźle ledwie ostygłe, sterczące z nich belki czarne, krwią jeszcze niewsiątkłą ociekła ziemia, opustoszała wieża, z której trupy pozrzucono do jeziora, pozakopywano i popalono, aby powietrza nie psuły; wszystko to napominało, ażeby wódza nowego niebawem obierać, bo pomsta za Pepełką nadciągała.

Roilo się już przybywającymi kmieciami, żupany, władykami dokoła, a coraz to nowi jeszcze przybywali. Jedni stali z końmi czekając, rychło się co pocznie, drudzy popuszczawszy je na paszę, pokładli się na ziemię, inni chodzili od kupy do kupy rozwiadując się i dostając języka.

Wszystkim było jawne, że te Myszki, które Chwostka zjadły, będą górą, ale nie wszyscy za nimi i z nimi trzymali.

— Choć to czysta kmiecia krew nasza — mówili — ano za łeb by nas wzięli pewnie jak tamten, któregośmy pozbyli.

W gromadzie znajdował się i uzdrowiony już Doman, i Ludek Wiszów syn, i innych wielu, nawet z kończyn ziemi i z puszczy a lasów, upatrywano tylko Piastuna próżno.

— Ten by się nam tu zdał — mówiło wielu — człek prosty, a rozum ma zdrowy, bystrzej widzi, choć mówi niewiele i nie trzyma z nikim, tylko dla gromady dobra pragnie...

Pytano o niego. Ścibor rzekł.

— Do pszczoł poszedł...

Już się miało ku południowi, a ludzie się ściągali powoli; niektórym pilno było już poczynać bardzo, zaczęli kołem siadać wszyscy i najstarszych wołano, aby zagajali.

<sup>1</sup>miesiąc (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>witeż — rycerz, pan feudalny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>pono — podobno. [przypis edytorski]

Najsędziwszy wiekiem był Żuła, z rodu Jaksów, kmieć bogaty, daleko w lasach mieszkający, który spokój lubił, a do obrad i wieców nie był nawykły. Za srogięgo i okrutnika go miano, lecz sprawiedliwym też był, gdy sędzić przyszło. Musnął się starzec po wąsach i brodzie, a rzekł krótko, brwi namarszczywszy:

— Wybierajmy, a rychło... w domu każdy ma co czynić. Chciało się wam pana odmienić, próbujcie szczęścia... Nie mam ja co rzec, krom tego, że tu już widzę kneziów siłą, choć i jednego nie mamy... o posłuszną gromadę trudniej będzie... Czemu bym i ja kneziem nie miał być?...

Myszkowie, jak inne rody, siedzieli kupą przy sobie, całe też zgromadzenie mirami i rodzinami się rozłożyło. Myszków było przecie pono najwięcej i najgłośniejszymi. Na nich się też oczów najwięcej zwracało.

Każdy ród chciałby był ze swoich knezia dać. Najmożniejsi, równymi się Myszkom czując, cisnęli się też naprzód.

Ze krwi Leszków zeszło się także dosyć i stali z kmieciami na równi w prawie, nie chcąc im ustąpić. Na tych koso patrzano. Przybył też milczący stary Miłosz z oślepionym Leszkim, którego przy sobie trzymał, na nim się opierając, jakby okazać chciał, że drogo za swą krew zapłacił. Z nim trzymali Bumiry i wielu innych.

Gromadami też siedziały rody Jaksów, Kaniów, Porajów, Starzów, Wizimirów i innych mnogo. Patrzyli ku sobie wszyscy, oczyma mówić się zdając:

— Tacyśmy dobrzy jako i wy.

Szeptano między sobą naradzając się.

— Myszka wybrać — rzekł jeden z ich drużyny — Myszka z krwawą szyją. Przecie już dowód dał, że wodzić umie... a nam witezia trzeba i wodza...

— Hej ! hej ! — przerwał drugi — czemu nie jednego z Kaniów, ci też oszczepem dobrze władną, a nam też i możnego trzeba, abyśmy nań składać się i zsypywać nie potrzebowali...

— To i Wiszów ród zamożny — mówił trzeci — a Wisz stary pierwszy życiem za wiec zwołany opłacił.

Wszczynała się już wrzawa, zgody nie było, zaczęli wołać za sobą Leszkowie, podstawując swoich jednego.

— Leszków mieliśmy już dosyć! — krzyczeń zaczęto — nie chcemy ich! Mścić się będą! Precz z nimi!...

Od słowa do słowa, rody się z sobą w kole ujadać zaczęły; wystąpiły nienawiści odwieczne, zemsty pozapominane, urazy stare. Powstało zamieszanie, a niektórzy już i pięści nastawiali.

Aż gdy do tego przyszło, Ścibor wołać zaczął o opamiętanie, że to wiec jest i że tu nie pięść, ale pocziwe słowo stanowi.

Ochłonęli zwaśnieni, oczyma się już tylko wyzywając i mrużąc.

Ludek, Wiszów syn, choć młody, wystąpił śmiało, po sobie<sup>4</sup> mając pamięć ojca.

— Wieści już chodzą — rzekł — że o losie Chwościska stary ojciec Niemkini i synowie kneziowi wiadomość mają. Ludzie prawią, że w sam dzień ognistych wici synowie jego byli na grodzie, skąd ich w czas matka przez jezioro uprowadziła, aby z odsieczą naspieszała. Do Kaszubów i Pomorców posyłać mieli o posiłki... wtargną z nimi prędko, bo ich długo prosić nie trzeba. Ziemię nam spustoszą, zagrody popalą, nim się my na wodza zbierzemy... A nas by<sup>5</sup> kupa była największa, bez głowy nie poradzimy.

Wtem wystąpił Dobek. Był on żupanem możnym, znali go wszyscy jako dzielnego, przebiegłego i wielkiego serca człowieka. Lat już na świecie przeżył ze czterdzieści, choć tego po nim znać nie było. Siłę miał taką, że niedźwiedzie dusił za szyję wzięwszy, a zamiast dzidy często drzewko wyrwawszy z korzeniem żgał nim jak drugi lekkim oszczepem. Konia dosiadłszy, gdy mu był nieposłuszny, nogami na śmierć ścisnął. Dla ludzi też na razie ostrym bywał, ale do bitwy, napaści i utrzymania ludu w ładzie nie było nad niego... gdyby gorącością nie psuł, co dzielnością dokazał. Znano go i z nienawiści ku Niemcom, bo nad granicą połapawszy niewolnika, zwykł był ich do sochy zaprzęgać i orać nimi.

<sup>4</sup>po sobie — dziś: za sobą. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>by — tu: choćby. [przypis edytorski]

W dybach też u niego różnego stworzenia obcego co niemiara chodziło, które on ze psy razem karmił.

Czasu pokoju wesół był, ochoczy, do słowa łatwy, gdy miłował, serdeczny, nieulek-  
niony niczym, a w potrzebie tym chytrzejszy, że się porywczym wydawał.

Ten Dobek tedy wlaźszy na kupę kamieni, mówić począł.

— Knezia nam trzeba jednego, a swata się ich czterdziestu... za każdego swoja krew bić się gotowa... ustąpić nie chce nikt... Nie nowina to... Wszakci to powiadają u nas dawno, że gdy starszyzną wybierać przychodziło, Leszki aż do słupa biegały, inaczej zgody nie mogąc dopytać... Ano nam nie tyle końskich nóg, co ludzkiej głowy potrzeba... Więc... ano... po staremu... rzućmy na losy... prędzej będzie... nie umieją ludzie, niech wybierają bogowie.

Wszyscy zamilkli, nie w smak to poszło.

— Jak zgody nie będzie — zawołał Myszek Krwawa Szyja — dosyć mamy czasu na losy rzucać... Nie warto od tego poczynać, kiedy wolę swą mamy.

Wstał Doman.

— Czemu nie na losy? — zapytał. — Czasu by się nie marnowało. Pokładnijmy włócznie, każdy swoją, konia białego przyprowadźmy, którą włócznie nogą pierwszą potrąci, czyja będzie, tego bogi chcą.

— Lub na Lednicę pošlijmy, na ostrów święty, sprowadźmy dziewczkę od ognia, połóżmy przed nią czapki rzędem, każdy swą... czyją wybierze, ten nam kneziem będzie... — odezwał się Zgorzelec.

Tu się dopiero swar i gwar wziął okrutny; losów nie chcieli za nic ci, co się pewnego wyboru dla siebie spodziewali. Zgody nie było... a tu i noc już nadchodziła.

Poczęto się ruszać z koła. Jedni po dworach pojechali nazad z niczym, drudzy się na grodzisku porozkładali, inni po okolicy poszli obozować w gajach.

Leszka chcieli jedni, Myszka drudzy, Wisza inni, Dobka wreszcie i z dziesięciu jeszcze stawiono. Byli tacy, co już Dobka znając, okrzykiwać go chcieli, ale sam im usta zamknął.

— Nie chcę! — zawołał. — Wolę słuchać niż rozkazywać... i swobodnym być, niż mieć tysiąc panów. Uciekłbym raczej za kraj świata, niżbym się niewoli tej miał poddać...

Myszkowie, którzy się na pewno spodziewali, że ich jednym okrzykną głosem, odjechali gniewni i zasmuceni. Ale coraz więcej było takich, którzy mówili:

— Nie gorsiśmy od nich... mienia mamy tyleż albo i więcej, ziemi dużo, rodu mnogo... jeżeli im kniażyć, toć i my potrafimy.

I tak porozpraszali się wszyscy nieradzi z siebie, nieradzi z drugich, gniewni, nachmu-rzeni, niecierpliwi.

Wieczorem, gdy Piastun od swoich barci do zagrody powrócił, właśnie Dobek zajeżdżał przed jego wrota i zsiadał przed nimi.

— Ojcie Piastunie — rzekł — woleliście wy do pszczoł iść niż do ludzi, a gdybyście się byli do nas pokwapili, może byście nam z sobą zgodę przynieśli. Pszczoły by sobie bez was radę dały...

— A cóż się tam u was stało? — zapytał stary.

— Nic... słyhać tylko, że Chwostka synowie Kaszubów już na nas i Pomorzan prowadzą... my tymczasem nie im, a sobie pięści pokazujemy. Więc się zrywa. A że my sami wybierać nie umiemy, jedni nam do wyboru konia radzą, drudzy dziewczkę, trzeci losy rzucane... i drowienka... wreszcie choć do słupa biegać, jak za dziadów bywało.

— Widzisz, Dobek — rzekł Piastun spokojnie — żem dobrze do pszczoł szedł, bo tam w lesie ja wiem, com zrobił, a na grodzie ja ubogi człek z małym głosem, nic bym nie dokazał... Jużeście się to rozjechali?...

— Jedni precz poszli gniewni, drudzy leżą i mruczą... inni, jako ja, gospody szukają... Przecie wybierać trzeba, bo nam niewybrany na kark siądzie.

Nazajutrz z rana i Doman podjechał do wrót z pokłonem, bo starego wszyscy szanowali.

— Cóżście to wy tak pobledli? — zapytał gospodarz, który go i nie widział dawno i nie słyhał o nim nawet.

— Nóż miałem w boku, krwi mi siła upłynęło! — rzekł Doman.

— Któż was pchnął?

Władza, Klótnia

— Wstyd rzec... dziewczka... Porwałem Wisza córkę, bo mi się srodze podobała... Na koniu będąc, w moich rekach, nóż mi mój własny wychwyciła i zadała ranę głęboką.

— Drogoście kupili dziewczynę...

— Anim jej dostał — odparł śmiejąc się Doman — wymknęła mi się i uciekła do chramu na Lednicę, a jam się długo lizać musiał...

Piastun rzekł:

— Znajdziecie drugą.

— Jużem ci i znalazł — dodał Doman — a co mi po tym, kiedy zawsze pierwszej żal. Wtem się głos dał słyszeć z boku piskliwy.

— I gdyby nie ta stara wiedźma Jaruha, już by was na świecie nie było... ha! ha!...

Obejrzeni się i ujrzeni staruchę, która do nóg się im kłaniając głową i rękami, uśmiechała się.

— A ty na wiec czy z wieca? — rzekł szydersko Dobek — może byś się nań przydała?

— Dopiero na wiec — ciągnęła dalej stara niezmiészana — czemu nie? Słyszałam ja, że tam ładu nie ma... Kto wie? Przyszędłby może ze mną... bo ja różne rzeczy w worku noszę... i wiele wiem... Powiedziałabym gromadzie baśń...

— Jaką? — zapytali ciekawi.

— E! to stara babska klechda... — szepnęła Jaruha. — Raz, mówią, trafiło się tak, że w mrowisku nie stało króla... Mrówczy pan z dębu spadłszy zabił się, a potomstwa po sobie nie zostawił... Tymczasem łąkome ptactwo naciągało, aby złupić mrowisko... Zebrała się starszyzna i radzi... Jedni chcą komara wybierać, drudzy muchę, inni pająka, byle nie mrówkę, bo one wszystkie czarne, a wszystkie sobie równe... Tak dobra jedna, jak i druga. Wybierali, wybierali i wybrać nie mogli, a ptactwo jaja dziobało tymczasem i wyjadało do szczętu... wszystkich równo... Aby ono to i tu tak nie było, miłościwi panowie. Ale starej babie co do tego?...

Rozśmieli się słuchający, a Jaruha pokłoniwszy się poszła do Rzepicy piwa się napić.

Więc przybyli mocno nalegali na Piastuna, aby z nimi nazajutrz na wiec jechał.

— A po co mnożyć głowy, kiedy i tak nie ma zgody? — odparł stary. — Radźcie beze mnie, jam się nie zdał...

Nazajutrz dzień toż samo było. Zjechali się starsi radzić, a poczęli wadzić i zeszło na sporach, co było dnia. Widać było około stołba wijące się ludzi gromady, to przypadające do siebie, to odskakujące i rozchodzące się daleko, to nabiegające na siebie znowu. Ręce się podnosiły do góry... i głosy, rzucano czapki, potem wszyscy szli precz i za chwilę się do kupy cisnęli.

Zgody nie było... Leszkowie z jednej, Myszkowie z drugiej strony przewodzili. Wieczorem późnym Myszko Krwawa Szyja podjechał pod chatę Piastuna jak noc chmurny.

— Pozdrawiam was, ojczce.

— Z wiecu wracacie?

— Tak ci jest, z wiecu jadę... — westchnął Myszko.

— Cóż niesiecie?

— Wiadro próżne — rzekł z goryczą Krwawa Szyja — nie ma wody, nie ma zgody. Mało się już za włosy nie pobierzemy. Każdy by kneziem chciał być, a słuchać by się nikomu nie chciało.

— A wy? — zapytał stary.

— No... ja też... a ja prawo po sobie mam — rzekł Myszko — któż Chwosta przemierzonego zdusił, jeśli nie ja i moi? Kto szyi i zdrowia nastawiał? Juścim tak dobry jak i Leszki, jak Jaksy albo Kanie?..

— Pewnie — rzekł cicho Piastun — ale cóż będzie? Mówią, że Leszek i Pepelek ciągną?

— Nie ma co już i mówić o wyborze — dodał głosem stłumionym — kto ludzi zbierze więcej, sam się kneziem ogłosi... i będzie na grodzie panował.

— A po cóż tamtego zrzucać było? — odezwał się stary — wszak i on takim prawem siedział.

— Cóż, jeśli do zgody nie przyjdzie — przerwał Myszko — czy lepiej, aby nas jedli Niemcy, czy aby swój za łeb wziął?

Gospodarz umilkł trochę, w ziemię patrzył.

— Czyńcie jako wiecie, ale wiec szanujcie — rzekł po chwili. — Co się stało Pepekowi i Leszkom, może i drugich spotkać...

— Ja nad sobą innym nie dam przewodzić! — krzyknął rękę do góry podnosząc Myszko.

I z tym, jakby zagniewany, odjechał.

Nazajutrz dzień na grodzisku nie było nikogo. Stado wróbli po nim latało, zbierając prószyny po koniach i po ludziach, świergocąc jak wczoraj ludzie, klóćąc się i czubiąc o ziarna, jak wczora tamci o panowanie nad sobą.

Piastun siedział na przedsieniu, dziwiąc się w duszy swej, że ludzie tak bardzo pragnąć mogli tego, co było strasznym brzemieniem i cieszył się też, iż ubogim był, a nie potrzebował do sporów należeć i stać mógł na uboczu.

Wiec, powiadano, rozszedł się z niczym lub gorzej jeszcze, bo ci, co nań przybyli druhami, powracali wrogami, w sercu z żalem i nienawiścią. Myszkowie zwłaszcza nieprzyjaciół napytali i współzawodników, a Leszki po cichu cieszyli się z wszystkiego, bo niejedyn już głowę ku nim obracał, mówiąc: — Lepiej niech stary ród nam panuje, byle zakonu<sup>6</sup> strzegł.

Pusto było na grodzisku dni kilka, ale wrzało i gotowało się po zagrodach.

Nadchodził dzień świąteczny żniwa. Zdało się tym, co przewodzili, iż za drugim razem wiec nie darmo się zbierze i wybór stanąć musi. Poczęto więc znowu obwoływać się na zbór<sup>7</sup> a sejm nowy nad Gopło. Pojechali Myszkowie po swoich, Leszki też i inne rody, zbierając druhów dla narady i poparcia.

Wielu już zrażonych iść nie chciało. Byli i tacy, co się cieszyli, że knezia nie mieli, bo danin, osypów<sup>8</sup> i służby do grodu nie było, a gdy o najazdach mówiono, głowami potrzęsali, utrzymując, iż Niemce doma i nad Łabą mieli roboty do dosyć, a nad Wartę się tak szybko wybrać nie mogą.

Tymczasem, że dzień nowy naznaczony był świąteczny, a niektórzy myśleli, iż chlebem sobie ludzi zjedną, kazali na wozy nabrać mięsiwa, kołaczów<sup>9</sup>, piwa i miodu, i wieźli je z sobą dla częstowania. Tak uczynili Myszkowie, a gdy się o tym dowiedział Bumir i jego drużyna, nie chcieli się też dać wyprzedzić, naładowali co w domu mieli na wozy i konie i ślali na gród.

Zbór nie był tak gromadnym jak pierwszym razem, ale wyglądał uroczyściej.

Ludzie też bacniejsi, bo doświadczeński, więcej się przysłuchiwali niż mówili i serca sobie jednać usiłowali.

Już koło zasiąść miało, gdy z dzidą w rękę nadciągnął Wizun stary, który przybywać się zdawał znużony z drogi dalekiej.

Starzec poważanie miał u ludzi nie tylko dla doświadczenia i rozumu, bo w ciągu życia dalekie zwiedzał kraje, i znał prawie wszystkie, gdzie sięgało „słowo”, ich obyczaje, ład, zakony, prawa wszystkich gromad i plemion siedzących poza Wisłą i Dnieprem, i po Tatry, i nad Dunajem, nad Łabą i Odrą, i nad Morzem Białym — ale wróżbitem<sup>10</sup> też był wielkim i proroczko widział a wiedział, co się dziać miało... Chadzano doń nieraz po radę, acz jej szczodrym nie był. Wszyscy mu więc okazali radość wielką, iż na wiec przychodził, a spodziewali się, iż przemówiwszy do zgody nakłoni.

Więc gdy się z dala ukazał, i Myszkowie i Leszki witać go szli, a nim do mówienia o sprawie przystąpili, wystawiono niecki z mięsiwem i chlebami i napój, prosząc wszystkich — na strawę.

Posiadano na ziemi około wozów. Wizunowi poczesne miejsce zrobiono i częstować się poczęli z dobrą myślą. Dzień też był dziwnie pogodny i piękny; napoju wszelkiego stało siła, a gdy się raz ugaszczą zaczęto, ani się postrzeżono, jak dobra część dnia na ucztowaniu zesza. Wizun milczał. Myszkom się zdało, że go mieli za sobą, a Leszkowie prawie byli pewni, iż przeciwko nim nie stanie. Więc nim do koła szli, prosili go, aby im radę dał, co czynić mieli dla rychlejszego sprawy końca.

Stary obejrzał się dokoła i namyśliwszy począł.

<sup>6</sup>zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zbór — tu: zebranie, zgromadzenie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>osyp — danina świadczona w naturze, w ziarnie zbóż. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kołaczów — dziś popr. forma D. lm: kołaczy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wróżbitem — dziś forma N.lp: wróżbitą. [przypis edytorski]



— Po tom ci ja tu się przywłókl, ażeby wam prawdę przyniósł, nie z siebie ale z tego źródła, skąd ona płynie. Umyślniem odbył pielgrzymkę do miejsc świętych pytając, co czynić, abyśmy się od biedy uratowali. Wracam z niej właśnie. Byłem daleko, byłem po kontynach Światowida, Radegasta<sup>11</sup>, Porewita<sup>12</sup>... byłem na Kołobrzegu, Szczecinie, w Retrze<sup>13</sup> i na ostrowiu świętym Ranów, u Czarnego Stawu... Bogowie tam królują, którzy całemu plemieniu naszemu rozkazują, Obodrytom<sup>14</sup> i Wilkom<sup>15</sup> równie jak Ludkom<sup>16</sup> i Polanom...

Nie ma u nas takich chramów<sup>17</sup> i takich bóstw, jak te, co są u Redarów i Ranów... czcimy i my przecie Rugiewida o siedmiu twarzach i mieczach siedmiu, Trygłowa o trzech głowach, Porewita o czterech obliczach z piątą na piersi, Światowida, który czterema głowy patrzy na cztery świata strony...

Tam ja do nich chodziłem po wróżbę i wieszczbę dla nas, stamtąd wam przynoszę, co mi rzezono...

Obejrzał się, słuchano w milczeniu, a Myszko spytał.

— Jakżeście się do Retry dostali?

— Któż co starcowi bezbronnemu miał uczynić? — odezwał się Wizun. — Zatrzymywali mnie Wilcy po gościńcach nie jeden raz, ale puścili wolno... Do Radegasta też niełatwo się dobić... Leży kontyna na wyspie zewsząd wodą otoczonej jak Lednica nasza, długa hać<sup>18</sup> i mosty prowadzą do niej, a gdyś już na łąd wszedł, dziewięć bram przebywać musisz, a do każdej z nich pukać i prosić się, bo u każdej stróż stoi czujny dniem i nocą, a pyta cię i opatruje. Nie puszczają zaś więcej jak trzech naraz do chramu. Kontyna<sup>19</sup> stoi na podwyższeniu, z trojgiem wrót w tynach, co ją otaczają, z których dwoje się tylko otwiera, a trzecie tajemne do wody prowadzą... Bóstwo stoi całe złożone w koronie na głowie, na rogach jeleni i kozłów, misternie wywyższone pod dachem purpurowym, ze słupy malowanymi, a obok niego łoże jego królewskie purpurą zasłane... I wkoło bogowie drudzy we zbrojach, z mieczami... Tamem ja naprzód szedł o wyrocznię pytać...

— Cóż ci powiedziała? — zaczęli szemrać otaczający.

Wizun spuścił oczy.

— Musiałem na wyrocznię czekać... póki mi nie przyszła w jednym słowie: Wybierzcie pokornego... Nie dość mi na tym było i szedłem na ostrów święty, nad Czarny Staw, na Jasmund<sup>20</sup>, do Rekony<sup>21</sup>... pytałem u Trygłowa i Światowida... Światowid mi rzekł: Wybierzcie małego. Trygłów kazał powiedzieć: Wybierajcie ubogiego... Pytałem Rogu Światowida przez miód, który w nim stoi i rzezono mi, że niepokój i wojna czeka nas, dopóki mały nie będzie uczyniony wielkim...

Słuchając Wizuna wszyscy się po sobie oglądali i widać było na twarzach frasunek, a stary mówił dalej.

— Com przyniósł od wyroczni bogów, to i w sobie nosiłem wprzód... Zgody nam prędko potrzeba i jedności... Zwędrowałem wszystkie plemiona i narody nasze, jakie na ziemiach siedzą od Dniepru do Łaby, od jednego do drugiego, od sinego do białego morza, i liczyłem w myśli, wiele nas jest, a jak my mało możemy... Jedni z nas już się Niemcom poddali i trzymają z nimi; drudzy z sąsiedzi braćmi wojują; inni się po lasach chowają, a swoich o miedzę znać nie chcą... Każdy żyje, jako woli, a do kupy się zebrać i w kupie zgodzić najtrudniejsza rzecz... Chodzili jak ja nieraz Polanie nasi do Ranów, do świątyni, spotykali się tam z Serbami i Ludkami, i Dulębami, i Wilki, i wszelkimi

<sup>11</sup>Radegasta a. Radzigost — bóg ognia czczony w Radogoszczy; Swarozyc. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Porewit — bóg o pięciu twarzach czczony na Rugii. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Retra — Radogoszcz, gród plemienia Ratarów. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Obodryci a. Obodrycze — plemię zachodniosłowiańskie stojące na czele Związku Obodrzyckiego, w skład którego wchodził również Polabianie, Warnowie, Wagrowie, Drzewianie, Smolicy i Linianie. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Wilcy — Wieleci. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Ludkowie właśc. Lutyci — Wieleci stojący na czele Związku Wieleckiego, w skład którego wchodził również Ratarowie, Sprewianie, Doleńcy, Czrzepienianie i in. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>chram — świątynia. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>hać — grobla zbudowana z bali drewnianych, gałęzi itp. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>kontyna — świątynia. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Jasmund — półwysp na Rugii. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Rekona właśc. Arkona — stolica państwa Ranów na Rugii. [przypis edytorski]



plemionami jednej mowy, pili z nimi z czary razem, chleb łamali, a nazajutrz znać się nie chcieli...

Niemcy mają jednego wodza, a gdy się pokłóca, ten ich jedna jak matka dzieci przy misce, obojgu po głowach dając naukę; u nas swoboda panuje, a kto chce, szarpie... Dla onej swobody, pana nie znając, zwierzom dzikim dostajemy się na pastwę...

Gdy inaczej nie może być, choć nasze ziemie i miry niech zgodne będą, a niech wybiorą, jako rzekły wyrocnie, pokornego, małego, ubogiego...

Gdy Wizun skończył, panowało długie milczenie, a co wprzód każdy się wielkim czynił, teraz by był rad mniejszym się stać lub okazać. I nie w smak szły te wróżby znaczniejszym, a na starego szemrali.

Wtem z tyłu poczęły niecierpliwe gromady wołać.

— Do rady! Do koła!

Wszystkie rody poczęły się kupić i ustawiać, a każdy swoich zalecać. Wnet i o przepowiedni zapomniano. Myszkowie się krwią przelaną i pracą chlubili, Leszkowie stali przy jakimś prawie, inni bogactwem się zalecali.

A że gromada Krwawej Szyi najliczniejsza była, śmielsi poczęli już go obwoływać, ale zaledwie to posłyszano z przeciwnego końca, zerwała się burza i odskoczyła połowa, ani znać go nie chcąc za wodza.

Tuż najpokorniejszego z Leszków wywoływać zaczęto, lecz zagłuszyła wrzawa ze strony przeciwnej luźne głosy.

Ci, co w kole siedzieli, powstawali, rozpierzchli się, rozbiegli.

Zgody nie było... Część znaczna precz szła na okopy, pokładła się na trawie i pijąc, narzekała na drugich. Wizun stał z boku na swej dzidzie oparty i uśmiechał się. Słońce zapadało.

Wtem na zdyszonym i potem oblanym koniu przypadł człowiek w koszuli, z dala już ręką coś ukazując a krzycząc.

Porwali się wszyscy, biegnąc ku niemu. Zsunął się wtem z konia, wołając głosem wielkim.

— Synowie kneziowi z Pomorcami i Kaszubami a Niemcy już idą na nas... już puszczać na granicy przestąpili...

Ledwie to usłyszawszy, wszyscy do koni swych biegli; popłoch i wrzawa się stała niezmierna.

— Tegośmy się doczekali spierając i krzycząc! — krzyknął Dobek gniewnie. — Rozbiegniemy się li teraz, potraciwszy głowy, to zginiemy wszyscy, bo nas po jednemu wybiorą, jak wróble ze strzechy powykręcają...

Leszkowie milczeli stanąwszy na stronie, im się z synami Chwostka łatwiej było porozumieć. Myszkom o głowy szło... zwołali się do kupy osobno.

— Na koń, kto żyw, niech każdy swoich ludzi zbiera... — poczęli zaklinać — nie ma czasu na długie rady... Gromadą iść i ławą im zastąpić drogę... Nie staniemy im do oczów, później już nie czas będzie...

Dobek przerwał gwałtownie.

— Do domów, po ludzi! — zakrzyknął nakazująco — czeladź idźcie zbierać... nazajutrz wszyscy z czym kto ma, tu nad Gopło... a stąd razem ruszyc na wroga... Wieczora i nocy starczy! Na koń! Na koń!

Dosiadali też już koni, chwytając je z paszy i od wozów, kto co napadł, rozsyłano gońców i nim mrok nadszedł, grodzisko znowu stało pustym i milczącym.

Gdy noc zapadła, w stronie, z której się spodziewano najazdu, dalekie łuny już widać było na niebie.

Nazajutrz nie przybył nikt jeszcze na zborne miejsce, wszyscy się gotować musieli, niejednym i dzid i oszczepów brakło... Trzeciego dnia dopiero zaczęły się gromady powoli spływać nad brzeg jeziora. Wieść o napaści wroga ruszyła wszystkich, z odleglejszych też osad szły gromadki.

Nie pytając wyboru, Dobek, który się pierwszy znalazł na placu, sam sobie dowództwo nadał, a posłuszeństwa mu nie odmawiano. Silnym był dość, aby je wymóc, gdyby mu się kto sprzeciwił.

Ledwie ówczesny lud zbrojny, mógł się nim nazywać. Nie byli jeszcze Polanie narodem wojennym i łupieskim, ale rolniczym i spokojnym. Konieczność obrony uzbrajać się im kazała, a uzbrojenie lichym było.

Żelaznego oręża mieli mało, miedziana stara broń u niewielu się znajdowała; szła czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce i pociski. Kawał łubu lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcz, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema obciągnął. Siekiery i noże, na jakie kogo stało, wiązano do pasa i do konia.

Czeladź i parobkowie pieszo szli, co przedniejsza drużyna i kmiecie jechali konno, na głowach dla osłony mając albo kruszcowy kabłak, lub czapkę tylko, na ramionach kręgi mosiężne, które od uderzenia mieczem obraniały<sup>22</sup>.

Każdy ród wiódł swą gromadę, nie bardzo sformą<sup>23</sup>, grozą i strachem trzymając ją w posłuszeństwie.

Dobek latał opatrując gromady i szykując jedne przy drugich, a tu mu czeladź zaraz się waśnić poczyniała, że ją uspokajając kijem musiał. Myszków sługi z Leszkami stać obok nie chcieli. Lecz Dobek gdy się rozpałił, ani spał, ani jadł, ani spoczął, póki do potyczki nie doprowadził. Wojnę lubił i dopiero żył, gdy dzidę w rękę wzięwszy, na konia siadł. Śmiały mu się oczy i drgały usta. Ku wieczorowi powysyłał najprzebiegniejszych ludzi na zwiady, aby dopytali, gdzie się nieprzyjaciół obracał. Dopiero języka dostawszy, miał przeciwko niemu wyruszyć. Tymczasem odstąpiwszy nieco, u jeziora położył się z ludźmi w gaju, aby nocą ich nie zdradziły ogniska i dymy.

## II

Wrócili wysłani z tym, że Niemców nieopodal już słyhać było — podpełznąwszy widzieli ich nawet, ale sił obliczyć nie mogli.

Szli zabierając ludzi, spędzając trzody, zagrody pałac, łupy garnąc jakie pochwycić mogli, kędy się przesunęli, zostawała po nich pustynia i zgliszcza.

Czas było co najprędzej naprzeciw nim wystąpić, aby dalszą zaprzec drogę, bo każdy dzień ludzi wielu życie i mienie kosztował. Ale straszono gromady walką i uzbrojeniem, a zbierana kupa czeladzi, nie starczyła na taką siłę, Dobek więc postanowił ciągnąć cicho, aby ich na noclegowisku napaść śpiących.

Cicho i ostrożnie przerzynać się poczęli lasami, po bokach, w prawo i lewo, posłał leśnych ludzi, co i po ziemi, i po drzewach chodzić umieli — aby przepatrywali, gdzie się nieprzyjaciół znajdował i jak go osaczyć najlepiej.

Drugiego dnia w głębi puszczy naszli na cały obóz niewiast z dziećmi, starców i niedołączonych, z trzodami i dobytkiem, którzy ze dworów i chat zbiegli, chroniąc się przed nieprzyjacielem na niedostępne uroczyska.

Płacz i trwoga panowała między nimi. Siedzieli na ziemi jęcząc, zawodząc, tuląc się do siebie za każdym szmerem w dali, zdradzając się krzykami.

Ci mówili, że wiele już ludu poszło w pęta, a mało kto zawczasu zbiec mógł, ratując życie. Lasy, łozy i trzciny nad wodami za przytułek służyły, ale i stamtąd psy, których gromady ciągnęły z Pomorcami, schronionych płoszyły.

Pomorczy z Niemcami szli pustosząc ogniem i mieczem, lud tylko młodszy wiązali w łyka i gnali za sobą. Na czele ich stali kneziowie Leszek i Pepelek, za rodziców zemsty chciwi.

Kmieciców schwytych bez litości na dębach wieszano.

Jęki niewieście, kwilenie dzieci, żalodne wołania starców nie dodały serca Dobkowej gromadzie, ale do zemsty budziły.

Zbiegi mówiły z przerażeniem o ludziach całych w żelazo pozakuwanych, ze szczytami<sup>24</sup> kruszcowymi, od których strzały odskakiwały, których pałki nie brały. Za tarczami tymi stali jak za murem z żelaza.

Dobkowi serca przybyło i gniewu, mówili mu, że łupiąc zagrody zapijali się, a najadłszy i opiwszy nocami jak wieprze leżeli, dysząc bezsilni.... a kto by ich napadł wówczas, tylko by wiązać i dobijać potrzebował.

<sup>22</sup>obraniać — dziś: bronić. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>sformy — posłuszny, karny. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>szczyt (daw.) — tarcza. [przypis edytorski]

Z tych zbiegów złapanych w lesie stary jeden się podjął drogą ku Niemcom poka-  
zać. Przeleżeli tu do zmierzchu; jak mrok po cichu wyciągnęły gromady, krajem lasu  
posuwając się ku północy. Księżyc na niebie nie było i noc okryła ich chmurna.

Szli tak długo, zwracając na różne strony, gdy wreszcie zza drzew, ujrzeli w dali szeroko  
porozkładane, dogasające ogniska.

Dobek wysunął się naprzód rozpatrzyć, jak ognie leżały, by po nich siłę nieprzyjaciela  
policzyć. A było ich tyle, że rachować przestał, bo mu sieć było pilno. Nie spodziewali się  
znać najeźdźcy, aby im kto śmiał czoło stawić i odpoczywali bezpieczni. Gęsty las z jednej  
strony, dozwalał się podkraść niemal do samego obozowiska w dolinie.

Ludzie na ziemię się pokładłszy, pełnęli cicho na brzuchach. Obóz Pomorców był  
dla nich łakomą zdobyczą, choćby się nie obciążył łupami. Lud tam się do nich kupił  
z całego wendyjskiego wybrzeża, aż do ujścia Łaby, zbóje i łotry ze szerokiego świata.  
Pomorcy, wojownicy razem i przekupnie, mieli też u siebie doma, czego dusza zapragnęła.  
W Winedzie mieniali swoje skóry i bursztyny na żelazo, na miecze, sukna i towary idące  
z południa, wschodu i zachodu. Choć mowę, mieli słowiańską, ale serca już niemieckie,  
byle łupu dostać gotowi byli iść na swoich, służyć każdemu, palić i zabijać choć braci  
rodzonych. Chciwość ich ciągnęła i zwierzęca dzikość.

Przebiegłszy kawał kraju, w którym tylko zgłiszcza i pustkę zostawili po sobie, znisz-  
czywszy osad kilka, złupiwszy dworów wiele, położyli się właśnie obozem u lasu, w miej-  
scu bezpiecznym. Oślaniała ich puszcza, jezioro i błota dokoła. Spoczywali bez straży.  
Jadło się warzyło<sup>25</sup> w kociołkach, tarcze i miecze leżały porozrzucane po ziemi. Pozdej-  
mowali pasy, pociskali<sup>26</sup> żelazne blachy, aby im lżej dychać było.

I leżąc śpiewali dziko, a wśród pieśni straszne krzyki a wołania słyszeć się dawały.

Pastwili się nad niewiastami i dziećmi pozabieranymi w drodze. Nieopodal od obozu  
ich widać było skupioną gromadę ludzi łykami i powrozami pokrępowanych; jeńcy to  
byli, którzy głodni, pokrwawieni, pobici leżeli na piasku, a nikt im chleba nawet nie  
rzucił. Stado psów ujadło nad nimi. Jęczeć nie śmieli, bo słabych zabijano... Niewiasty  
na rękach trzymały martwe już dzieci, żywi i trupy razem leżeli.

Ludzie Dobkowi, podpełznąwszy, z przerażeniem poznawali swoich między niewol-  
nikami — w sercu się im gotowało. Opoдал trochę stali Kaszubowie i Niemcy, a tych  
mniej było. Dobrze uzbrojeni, dodani przez dziada wnukom Sasi trzymali się na ubo-  
czu, straż przy nich odbywając. Sami kneziowie na pagórku, pod szalaszem odpoczywali  
bezpieczni.

W obozie śmiechu, rechotania i pieśni pełno było. Czasem tylko dwu zbójów, prze-  
mówiwszy się<sup>27</sup>, porwał z ziemi i cisnęło się na siebie, chwyciło za bary, padając, gniotąc  
i tarzając. Inni z nich stroili śmiechy. Czasem wstał który, aby do jeńców pójść i łuku na  
nich spróbować.

Polanie mieli czas dobrze się rozpatrzyć i rozmyślić. Pomorcy, którzy najbliżej ich  
leżeli, cał<sup>28</sup> się niczego nie spodziewając, tak zawadzili i wrzeszczeli, iż zbliżających się  
posłyszeć nie mogli. Łamane gałęzie i szmer pochodu, wiatru szum głuszył i pieśni. Dobek  
ze swoimi zbliżył się na sam kraj lasu, kilka kroków go dzieliło od najeźdźnika.

Konie jazdy opodal nieco się pasły na łące. Dobek, który jak bartnik na drzewa łązić  
umiał, z wierzchołka starej sosny obejrzał dobrze, jak był obóz rozłożony i kazał swoim  
wprzód, nim by się na odpoczywających rzucili, starać się ich osaczyć dokoła jak zwierza  
w ostępie, drogę im zapierając do ucieczki.

Stało się tak; z jednej tylko strony od pola zając ich nie było można, bo by zawczasu  
popłoszono, na dany dopiero znak zabiec i z tej strony mieli ludzie, aby nikt nie uszedł  
z życiem.

Jedną część oddzielił Dobek, by się natychmiast do jeńców podkraśla i pęta ich po-  
przerzynała. Oni też mieli na wroga paść i swoim dopomóc do rzezi.

Gdy wszystko było gotowym, przemyślny Dobek stanął z mieczem na przedzie i od  
pasa róg wzięwszy dał znak, aby się rzucono na Pomorców.

<sup>25</sup>warzyć się (daw.) — gotować się. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>ciskać — rzucać; tu forma: pociskali, tj. porzucili, porozrzucali. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>przemówić się — pokłócić się. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>całe (daw.) — wcale. [przypis edytorski]

W obozie, choć usłyszano głos ten, nikt się nie ruszył; sądzili, że który ze swoich znak daje, nie ulękli się i nie spłoszyli. Gwar i śmiechy szły górą.

Wtem z lasu posypali się Polanie pędem lecąc i spadając na karki leżącym, wprzódym nim za broń pochwyć mogli.

Krzyk straszliwy, ze stu wrzasków złożony rozległ się jak grzmot po lesie i już rzeź rozpoczynała okrutna. Jeńcy też z okrzykiem ruszyli zbrojąc się w główne i koły, bliższych niewiasty zrozpaczone chwytaly za gardła rękami i dusiły nim na nogi porwać się uspieszili<sup>29</sup>.

Tylko dalej leżących gromada wstała, lecz w zamieszaniu i popłochu gniotła się sama, zabywszy<sup>30</sup> broni i lecąc to ku jezioru, to na las, gdzie im zastępowano drogę.

Choć ze wszech stron razem napadnięto na obozowisko, do pagórka na którym stali kneziowie i Niemcy dobiec tak rychło nie pośpieli<sup>31</sup> ani Dobek, ani jego kmiecia drużyna.

Z góry spostrzegli Niemcy, że na Pomorców uderzono i mordowano, chwycili wnet za miecze ludzie żelazni — ale już było za późno. Pomorcy ściśnięci wili się bezbronni, padając pod oszczepami i młotami. Niektórzy pełzając uchodzili w zarośla i ginęli po drodze, inni na ziemi leżąc o darowanie życia prosili daremnie.

Kaszuby, stojący też dalej, podnieśli się zrazu, za broń chwyciwszy, ale na nich rzuciła się nawała wielka, zagnała ich na pobożowisko i trupy, na ciała pobitych, ku lasowi, od którego na nich drudzy czekali.

Niemcy sami jedni, zostawszy garstką niewielką, opasali Leszka i Pepełka, których konie u szalasu stały i z nimi co tchu i siły uciekać zaczęły na pole. Ciemna noc ucieczce sprzyjała, w pogoń za nimi puścił się Dobek w kilkanaście koni, lecz pierzchali tak szybko, iż dogonić ich najmniejszej nie było nadziei.

Wrócili więc, spodziewając się, że ta mała garść tułając się po spustoszonej kraju, zagarnięta być musi lub wybita.

Na obozowisku rzeź okrutna pomściła zniszczenie. Mało kto stąd wyniósł życie. Własne miecze Pomorców porzucane na ziemi, służyły do mordowania, łyka ich przygotowane — do wiązania tych, co o miłosierdzie prosili, wykup obiecując za siebie.

Jeńcy, którzy tylko co jęczeli spętani, nie spodziewając się już nigdy zagród swoich oglądać, jakby na nowo na świat się narodzili, szaleli z radości, całując zbawców swych nogi. Inni jak pijani dobijali trupy na pobożowisku.

Zwycięstwo było wielkie, bo Kaszubów mało co, podając tył, ujęć podążyło, a i tych jeszcze część wybito po drodze.

Z północy skończyło się wszystko, radość niezmierna śpiewami się rozlegała po lesie. Dobek leżał pod dębem i pot z czoła ocierał. Kazał wnet stanice bogów powbijać z dzidami na placu, rozpać ogień, a trupy pobitych, gdy je odarto, zwlec na kupy i palić na stosach.

Jeńcy natychmiast poczęli nosić gałęzie i toczyć kłody. Rzucono pozabijanych na ogień, innych do jeziora spychać kazano i pagórki ogniste wznosząc się na pobożowisku, daleko luną swą oznajmywały<sup>32</sup> zwycięstwo. Siedząc około nich śpiewano pieśni.

Łupu, broni różnej i kruszcu, łuków i młotów, tarcz skórą obszywanych i obijanych blachami nabrano tak wiele, że jak drzewa stosy leżały. Niewiasty, starcy, dzieci, które z pęt uwolniono, stali u ognia opowiadając, skarżąc się, dziękując obrońcom. Choć mało kogo życiem darowano, i jeńców przecie do dwu kop się zebrało. Tych zaraz łykami i powrozami spętano mocno i na to samo miejsce spędzono do kupy, gdzie niedawno swoi jęcząc leżeli.

Gdy się tak powoli uspokoiło wszystko, poszła starszyzna rozpatrywać pobranych, śledząc, czy między nimi się kto z dowódców i znaczniejszych nie ukrywał. Ale ci leżeli twarzami do ziemi i musiano im łby podnosić za włosy, aby zajrzeć w oczy. Pomorcy, lud dziki, korzyć się i litości prosić nie mieli zwyczaju. Leżeli pokrwawieni, tułac oczy i czoła, nie sycząc nawet, choć ich powrozami do krwi pokrępowano, a z ran broczyli posoką<sup>33</sup>.

A gdy upartym głowy gwałtem do góry unoszono, niejednemu jeniec wściekły, rzucał się, palca odkąsił, choć wiedział, że go tam zaraz oszczepem do ziemi przybiją.

<sup>29</sup>uspieszyc — zdążyć; por. ros. *uspjet'*. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>zabyć — zapomnieć; por. ros. *zabyt'*. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>pośpieć — zdążyć. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>oznajmywały — dziś: oznajmiały. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>posoka — krew. [przypis edytorski]

Gdy tak szli, Dobek, Ludek syn Wiszów i Bolko Kania, potrącając nogami leżących, na boku spostrzegł Ludek człowieka rudego związanego, który oczyma nań hypnąwszy, głowę prędko za plecy towarzysza ukryć się starał. Wyciągniono go wnet z kupy za nogi — aż gdy twarz osmalona na jaw wyszła — Ludek zawołał:

— O! ten ci to jest, który ich tu pewnie prowadził, wypatrzywszy wprzód drogi! Znam ja go, to Niemiec, Hengo się zowie. Zamianą wrzekomo po chatach chodził, był u ojca naszego, łamał chleb z nami, a poznawszy kraj, teraz Niemców braci przyprowadził, służąc im przeciwko nam...

Dobek krzyknął porywczco.

— Na gałąź z nim!

Lecz Ludek wstrzymał.

— Nie — dajcie go mnie, dyby mu nałożą i do sochy zaprzagnę, za wołu stanie, bo silny. Niech żywie, śmierci z mojej naprawy<sup>34</sup> dlań nie chcę, bo naszym gościem był.

Ludkowa czeladź na skinienie zaraz go odprowadziła, lecz nim odszedł, na ziemię padłszy, płakał dopraszając się litości. Przysięgał, iż wcale winnym nie był zdrady, bo go kneziowie z sobą gwałtem pochwycili wiedząc, iż był u Polan, ale dróg im nie okazywał. Iść tylko musiał, bo mu śmiercią grożono. Wiary mu jednak nie dając, w pętach precz go nazad odciągnięto.

Zebrane drużyny legły odpoczywać na pobojuwisku, weseląc się i ofiary bogom składając dziękczynne za zwycięstwo.

Stosy z trupami, do których dREW przyrzucano, rozplonęły jasno — stała się noc jako dzień. Lasy dookoła, jak złotem oblane, drżały, gorzały łunami pola dalekie, ogromne słupy dymu purpurowego wyrastając ponad puszcze, nad wzgórze — daleko i szeroko roznosiły postrach jednym, drugim przecucie zwycięstwa.

W kotłach znowu ponastawiano jadło, warzono i pieczono, pozasiadała starszyzna rany zawiązywać i opowiadać, jak walczyła, a czeladź tymczasem gromadziła łup, rozkładając z osobna tarcze, odzież, miecze. Było się czym obdzielać i w czym wybierać, bo łupieski żołnierz niósł z sobą dużo wszelkiego mienia i nigdy zdobyczy obfitszej nie pamiętali ludzie. Radość stąd czeladzi była wielka.

O pogoni za resztą Kaszubów i Niemców, nikt już nie myślał — utrzymywali nawet kmiecie, że kneziowie klęską tą odstraszeni, nie odważą się na drugi najazd i Pomorców ani Kaszubów do posiłkowania nie znajdą tak łatwo; a Niemców z dala sprowadzić nie będą mogli.

W obozie teraz znalazło się do zbytku wszystkiego, najeźdźcy łupiąc po drodze, wzięli z sobą nawet beczki z miodem i piwem, pobrane po dworach, pod lasem całe trzody stały w zasiękach, zabijano więc bydło dla nakarmienia ludzi i do rana przeciągnęło się uctowanie i ofiary.

Nad świtaniem, wśród tej radości i dostatku, ochota się wzięła wielka a zbytnia, tak że gdyby naówczas owa garść Kaszubów wróciła na pobojuwisko, łatwe by może nad biesiadującymi odniosła zwycięstwo.

Jeńcy tylko, jak skoro nadszedł dzień, podziękowawszy wybawcom, zabrawszy z trzód, co kto poznał za swoje, do zagród popalonych odciągać zaczęli. Reszta, strażę rozstawisz, na ziemi leżąc się pospała.

Słońce już było wysoko, gdy czujniejsi budzić się zaczęli — a tu głód znowu czuć się dawał — powrócono więc do mięsa, piwa i miodu, a biesiadowano znów do nocy.

Ta gdy ich zaskoczyła, nie czas już ruszać się było — zmęczenie dawało się czuć wszystkim, pozostali więc na pobojuwisku. Tylko że ze spalonych trupów smrodliwy dym im dokuczał, położyli się nieco opodał, dREW przyrzuciwszy, aby się ciała podopalały do szczętu.

O wieczornej porze Ludek, kazawszy przyprowadzić przed siebie Henga i z litości go nakarmiwszy, badać zaczął wraz z Dobkiem. Posądzano bowiem Niemca, iż wiedział więcej, niż się przyznawał. Nic z niego jednak prawie dobyć nie mogli mimo groźby. Prawił tylko, że dziad dwu młodych Pepelka synów, który nad granicą za Łabą siedział i zbrojnego ludu miał pod dostatkiem, dla pomśzczenia córki i pomocy wnukom wszystko ważyć był gotów, że młodzi zajadli też byli i odważni, zatem, jeśli by do swoich dzielnic

<sup>34</sup>naprawa — tu: namowa; por. daw. *prawić*: mówić. [przypis edytorski]

nie mogli powrócić, nieustannie Polanów niepokoić będą. Dawał też do zrozumienia, iż zgoda łatwo by się mogła dać zrobić, gdyby się o nią postarano.

Puszczono go z tym nazad, Dobek szedł ze starszyzną radzić, co miał dalej przedsiębrać — czy na granicę iść mścić na Pomorcach napady nieustanne lub do domów powracać. Wszyscy jeszcze świeżym zwycięstwem zagrzeni, gotowi byli iść na kraj świata i wojować, postanowiono przynajmniej granicę spłądować i nastraszyć najeźdźców w domu. Jak świt więc dalej ciągnąć miano. Ludkowi tylko i Domanowi zdano jeńców pomorskich, aby ich odprowadzili i jako niewolników rozdali po kmiecych zagrodach. Do dnia poczęło wojsko ruszać na wyprawę, stanice podniesiono do góry, jazda na koń siadła, kupy piesze gromadzić się zaczęły. Ludkowa czeladź, co Pomorców pędzić miała, biczami smagając poczęła ich zmuszać do wstawania z ziemi. Straszny był widok tej dziczy zrozpaczonej, która, losowi swemu nie chcąc się poddawać, wyla, targala się, rzucała, dopóki biczyskami jak trzoda nie została zmuszona do pochodu. Pędzono ich pieszo, otoczywszy konnymi, z rękami w tył powiązanych, poczepionych razem. Ciągnęli się nie mogąc uciec ani nawet ruszyć inaczej, tylko wlokąc jedni drugich za sobą. Na pół nadzy, poodzierani, ranni, wlekli się, padali i wyli. Upartszych<sup>35</sup> koniom do ogonów przywiązywano. Henga sam Ludek na postronku prowadził, aby mu nie uszedł.

Tak gdy Dobek ku granicy szedł, Wiszów syn z jeńcami powracał i z dobrą wieścią — niewolników po kilka do zagród rozdając — co we żniwa bardzo się przydało.

Wszędzie z radością wielką witano tego posła zwycięstwa — bo luna widziana nocą, postrach była rozniosła. Ludzie biegli przypatrywać się pobranym zbójom, obrzucać ich przekleństwami<sup>36</sup> i razami. Pozostających zabijano w dyby, by uciec nie mogli.

Starszyzna jednak zazdrościła Dobkowi odniesionego zwycięstwa, lękając się może, aby wojsko w rękę mając po władzę nie sięgnął — niepokoiła się spóźnionym jego powrotem i odkładanym knezia wyborem.

Mruczano powtarzając rozkazy wyroczni, aby wybrano pokornego, ubogiego i małego.

Myszkowie i Leszki znowu swoich objędzali. I jedni, i drudzy stawali często przed zagrodą Piastuna, żądając od niego rady, a wymawiając mu, że pszczoły swe więcej kochał niż sprawę mirową, od której trzymał się z dala.

Stary uśmiechał się milcząc.

— Gdybym ja pomoc mógł — mówił — chętnie bym rękę przyłożył. Cóż ja mogę, biedny, gdy możni, jak wy, nic potrafić nie umiecie? Bogów tu raczej prosić trzeba niż ludzi, aby oni nam dopomogli. Łatwiej było złego obalić, niż na lepszego się zgodzić.

Leszków nikt nie chciał, aby się za krew swoją nie mścili. Myszków się lękano, by nieprzyjaciół i niechętnych sobie nie prześladowali.

Spokój, który na chwilę zapewniało zwycięstwo, dozwalał odetchnąć i przygotować wiec nowy.

Poczuli już możniejsi, że jedni drugich nie dopuszczą do władzy. Wyrocznia też chodziła ze swą radą po głowie, rodziła się więc u wszystkich myśl, aby wybrać takiego, co by pokornym i małym będąc, wdzięcznym był im za cześć i wyniesienie, a łagodnie z niego poczynał. Szło tylko o wynalezienie człowieka.

Na każde imię było więcej tych, co mu się sprzeciwiali, niż co by je popierać chcieli.

### III

Korzystając z uspokojenia, Doman się do wesela sposobił. Chciał je mieć hucznym i głośnym, stary też zdun, który córkę za bogatego kmiecia wydawał, pragnął pokazać, iż go stało na przyjęcie i uraczenie choćby najliczniejszych gości. Z obu stron przygotowania czyniono wielkie.

Doman naprzód, odziewszy się bogato i czeladź postroiwszy, wędrował od dworu do dworu, družbów sobie na wesele spraszając.

A gdy tak jechał i stanął po drodze przed Wiszów zagrodą, ścisnęło mu się serce — Dziwa przypomniała mimo woli.

<sup>35</sup>upartszy — dziś: bardziej uparty. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>przekleństwa — dziś forma N. lm: przekleństwami. [przypis edytorski]

Ludka znowu doma nie było, bo zdawszy jeńców, za Dobkiem pośpieszył nad granicę, młodszy brat gospodarzył.

U wrót stanąwszy, ręce sobie podali.

— Dzięwkę sobie biorę — odezwał się do niego Doman — za družbę was proszę...

— Będę wam chętnym družbą — odparł chłopak. — Cieszę się, żeście o naszej zapomnieli...

Popatrzał mu się Doman w oczy i rozśmiał niewesoło.

— Nie myślcie — odpowiedział — żem sobie dziewczynę napytał jak wasza... Kraszy chciałem, więcej nic... hoża jest i młoda!... Biorę córkę zduna znad jeziora Lednicy... Co mi tam! nie dbam czy mi co przyniesie!... Oczy jej się śmieją, może i ja poweseleję... bo mi jakoś nieraźno... Weźcie więc konia a gotujcie się do drogi... będziecie mi bratem, niech ludzie wiedzą, że zemsty nie szukam i żeśmy druhami jak dawniej.

Ścisnęli się znowu za ręce, pożartowali chwilę wesoło i Doman pojechał dalej. W chacie u Wiszów wiadomość o tym zadziwiła niewiasty; Żywia, stojąca u ogniska, zarumieniła się mocno, spuściła oczy. Może myślała, że się odezwie do niej i ją weźmie. Teraz, bez ojca i matki, cicho było i smutno. Bratowe popychały, bracia nie bronili bardzo... Poszłaby była z nim, ale — brał inną. Taka doła...

Stary zdun trochę o garnkach zapomniał, gotując wesele. Córka też mu nie dawała pokoju, tak wielu rzeczy jej było potrzeba. Mirsz na nic nie żałował.

Miód dawno sycony na to wesele stał pogotowiu, piwo warzyć zaczęto, a chmielu dosypywano do niego dostatkim; tego chmielu, o którym stara pieśń niosła, że psotnik, nic dobrego, „z dziewcząt robił mężatki”, bo go przy weselach dużo spijano.

Baranów i kozłat dość też na rzeź naznaczono, a i wieprzaków kilka miało paść ofiarą. Na kołacze mąka sucha, wysiewana stała w bodni<sup>37</sup>, pogotowiu.

Jednego dnia Jaruha znalazła się w progu zagrody, dobrawszy znać taką porę, gdy stary zdun był u pieca zajęty. Spojrzała na Milę i twarz się jej od śmiechu tak wykrzywiła i pomarszczyła jak grzyb, który człek nogą przycisnie.

Wzięła się wiedźma w boki.

— A co, Miluchno? a co?... może się stara nie zna? może nie umie zaczynać i odczyniać? może ziele jej nieskuteczne?... Dajże mi piwa, bo w gardle zasycha...

Dziewczę zarumieniło się, zmieszało, pobiegło prędko kubek piwa podać starej. Ta w progu usiadła, torbę położyła na ziemi, dobytek placka kawalek i z rozkoszą do ust poniosła napój ulubiony.

— Widzisz — mówiła powoli uśmiechając się i mrugając — żupanam ci dała, a będziesz panowała... a gdyby nie ja i nie mój lubczyk... ho! ho! albo by to nie było nigdy lub nierychło. Stare baby młodym się też na coś przydać mogą. Zaczynić i odczynić... przyciągnąć, odepchnąć... my to wszystko znamy... Będzie ciebie kochał — dodała ciszej — a jeśli tam u niego już są inne jakie... te ci służyć będą jak niewolnice. U bogatych ich bywa wiele, a tobie to co szkodzi?...

Zarumieniła się Miła znowu i oczy zakryła rączkami.

Teraz jakoś, gdy otrzymała to, czego pragnęła, lękała się i trwożyła. Przyszło jej to tak łatwo! Strach ogarniał.

A Jaruha piwo piła i głową potrząsała, nie czekając odpowiedzi. Kubek był już próżny, milcząco podała go Mili i dziewczę napełniło raz drugi.

Jaruha wypróżniła go chciwie.

— Na cześć Trójgłowski, Miluchno — odezwała się — daj trzeci kubek, to się już powlokę. Nogi mam słabe, muszę pić na jedną, a potem na drugą nogę i na rękę też, która kij trzyma, bo to tak jak trzecia noga...

I śmiała się Jaruha, śpiewać już zaczynając.

— O! o! co oni tu porobili, co porobili na tym białym świecie naszym! — poczęła smutniejąc nagle i głową wahając z jednego ramienia na drugie. — Kneź i biała pani... oboje... poszli do ojców bez stosu i pogrzebu! Mnie ich szkoda... gród pusty! Trawa rośnie na zgłiszczu... Kneźna się na ziele znała, wiedziała co z nim robić! o! o! nosiłam i ja jej ziele, na młodziku<sup>38</sup> rwane po mogiłach... Dawała czasem pić i jeść, dni dwa i trzy, płótka

<sup>37</sup>bodnia — beczka. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>na młodziku — w czasie nowiu księżycy. [przypis edytorski]



kawałek, sukna okrawek... Kneź szczał sobakami z podwórza, bo młode ściszał, a starych nie lubił... ale mnie żaden pies nie ukąsi. Zaraz by się wściekł. Teraz na grodzisku... het, pustki i węgle... nie ma nic. Sroki skrzeczą tylko... Chodziłam grzebać w kupach popiołu... ino gdzieniegdzie kostki bieleją... Szkoda dworu malowanego! szkoda!

Dopiwszy trzeciego kubka, rozweseliła się znowu, otarła usta, oczy się jej zaświeciły, chciała wstać, nie mogła, dziewczę ją podniosło z ziemi. Podparła się na kij, zmocowała i głową kiwnąwszy, powlokła się dalej śpiewając:

— O lubczyku, ziółko złote!... Jaka ty masz wielką cnotę, czy pan czy chłop, nic nie pyta, a za serce wnet go chwyta... o lubczyku, dobre ziele, proszę ty mnie na wesele!...

Obiecując sobie przybyć na nie, choć nieproszona, Jaruha, która nigdy na miejscu nie mogła długo usiedzieć, dalej się powlokła.

W drugiej chacie krowa mleko dawać przestała, trzeba ją było okurzyć, aby czar i uroki zadane odczynić... Dalej ktoś w życie zawiązał węzeł na chorobę i cały zagon stał nietknięty, aż Jaruha go dopiero rozplątać mogła bez szkody. Znała tajemnic wiele, odejmowała zimnicę, uspokajała tych, których duchy o ziemię rzucały, sama się czasem dziwiła sobie, iż umiała tak wiele.

Po tym piwie chmielnym świat wydawał się jej dziwnie wesoły i jasny, chociaż nogi za to ledwie się wlokły.

Doman wedle obyczaju przysłał swaty; naznaczono dzień wesela. Zdjęto koło na tyce zatknięte nad chatą, oznajmujące parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Miła dobrała sobie drużek sześć, wszystkie krewniaczek z okolicy, których się powstydić nie mogła, bo wszystkie były hoże, młode, świeże jak ona i wesołe, a żadna nad nią piękniejsza nie była.

Doman też sześciu drużbów prowadził z sobą, wszystkich, jak jeden, kmiecych synów dorodnych, z których każdy suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem się mógł pochwalić, zręcznością, przytomnością i siłą.

Dziewierza<sup>39</sup> nie miał; Wisz mu go zastępował, prowadząc drużbów za sobą. Poszły zaprosiny urzędowe naprzód od dworu do dworu z wieńcami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego. W chacie zduna zawczasu kręciło się niewiast biało odzianych bez liku; siostra Mirsza starego miejsce matki zastępowała.

Lecz, jak to bywa często przed weselem, choć się wszyscy radują, Miła, co tak za kmiecia iść pragnęła, czuła jakąś trwożę, a Doman, choć ją znajdował piękną, gniewał się na siebie, że go serce gdzie indziej ciągnęło. Żal mu było jej i siebie.

Ale cóż? słowo się rzekło... musiało się odbyć wesele, jak zapowiedziano.

Stary Mirsz też, choć nie przeciwiał się doli, chodził chmurny, chata mu opustoszeć miała ze szczętem. Bracia też milczeli posępni.

Po cichu za węglami mówili sobie:

— Wolelibyśmy, aby poszła za swoim, za zdunem... Kto wie, jaki ją tam los czeka i ile ich tam jest?...

W przeddzień wesela wszystko było pogotowiu. Chata wybielona, wymieciona, wykadzona jadłowcem i ładaniem<sup>40</sup>, posypana kosaćcem, u drzwi powieszano wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle, zasepionej i smutnej, kręciły się druhny wesołe i przybrana macierz stara. Stojną była Miła na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy pozaplatane starannie raz ostatni ją zdobiły.

W chacie już od rana nie ustawały pieśni na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już korowaj<sup>41</sup> miesić, placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedem miarek mąki jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu każdemu nowa pieśń towarzyszyła, co je tłumaczyła.

W takt potem pieśni białymi rękami ciasto ugniatały niewiasty, śmiejąc się i żartując

<sup>39</sup>dziewierz — ojciec pana młodego (*świekr*) a. brat męża (*szwagier*); tu: starszy wiekiem mężczyzna z bliskiej rodziny pana młodego, pełniący funkcję pierwszego drużby. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>ładan — mirra. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>korowaj — ciasto; świąteczne białe pieczywo. [przypis edytorski]

Alkohol

Córka, Dom, Obyczaje

Ślub, Strach, Słowo

Wesele, Obrzędy, Obyczaje,  
Śpiew

Panna młoda

Jedzenie, Obyczaje

Panna młoda

z narzeczonej smutnej, w której smutek udany nie bardzo kto wierzył, choć oczy miała naprawdę zapłakane.

Z pieśnią się odbył taniec wkoło dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj święty, ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzałe... Wszystko to były godła dziewictwa, młodości, wesela, które się z tym dniem ofiary kończyło, a poczynało od niego życie trudu, łez i pracy, które jedna miłość miała osłodzić.

Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczysto, rzucając z nim razem kukulki z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota — Żywi.

Zamknięto naówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczysto na ulu zasłanym ręcznikami i druhny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle z którego wodę czerpała, ogródka, gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i matczy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczów, gdy jej kosy rozplatano. Pana młodego nie było jeszcze, spodziewano się go, wyglądano co chwila. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jej stróż, opiekun i obrońca ze krwi prawa.

Zmierzczało już, gdy zatętniało na drodze i — płaszcząc w dłonie, druhny wołać zaczęły.

— Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzieży na koniach towarzyszyło, w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych<sup>42</sup>, w opończach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona.

Pan młody, choć blade jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą siwego miał z długą grzywą, okrytego sukнем czerwonym, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kółek złocistych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty puścili się ku niej czwałem, a gdy u proga stanęli, aż ziemia zatętniała.

Broniono im przystępu zrazu, niby najeźdźcom i gwałtownikom, co na cudze dobro czyhali, nie dawano im przejść proga, musieli się spierać, opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wioził z sobą, a gdy z krasnej chusty wysypał u nóg młodej, dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy. Były tam zamorskie, z dała przywiezione klejnoty, pierścienie, naszyjniki, naramienniki, korony na głowę, szpilki i para garści pieniążków srebrnych i droższe nad nie może paski malowane, pstre wstęgi, które tylko z Winedy dostawano, dokąd nie każdy wiedział i przebyć mógł drogą. Był i kubek jakby złoty i naczynie przezroczyste z drogiego kamienia, któremu się wszyscy dziwowali, bo było niby z lodu, a słońce na wskroś przez nie patrzyło.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wynoszono i różgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaszki, pióra i strzępki, z szytym ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń na pół żałosna, pół wesola, żal za domem, za swoimi, przyszości obawa, przeczcucia pracy ciężkiej, modlitwy do bogów i wróżby.

Wtoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy dwaj gęślarze i dudarz z kobzą — grajki weselne, co i pieśniom wtórować, i pieśniami kierować, i do skoku przygrywać umieli.

Chata już pełna była jak nabił. Mirsz stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nieustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie i gędzba<sup>43</sup> usiadła na przyzbie.

Pieśni a pieśni, lały się jedna po drugiej.

Śpiewano za młodą, za braci, za młodego — prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiazdzista, księżycowa, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba siedząc zdrzemnęli się po miodzie na ławach, drudzy na trawach pod drzewami, a gędzba nie ustawała. Co jeden przerwał, to poczynał drugi.

<sup>42</sup>kowany — kuty. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>gędzba — muzyka, akompaniament do śpiewu a. opowiadania. [przypis edytorski]

Młody siedział przy Mili, a patrzył na nią i wzdychał, tej serce biło ze strachu. A! tamtych dni, gdy się jej ptaszkiem z chaty furknąć chciało, o tym smutku i obawie pojęcia nie miała. Skądże się teraz wzięły te łzy i ta trwoga?...

Doman też pasem się bawił, na ścianę patrzył, milcząc się niby uśmiechał, a gdzie był myślami, o tym nikt nie wiedział.

Tymczasem druhny nuciły.

Żegnaj mi progę domowy, żegnaj ogródka ruciany, studencko, w której ja wodę czerpałam dla mojej trzódki. Żegnaj mi siostró kochana, żegnaj mój bracie rodzony i tobie, ojciec mój siwy, do nóg upadam splakana... W świat idę, obcy mnie wiedzie, wianek mój z strumieniem płynie, kukulka wróży na brzozie, łzy z oczów cisną się gorzkie... Ojciec mój, bracia rodzeni, kiedy ja znów was zobaczę? Tam mi obarczą ramiona, nikt nade mną nie zapłacze...

Tętni droga, lasy gwarzą, potok szumi na dolinie... Brzęczy coś, huczy coś, ktoś do chaty pędzi... Księżycowe lice, oczy ma jak gwiazdy królewicz to pan — po naszą dziewczynę. Cały w złocie, w jasnej szacie, przy nim drużby królewicze, złotem, srebrem przepasani, jak jabłuszka malowani. Hej! otwórzcie chaty wrota, drużyna jedzie od złota, po dziewczynę, po malinę... Dary ojcu wielkie wiozą, bratu, siostróm i macierzy... Nie płacz, otrzyj oczy czarne, wianuszek mu oddaj rada... Malowany dwór u niego, złote progi, srebrne statki... A! ja płacząc, łzy mi biegą, nie będzie mi jak u matki...

O słońca wschodzie ruszył cały pochód na uroczysko pod dęby święte; stary ojciec miał im tam pobłogosławić. Drużby na konie posiadali, pannę młodą na wóz wsadzono cały sukniem okryty, cały kwiatami obwieszony. Za nią jechały nucąc a zawodząc druhny, goście, tłum ciekawy.

U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić o błogosławieństwo, padli ojcu do nóg, przybranej matce, wszystkim stojącym dokoła, aż do małych dzieci. Potem za ręce się pobrawszy kołaczem się łamali, włożono im korony na głowy, pili z kubka jednego, dłoń w dłoni siedem razy dąb święty obeszli dokoła i ojciec ich trzykroć ziarnem obsypał, a poza nimi stojąca drużyna ciągle pieśni nuciła weselne.

Wylano bogom ofiarę, odpędzono czary i uroki, kadzono ziołem, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak cały nazad się puścił do chaty.

Tu zabrzmiały pieśni nowe a inne. Dziewczęciu rozplatanó włosy, kosę<sup>44</sup> dziewiczą obcięto i głowę czepcem osłoniono, a gdy biała namitka<sup>45</sup> otoczyła czoło młodej, łzy się jej z oczów rzuciły żalodne, śpiewy rozległy tęskne i bolejące. Żegnały ją drużki dziewice... ale gęślarz głośniejszy w struny uderzył i płaczu słychać nie było.

Do skoków stawać musieli weselni i na gwałt się weselić, aby wieczór ten złą dla życia nie był wróżbą.

Zanucono pieśni chmielne, bo też chmiel w głowach panowanie swe rozpoczynał.

— Chmielu ty psotniku, co ty robisz z ludzi, dziewczicą szła z chaty, mężatką się zbudzi... Chmielu ty, mój chmielu, jak ty psujesz głowy, świat był wczoraj czarny, dzisiaj mi różowy... Chmielu, co po tytce zwijasz się do góry, chciałoby się z tobą tak ucześcić której... Dziewczęta, dziewczęta, uciekajcie z drogi, chmiel idzie, pan idzie, popodcina nogi... O chmielu, o chmielu, cudowneś ty ziele, przez cię jest szczęśliwych i biednych jest wiele. Chmielu ty weselny, królu nasz a panie, niechaj choć do jutra trwa twe panowanie...

O chmielu!...

Całą tak noc tętniała od skoków chata Mirszowa, tętniało i rozlegało się podwórko, niektórzy znużeni na przyzbie spoczawszy ledwie, wracali pić i skakać.

Już młodzi byli na świronku w łożnicy, a piwo i miód bez ustanku krążyły. Kto przypadł, ten sam sobie do woli czerpał z kadzi, bo w taki dzień każdy gościem był miłym. Kupy też tych, co szli na Lednicę, z ciekawością zwracały się ku chacie, stawały, zbliżały, dudarz grał, a gęślarze śpiewali.

Już słońce wstawać miało, gdy ujrano z pola śpiesznym krokiem idącą o kiju starą babę. Stawała niekiedy, oglądała się jakby przelękną, podnosiła kij i wołała coś przeraź-

Panna młoda, Smutek,  
Dom

Ślub, Obrzędy

Panna młoda

Taniec

Alkohol, Śpiew

<sup>44</sup>kosa (daw.) — warkocz. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>namitka — chusta osłaniająca głowę, czoło i szyję, noszona daw. przez kobiety. [przypis edytorski]

liwym głosem, ale słów dosłyszeć nie było można, bo i dudarz grał donośnie, i gęślarze śpiewali, a młodzież hasając pokrzykiwała.

Wiedźma coraz żywiej biec zaczęła zdyszana, poznano w niej z dala Jaruhę.

— Co jej jest? — zawołał stary Mirsz — leci jakby oszalała...

— E! ona tak zawsze! — śmieli się inni — lubi piwo, a chmiel z nią czyni, co chce, gotowa jeszcze pójść w skoki...

A Jaruha szła, biegła, oglądała się poza siebie strwożona i kijem kędyś pokazywała. Włos miała rozwiany w nieładzie, bieliznę pomiętą i zdartą, nogi pokrwawione.

Dobiegłszy zdyszana pod same wrota, krzyknęła:

— Uciekajcie! uciekajcie! Jedzie, toczy się smok, gadzina! Pomorcy idą! Wrogi tuż, za mną w ślad...

Usłyszeli wszyscy, ale nikt nie chciał uwierzyć własnym uszom i szalonej kobiecie.

— Tuman się toczy, dymy kłębią — tętni ziemia. Uciekajcie, uciekajcie, komu życie miłe. Ludzie ratujcie się, Pomorcy idą!

Podniosła ręce obie do góry krzycząc i upadła zmęczona.

Stary Mirsz popatrzał w dal milczący i wpadł do chaty.

— Kto żyw, na konie! — zawołał. — Jaruha przybiegła z wieścią, nawała Pomorców się toczy. Uciekać! Stara oszalała może, może stado owiec za Pomorców wzięła. Niech kto jedzie, podpatrzy. Tumany jakieś widać w dali.

Popłoch padł na taneczników, jak gdy kania się nad stadem kuropatw uwiesi, ale głowom zagrzany nie bardzo się wierzyć chciało. Mężniejsi się ku drzwiom rzucili, a dziewczęta i niewiasty do komory — krzyki zastąpiły śpiewy, głośniejsze od nich.

Doman też wypadł z chaty, za rękę wiodąc Milę przestraszoną i płaczącą, która czoło i oczy tuląc w dłonie, wołała:

— O doloż moja — o dolo!

W podwórku zwijając się, wszyscy jak poszaleli wołali głosami różnymi.

— Niemcy — Kaszuby — wrogi!

Młodzież biegła po konie na paszę. Ale cóż mogła ta mała garstka, przeciwko nawale nieprzyjaciela, o obronie myśleć było niepodobna, chyba o ucieczce jednej.

Parobczak, który pierwszy świerzopę starą pochwywszy u płota, na wzgórzu się dostał, zobaczył tuman w dali, usłyszał szczek i wrzawę i nawrócił wnet, wołając:

— Idą, idą!

Głowy tracili wszyscy — nie było czasu prawie pomyśleć o schronieniu się gdziekolwiek, chyba na ostrów, na Lednicę — a tu już czółna, jakie były u brzegów, pierwsi, co ich dopadli, pozajmowali i zamiast wiosel chwyciwszy żerdzie — odbijali na głębinę.

Doman do szopy biegł po siwego, Mila za nim z rozpuszczonym włosiem, bez wianka, rękę łamiąc, we łzach cała.

Nie myśląc już o drugich, mąż ją wpół chwycił i na konia rzucił, skoczył nań sam, wybiegł przed chatę, obejrzał się — krzycząc na swoich:

— Za mną, druhy!

Drużbowie też konie prowadzili i jak kto stał, jakiego kto dopadł, uciekali. Niewiasty biegły nad brzeg ręce łamiąc i padając. Czółen brakło. Niektóre z nich śmiało rzucały się w wodę i płynęły.

W wirze tym i popłochu — kto gdzie mógł szukał kryjówki, myśląc o sobie.

Mirsz stary miał jamę w ziemi wygrzebaną, do której wnijście było skryte, przy ludziach zdradzić jej nie chciał, z synem tylko, zobaczywszy Domana uciekającego, spojrzeli po sobie, zawrócili się gdzieś ku szopom i znikli. Nie pierwszą to napaść podobną stary zdun w kopanej jamie, której szyja<sup>46</sup> dobrze była zakryta, przesiedział bezpieczny.

Za górą coraz silniej tętniało i dzikie słyszeć się dawały okrzyki. Chmura Pomorców i Kaszubów leciała z tumanem kurzawy pędząc nad jezioro. Niekiedy z tego obłoku migały głowy i dzidy.

Jaruha zmęczona, jak martwa leżała na ziemi, dysząc sił ostatkiem. Chata przed chwilą brzmiąca weselem, stała otwarta i pusta. Z korowajem obłamanym na stole, z kadziami piwa i beczkami niedopitego miodu. W podwórku nie było żywej duszy — psy u wrót ujadły.

<sup>46</sup>szyja — tu: wejście, korytarz wiodący do wnętrza. [przypis edytorski]

Jedni, koni dopadłszy, ratując siebie i niewiasty, gnali cwałem po brzegu jeziora, drudzy czekali wroga, aby dopiero gdy bliżej naskoczy, rzucić się w pław i próbować ująć śmierci lub niewoli.

Po wrzaskach nastąpiło milczenie straszniejsze od nich jeszcze.

Gdzie i jak kto mógł krył się, tulił, pełzał, przypadał. Starsze niewiasty, opuszczone, w kupkę się zbiwszy u wierzb stały na stoku nad wodą. W dali już widać było drużynę Domana i białe szaty Mili, które około siwego wiewały wiatrem rozdęte. Za nimi tuman kurzu pędził i uchodzących zdradzał.

Z dzikim wrzaskiem puścili się ze wzgóрка Pomorcy w pogoń za uciekającymi, siekąc konie i ścigając ich zapalczywie. Drudzy już otaczali chatę i zagrodę, zagarniając, co żywego znaleźli. Psy u wrót, jedyni stróże, leżały pozabijane.

Resztką ludzi u brzegu stojąca plusnęła w jezioro, zbiegła w trzciny i sitowia. Do tych Pomorcy strzelać zaczęli, kilka pocisków utkwilo w nich, krzyki słyszeć się dały, znikli. Pozostali odsuwali się od brzegu, który gęsto obsadzili najezdniczy.

Z Mirszowej chaty oberemkami<sup>47</sup> wnoszono łapy i wiano młodej, podarki młodego, nagromadzone mienie starego zduna. A że garnków brać nie myśleli — poczęli je z gniewem tłuc i o ściany rozbijać, pokrzykując za każdym uderzeniem.

Wzgórze całe, jak zajrzeć, przez wrogów było zajęte. Wśród tłumu ich, dwóch młodych dowódców widać było na koniach, około których, cześć im oddając, drudzy się obracali. Po strojach za Niemców ich wziąć było można i Niemcami też byli otoczeni, rozstępował się im tłum, a gdy z koni pościadali, szli z dwornią do pustej chaty.

Oba z jasnymi włosy, twarzami bladymi, czarnymi oczyma, podobni do siebie jak rodzeni, rodzonymi też byli. Synowie Pepełka Chwościska, szli znowu mszcząc się i rodziców, i niedawnej kłęski. Za nimi, na powrozie ciągniono<sup>48</sup> starca z siwą brodą, który gęślę potrząskaną w rękę trzymał. Pochwycono go gdzieś na drodze, a Niemcy ślepych tych pieśniarzy nie cierpieli, bo oni śpiewali o starych, lepszych czasach. Gęślarz szedł niemy, ze spuszczoną głową, popędzany kijami i biczami, nie stękając, nie płacząc, nie oglądając się na tych, co śmiejąc się i urągając mu, smagali.

Na pustej ławie, na której niedawno panna młoda siedziała, zrobiono miejsce kneziowym synom. Tymczasem dwornia plądrowała po chacie wnosząc, co gdzie było. Grabiono jedne sprzęty, drugie młodym znoszono. Starszyzna zmęczona czerpała chciwie resztki piwa, z zakatów dobywano poznajdywane placki i mięsivo na misach.

Stary gęślarz padł u progu, ale go za sznur wciągnięto do izby. Brodaty, obwieszany kawałami żelaza chłop, z oczyma zbielełymi, przystąpił do starca i kopnął go nogą. Chciano z niego dobyć wieści o bogatym chramie i skarbach na ostrowiu; grożono mu obwieszeniem i targano.

— Kaźcie wieszać! — wołał stary.

Chciano wiedzieć, ilu ludzi, jaka straż na Lednicy broni przystępu do kontyny, jak się najbezpieczniej dostać do niej.

— Ptakiem dolecieć, rybą dopłynąć — jęczał szydersko stary.

Badano o najbogatszą w okolicy zagrodę, o najliczniejsze stada, ale starzec jęczał tylko, nie odpowiadał, chyba szyderstw. Zaczęto go nielitościwie smagać. Śmiał się i śpiewał razem, głosem jakimś strasznym — aż oprawcom ręce drętwiały.

— O doloż ty nasza — o dolo! Wesele i grób. Warzyli wesele, pogrzeb zgotowali. O doloż ty nasza, o dolo! Smagajcie, a żywo, niech dusza wyleci z ciała, prędzej, dość się nabolą! O Łado! Kolado! Kupało! pomóżcie jej z ciała.

Jakby nie czując już krwawego smagania, stary przyczołgał się do wiadra z wodą, nachylił je do ust rękami obiema i pić począł. Zamierzył się nań jeden z oszczepem i strzymał.

Ciągniono do chaty połapanych u brzegów, powiązanych, płaczących. Starszyzna niemiecka otaczając młodych panów naradzała się. Spocząć tu chcieli, napłądrowawszy, o Lednicy nie myśląc, bo na nią przeprawa była trudną, a napaść niebezpieczną.

Radzili tak jeszcze, gdy w podwórzu wesołe zabrzmiały okrzyki. Stojący we wrotach wołali.

<sup>47</sup>oberemek — naręczce, wiązka. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>ciągniono — dziś: ciągnięto. [przypis edytorski]

— Wiodą ich! prowadzą!

Niektórzy biegli ku brzegowi. Kupa ludzi, co się w pogoń puściła, ciągnęła ranne-  
go Domana, którego pochwycono w ucieczce. Siedział na koniu na wpół skrępowany  
sznurem, a przed nim leżał trup młodej żony, w której piersi tkwił oszczep i krew z niej  
stygająca płynęła. Lice miała białe — życie już z niej uciekło. Doman zębami przytrzy-  
mywał ją za koszulę, bo rękami skrępowanymi nie władnął, sam był okryty krwią, ranny,  
ale nie zdawał się czuć bólu.

Ludzie go wnet z konia ściągnęli, ale rozerwawszy sznury, trupa pochwylił z sobą,  
chcieli mu go odebrać, lecz ścisnął tak silnie, iż we dwu i trzech zmóc go nie potrafili —  
padł z nim razem na ziemię.

Po sukni i z twarzy łatwo w nim zamożnego władkę poznali i z chaty wyszli doń  
synowie Chwostka, a z nimi Niemcy, ciekawie obstępując ranne.

Jeden z kneziów schylił się nad nim pięść podnosząc.

— Psi synu — zawołał — gdy nasz gród palono, gdy naszych zabijano, tyś tam także  
być musiał, przewodziłeś może zbójom!

Drugi naglić począł, aby mówił, kto na gród prowadził, kto knował. Grożono śmiercią.

Doman, nic nie odpowiadając, na trupa patrzył niemy. Stali tak nad nim, to popy-  
chając go, to uderzając, to naradzając się z sobą, a chcąc koniecznie dostać języka. Lękali  
się może, aby ich znowu nie zaskoczono, ale nieszczęśliwy pan młody usta ścinał i słowa  
z niego dobyć nie było można.

— Myśmy kneziowie wasi! — wołał młodszy.

Doman dopiero głowę podniósł i popatrzał obląkanym wzrokiem.

— Z waszego rodu żaden u nas kniaź<sup>49</sup> nie będzie! — zamruczał — niedoczekanie  
wasze. Wyście wrogi i zbóje, nie wam panować, gadzin plemię!

Przekleństwem skończył i zmilczał. Kazali go wlec precz i odeszli gniewni. Znęcali  
się Niemcy nad nim długo — ale ścierpiał wszystko. Związane wraz z innymi popro-  
wadzono do brzegu — gdzie już gromada innych leżała.

Pod wierzbą Mirszową padł na ziemię wysilony. Ręce miał skrępowane, nogi wolne.

Wieczorem trup zabitej Mili sam leżał u brzegu. Doman pełznął do wody, gdy straż  
się pospała, rzucił się w jezioro i zniknął.

#### IV

Na ostrowiu, na Lednicy, u brzegu stał mnogi lud, patrząc i przysłuchując się w milczeniu.

Od dalekiego lądu wiatr mu przynosił wrzaski i dym, w którym czuć było palące się  
zagrody, od lądu woda niosła mu trupy, które podpływały do ostrowu, jakby o pogrzeb  
prosiły.

Płynęły w wiankach zielonych dziewczęta, jak na wesele poubierane, i niewiasty star-  
sze w namitkach białych, które woda porozwijała, i dzieci ze ściśniętymi rączkami,  
a straszliwie otwartymi oczkami ślepymi. Mrok padał, na lądzie tylko ognie widać było  
i dym, który pod wieczór rozścielał się jak chusty sine.

Stali u brzegu wszyscy, z chramu wybiegłszy, i Wizun na kiju sparty i siwowłosa  
Nania, i Dziwa z twarzą bladą, i stróżki od zniczowego ogniska, przy którym jedna ledwie  
została. Stali milczący, patrzali a słuchali — i co przyplynał trup wiatrem gnany do brzegu,  
to się nachylał kłós ku niemu, czy swojego nie pozna.

Przyjdąli Pomorcy? Napadną święty chram? Rzucić go i uciekać, czy pozostać i dać  
się pozabijać u ognia świętego? Myśleli tak wszyscy, a nikt powiedzieć i zapytać nie śmiał.  
Żaden jeszcze z najeźdźców nie ośmielił się nigdy na Lednicę. Niejeden raz ognie widać  
było i słyhać wrzaski — przecież odciągały wrogi, jak przyszły, choć skarby chramu ich  
nęciły.

Na ostrowiu ludu było dość do brania w niewolę, a na obronę mało. Niewiast najwię-  
cej, dziewcząt, niedołączonych starców i dzieci. W kontynie oręż by się znalazł, w szopach  
było go dosyć zabranego na wojnach i poskładanego w ofierze, ale któż go miał wziąć?  
Za słabe były dłonie.

Wszyscy na starego Wizuna poglądali, który na pagórku stał, na kiju się oparł, patrzył  
i milczał. Chcieli mu wyczytać z twarzy, co myślał — a twarz miał, jakby zamazaną z bólu

<sup>49</sup>kniaź — władać; sprawować władzę jako kniaź. [przypis edytorski]

i skrzepłą. Nie drgnął w niej marszczek, nie poruszyły się usta, oczy osłupiały nie mrugnęły nawet ani się łzą zwilżyły.

Choć wieczór nic już dostrzec nie dozwalał, stali tak jeszcze, patrzali ciągle na Wizuna i ku lądowi. Wtem na fali coś plusnęło.

Ryba to się rzuciła, czy człowiek ratował? Mrok widzieć nie dawał. Coś jasnego wystąpiło z fali i znikło. Poruszała się woda. Człowiek płynął powoli osłabły. Wizun z pagórka zszedł i zbliżył się ku brzegowi, tuż — oczy jego dopiero teraz patrzeć zaczęły, jakby rozeznac chciał.

Widać było ponad wodą głowę obmokłą, długim włosom okrytą... Pływak zbliżał się już ku wyspie. Jeszcze chwila a miał do lądu przyplynać — lecz zdało się, że mu sił brakło.

Wizun sam rzucił się prędko ku wodzie — wszedł w nią po kostki, po kolana — ręce wyciągnął, topielec się zbliżał, rzucił ku niemu jakby wysiłkiem ostatnim i — za dłoń wyciągniętą pochwycił.

Starzec ciągnął go na suchy brzeg, ale już omdlałego. Nadbiegł posługacz — pochwyciono go dyszącego jeszcze — lecz jakby uspionego ze znużenia. Krew zgęstła<sup>50</sup> na nim widać było i rany sine... Wizun przyklęknął nad nim.

— Doman! Dziecko moje! Żyjesz ty? — zawołał.

Oczy się otworzyły tylko i zamknęły. Podniesiono go i na sukni, którą Wizun zwał z siebie, złożono na murawie — drugą opończą okryto. Stary klęczał wciąż przy nim. Z dala przypatrywały się niewiasty.

Dziwa, której imię Domana w uszach zabrzmiało — zbliżyła się też trwożliwie. Wizun zawołał na nią — aby podała ciepłego napoju.

Dyszał już ledwie topielec, mówić nie mógł — ale żył. Wizun schylony nad nim z wody go ocierał i dłońmi ogrzewał własnymi.

Ruszyli wszyscy do ratunku, stara Nania pobiegła też ziele zgotować, które by życie przywrócić mogło.

Z wolna topielec jakby ze snu się przebudzał — klęknęła przy nim Dziwa pojąc go sama, zapomniawszy o sobie i o wstydzie. Przyszła siwowłosa Nania, Doman otwierał oczy, ale powieki opadały mu znużone.

Wzięto go już nocą na nosze z gałęzi i niesiono do Wizuna chaty. Stary odstąpił mu posłania i na ławie usiadł przy nim. Sam poobwiązywał mu rany. Przy chramie zawsze dla chorych ziele wszelkiego było siła, Wizun znał leki stare, spodziewał się więc dawnego swego wychowanka ocalić. Orzeźwiony, napojony, usnął mocnym snem — do rana.

Opatrzywszy go, Wizun znowu poszedł czuwać u brzegu. Po śmiałych Pomorcach wszystkiego się spodziewać było można, nawet napadu nocnego garści jakiej na Lednicę.

Nikt też spać się nie kładł do rana — siedzieli czatując u brzegu. Na brzask się miało, i cisza panowała dokoła, na jeziorze nie widać już było pływających trupów, na lądzie pogasły ognie, gdy Wizun, który czuwał z oczyma wlepionymi w jezioro postrzegł przy słabym świetle poranka jakby plamkę czarną na jaśniejszej topieli... Posuwała się ona z wolna ku ostrowi.

Płynął ktoś od lądu, lecz z wolna, jakby go sama fala niosła, bo wiatr dął z tamtej strony. Czasem czólenko stanęło, to znowu pędzone podmuchem, zawróciło się i płynęło dalej.

Dniało — wkrótce stary mógł już dostrzec ponad wątłym czólenkiem podobnym do niecki zgarbioną, jakby uspioną postać kobiecą, płachtą okrytą. Ze znużenia znać drzemała w tym czólenku, które jej życie ocaliło — dając mu się nieść, gdzie doła wiodła. Tak z wolna, już nade dniem jasnym skorupka ta do lądu przybiwszy, zaczęła się kołysać, stanęła... Kobieta siedząca w niej przebudziła się, obejrzała, podniosła, płachtę zgarnęła, kij z czółna dobyła i niepewnym krokiem chcąc na ląd dostać, upadła.

Była to nieszczęśliwa Jaruha, której Pomorcy nie zabili — ocalała jako wiedźma, której czarów się lękano. Nocą jakiś zapomniany czólenek postrzegłszy na brzegu, siadła weń, odepchnęła się kijem i powierzyła wiatrom i wodzie.

Upadłszy starucha odzyskała siły trochę i przytomności, orzeźwiła ją woda, którą obmokła — podniosła się rozglądając do koła. Wizun wstał, poznała go zaraz, podnosząc ręce szła z wolna ku niemu.

<sup>50</sup>zgęstły — dziś: zgęstniały. [przypis edytorski]



— Żywie<sup>51</sup>, bóstwo moje, od śmierci mnie uratowało. Już, już Marena<sup>52</sup> chwyciła za gardło, chcąc ciągnąć do Jamy... a Żywie, dobra macierz, płaszczem swoim okryła... i stare kości ocalały.

— Dużo ludu zginęło? — zapytał Wizun.

— Dużo? Tyle, ile go było... Zginęli wszyscy... Widziałam trupa tej co wczoraj była dziewczyną, a umarła oczepiona<sup>53</sup>... Oszczep jej w piersi wbili. Zginął młody, poginęli družbowie, družki do psa wybili wszystkich, do nogi.

Potrząsała głową starucha, patrząc w ziemię i ocierając twarz zmkłą.

— Spalone chaty?

— W popiele wszystko... w popiele... Krukom biesiada, a ludziom żaloba i łzy — westchnęła.

— Pociągnęli dalej? — pytał Wizun.

Na to pytanie Jaruha nie umiając odpowiedzieć zrazu, palcem się zaczęła bić w czoło — sama z sobą biedując<sup>54</sup>, aby myśli zebrać rozprzęgle.

— Leżałam zabita na ziemi, gdy mnie Żywie płaszczem swym odziało... nie widziałam nic... nie słyszałam nic. Szumiało długo koło mnie, deptali nogami. Czekaście? cóż się stało?. Ha! nad ranem, nad ranem coś ich nastraszyło.

Bogunki i wodnice występować zaczęły z jeziora, wiatr zadął i pędził ich precz... Ruszyli się, zawyli i dalej z łupem pociągnęli, a trupy zostawili na brzegu. O! trupy bieleją jak kwiatki wiosną na łące... Poszli, poszli — już ich nie ma, ale któż wie, czy nie wrócą?

Wizun lżej trochę odetchnął, lecz czy starej Jaruże, której się w głowie mieszało, uwierzyć było można?

Pytana, coraz inaczej rozповідаła... Potem i głosu jej zabrakło, siadła na trawie przy drzewie, głowę o pień oparła, twarz płachtą przykryła i usnęła.

Tymczasem i drugi czółen nadpływał. Wiózł on starego parobka, który w trzcinach się schowawszy, po szyję w wodzie stojąc do rana, dopiero o brzasku znalazł łódkę jakąś, by na niej do ostrowu dopłynąć.

Ten opowiadał, że Pomorcy złupiwszy i spaliwszy okolicę, nastraszeni jakąś wieścią w nocy im przyniesioną, nazad do swoich lasów pierzchnęli. Słyszał on, że tratwy i czółna wiązać chcieli, aby się dostać na Lednicę po skarby — ale ich spłoszył goniec, który od granicy biegał. U jeziora nie zostały w istocie tylko popioły i gruzy a stratowana ziemia i niepogrzebane trupy.

Uspokojony poszedł Wizun do chramu i do swojego chorego, ale ten spał jeszcze — a dobudzić się go było trudno. Stary więc nagotowawszy strawę, siadł czekać, ażeby sam z tego snu wyszedł. Niekiedy tylko rękę mu kładł na czole i sercu, czoło było gorące i serce biło żywo. Rany się pozamykały i przyschły.

Z południa ciężkim westchnieniem zbudził się Doman, chciał podnieść — nie mógł, nie wiedział, gdzie był, i dopiero Wizuna mowa, pamięć mu z wolna przywróciła. Ten jeść i pić kazał mu, nie pytając już o nic — a po wypoczynku dopiero, usta otworzyć pozwolił.

Jak przez sen pamiętał Doman, wesele swoje — popłoch nagły, ucieczkę z Miłą, pogoń za sobą, śmierć dziewczęcia, potem niewolę — znęcanie się, ostatni wysilek dla ocalenia i walkę z wodą, którą, choć osłabły, potrafił zwyciężyć, dostając się do ostrowu. Przypomnił sobie, jak w gorączce rozpaczliwej bronił się śmierci, zdrętwieniu, jak fale unosiły go i rzucały, jak tonął i dobywał się z topieli, aż nareszcie u brzegu ujrzał nad sobą znaną twarz starego Wizuna... O smutnym weselu swym, Doman mówić nie umiał, Wizun nie chciał słuchać.

— Wydychaj no chorobę, sił nabierz — rzekł Wizun — potem na koń wszyscy i Pomorcom dać naukę!

My dziś pszczoły w ulu bez macierzy, nie ma prowadzić, nie ma kazać komu, zginiem, gdy tak potrwa dłużej!

Leszków nie chcieli — niech wezmą, kto z brzegu, bez głowy się nie ostaniemy. Wyrocznie rzekły: wybierzcie małego, wybierzcie pokornego, ubożego wybierzcie...

<sup>51</sup>Żywie — w mit. słowiańskiej bóstwo dające i podtrzymujące życie; także: *Sziwa*. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Marena — Marzanna, w mit. słowiańskiej bogini śmierci i zimy. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>oczepiona — w czepku zakładanym podczas wesela młodej mężatce. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>biedować się — męczyć się. [przypis edytorski]

Ani tego dnia, ani następnego Doman powstać nie mógł, paliło go pragnienie, snem gorączkowym usypiał, budził się z krzykiem i drzemał znowu.

Wizun przychodził, przesiadywał, oddalał się. Dwa razy, gdy spał Doman, do chaty podkradła się Dziwa, podsłuchiwała pode drzwiami, uchylała je ostrożnie, słysząc, że usypiał, popatrzała na twarz bladą i pierzchnęła zarumieniona i przelękła. Lękała się, aby ją kto nie schwycił tu — a widzieć go pragnęła, wstyd jej było samej siebie.

Trzeciego dnia podniósłszy się siedzieć mógł i był spokojniejszy. Dziwa się już nie pokazywała. Nad wieczorem na nią kolej przypadła zanieść stawę dla chorego i starego... zawahała się, strach brał i ochota razem. Wizuna właśnie w domu nie było, gdy przyszła, a Doman siedział sam... Obaczył przez okienko, jak pierzchnęła z sieni.

— Dziwa! Dziwa! — zawołał — ranę byś mi opatrzyła, świeżym liściem obłożyła, gdybyś litość miała.

— Toż ci Wizun czyni sam! — odpowiedziała z dala, chcąc ująć.

— Staremu się ręce trzęsą! — odparł Doman.

Dziwa chciałaby była pójść i wahała się — aż Wizun nadciągnął. Doman ujrzawszy go, prośbę powtórzył.

— A idźże mu rękę przewiązać! — rozkazująco rzekł stary — nie czyja to sprawa, tylko niewiast być powinna.

Dziwa usłuchać musiała i razem ze starym do chaty weszła zapłoniona cała. Doman siedział na ławie w koszuli i siermiężce, a na piersiach, gdzie się płótno rozchyliło, dziewczę postrzegło szeroką bliznę, tę, którą mu jej własna ręka zadała. Zdało się nawet dziewczynie, że ją może odsłonił tak umyślnie. W milczeniu, posłuszna przystąpiła do ręki i prędko świeże liście babki przyłożywszy, cofnęła się co żywo, a za drzwi wyszedłszy, jak strzała pobiegła do chramu.

Wizun w twarz patrzył Domanowi — oba niemym wzrokiem niby się coś sobie powiadać zdawali.

— Dziewka się ciebie boi — rzekł Wizun — a ty, niepoczciwy, znowu patrzysz na nią.

— Zapomniałbym może, gdyby mnie tu ta nieszczęsna woda nie przyniosła! — odpowiedział Doman.

— Dola<sup>55</sup> — szepnął Wizun.

— Dola — powtórzył Doman i zamilkli, stary coś poprawić poszedł w kątku, jakby chciał ukryć wyraz swej twarzy.

Nazajutrz, gdy Doman spróbował wyniść i usiąść w progu, nie pokazała się już dziewczyna ani tu, ani około chaty. Obiecywał sobie, że za dni parę zdrowieje, sił nabierze i będzie mógł do domu powrócić.

Tymczasem zapadł znów gorzej, do późnej nocy przesiadywał na chłodnym wietrze i rosie, stary go do łóżka położył z gorączką. Żał mu się go zrobiło, gdy potem ujrzał osłabłym i z żalu może, sam zapadł, skarżył się, że go po kościach łamało. Dziwę tego dnia wezwano do dwu chorych, aby im posługiwała. Nie wymawiając się bardzo od tego, zobaczywszy Domana chorym, zajęła się nim w milczeniu, troskliwie, unikając tylko wzroku i nie rozpoczynając rozmowy. Doman też może rad temu, że przybyła, płoszyć jej nie chcąc, siedział milczący. Dopiero wychodząc we drzwiach dziewczę podniosło nań oczy nieśmiało, zaparło drzwi<sup>56</sup> prędko i uciekło.

Jaruha od owego poranku, ciągle po wyspie błądziła. Było jej tu dosyć dogodnie, bo pielgrzymi ciągle jej potrzebowali i karmili, a od chramu też coś dawano. Gdy nie było co innego do roboty, związawszy miotłę, zamiałała około tynów i przy progach. Nagadać się było z kim, pobłąkać, choć ciasno, mogła do woli na ostrowiu, a sypiała pod drzewem, okryta płachtami, do czego z dawna była przywykła.

Ciekawość prowadziła ją po wszystkich zakątkach. Z kolei siadała na łące przy gromadkach, u brzegu jeziora sama jedna pod starą wierzbą lub na progu której chaty.

Tego dnia zobaczywszy Dziwę wychodzącą od Wizuna, zachciało jej się także zajrzeć do mieszkania starego.

<sup>55</sup>dola — los, przeznaczenie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>zaprząc drzwi (daw.) — zamknąć drzwi. [przypis edytorski]

Otworzyła drzwi, Doman siedział na pościeli, zaczęła mu się przypatrywać pilno. Wzdychając, że jej wnijsć nie broni, powoli do izby się wsunęła.

— A! a! — rzekła, oswoiwszy oczy z mrokiem, który w chacie panował — ty to jesteś, com ja ci ranę goiła, co ci żonkę zabili! No — szkoda jej! hoża była i wesola jak szczygielek, ale by jej u ciebie nie było tak dobrze jak w domu.

— Czemu? — spytał Doman.

— Bo wy bohaterzy, żupany — mówiła stara — wy niewiastami teracie, u was jest ich zawsze dosyć! E? wszakże to ciebie Wiszowa córka była tak ukłuła? — dodała śmiejąc się Jaruha. Doman się wzdrygnął. — A ona ci teraz ziele nosi!

— Nie pleć, babo — zawołał — nie wspominaj!

— Ona tu jest i panuje — mówiła baba — jej się nie chciało u was garnki pomywać, woli z założonymi rękami przy ogniu siedzieć — ciągnęła powoli Jaruha — bo też to kmiecia córa, a dla tych to i knezia mało. Rączki mają białe, co pracować nie umieją, i oczki czarne, co pogardliwie patrzą...

Mówiąc zaczęła się przypatrywać Domanowi, którego bladą twarz oblał nagły rumieniec.

— A cóż? tu, na ostrowiu musieliście z nią zrobić zgodę? — zapytała.

— Mało co ją widziałem — z pozorną obojętnością dodał Doman i zamilkł.

Stara, niby zamyśliwszy się, sama dla siebie, stukając kijem w takt pieśni, śpiewać zaczęła chrypliwym głosem:

Oj — chodzę ja, chodzę  
Jak biała lelija,  
Gdzie się nie obróćę,  
Wiatrek mną powija...  
Wyjdę na policzko,  
Zaśpiewam se jeszcze,  
Spojrzę na słoneczko,  
Wysoko my jeszcze...  
Lecą ptacy, lecą,  
Daleko, daleko,  
Niech mój smutek wezmą  
I niech z nim ucieką...

— Albo i to... dola — dodała prześpiewawszy — żeby was tu woda jej pod nogi przyniosła... Lepiej by już wam było nie spotkać się z sobą... a to się tobie blizna jeszcze otworzyć gotowa, gdy się zbliży dziewczka, co ranę zadała... Bo mówią tak, że niepomszczona krew rzuca się, gdy ten, co ją przelał, podejdzie... A ona też znać się was boi, chodzi jak ziele mrozem zwarzone...

I trzęsła głową Jaruha, a gdy Doman milczał, ciągnęła znowu dalej.

— Czy ona wam teraz zbrzydła? No, powiedzcie... przyznaj się! Gdybyście jeszcze do niej lgnęli... hm... to moja sprawa dziewczuchom do chłopców, a chłopcom do dziewcząt pomagać... Stara baba, która w żarnach nie miele, rada by choć popatrzeć, jak się mąka robi! Znalazło by się ziółko, sposób, urok... musiałaby ona wam być posłuszną i pójsć, gdzie byście jej kazali, jakbym ja jej zadała!... Wy sobie myślicie może, że ja niewarta psa, kiedy w takich łachach po świecie się włóczę... a ja się z takimi znam, co wiele mogą... I jak zawołam, przychodzą do mnie... a jak każe, robią, co im powiem.

Potem ciszej mruzczała babina.

— Mnie się zmory boją i latawice... ja jak tupnę nogą, muszą mi krasnalki obuwie wiązać! o! o!... Podziomki truchleją, gdzie ja się pokażę, mary i nocnice płoszę... bo ja sama wiedźma jestem!

Doman milczał, aż nierychło się ozwał obojętnie.

— A cóż wy na to możecie, gdy dziewczka bogom ślubowała? Nie chce ona nikogo...

Rozśmiała się Jaruha.

— Hej! hej! — zawołała — ślubowały, ślubowała niejedna, a mało to ich poszło od tego ognia w chrampie do tamtego, co się w chacie pali? Niechby tylko chciała, nikt jej nie zabroni, byle do chramu okup dać! Wizun ich ma dosyć na posługę...

Krew, Zemsta

Doman patrzył i słuchał z coraz większą uwagą.  
— Ja ją wam namówię!... — zamruczała Jaruha.  
— Nie może to być! — żywo odparł Doman.  
— Może! Ja wiele znam<sup>57</sup> — śmiała się stara — choć poprobuję...  
— Miałabyś chleb do żywota na stare zęby — rzekł chłopak.  
— Tsy! ja już zęba ani jednego nie mam — śmiała się wiedźma — co mi po suchym chlebie? Nie ugryzę! Trzeba mi mleka, w którym bym go rozmoczyć mogła i kawałka mięsa, bo z tego posiłek najlepszy... a zjadłszy popić muszę... na dobry sen, juści nie wodą. Staremu ona niedobra.

— Wszystko byś to miała — odparł Doman — i kożuch na zimę, ale to być nie może.

Jaruha z ławki wstała, zbliżyła się do łóżka, ręką pomarszczoną pogładziła po głowie chorego.

— Nie spiesz no się doma, jeśli ją chcesz mieć... ja wiele znam...

To mówiąc zaczęła piosnkę nucić i wysunęła się z chaty wprost do kontyny.

Nie weszła jednak do środka, podniosła róg sukiennej zasłony, zajrzała, spuściła ją i siadła czatować na jednym z kamieni. Wiedziała, że tamtędy dziewczęta przechodzić musiały po wodę. Spod nóg tymczasem zrywała zioła i trawy, przebierała je starannie i w pęczki wiążąc, do torby wsuwała.

Długo tu siedzieć musiała, nim któraś z dziewcząt na pytanie odpowiedziała jej, że stara Nania wysłała Dziwę dnia tego, aby w ogródku różne zioła zrywała, które w chramie na wianki i kadzenie dla chorych były potrzebne. Jaruha dopiero nad wieczorem dowiedziawszy się o tym, pociągnęła do sadu za chramem.

Był to niewielki pola kawałek, płotkiem ogrodzony, bo nie każdemu wchodzić tam wolno było, kilka starych wierzb i olch rosło pod okopem, który go opasywał. W pośrodku były zielone grzędy, a na nich pozasiewane zioła: macierzanka, smłot, boże drzewko, biedrzynek, przestępy, wrotycze, dziewięciosiły.

Dziewczę już uzbierawszy to, co jej nakazano, siedziało na wale, układało, obrywając suche liście i wiążąc pęczki. Jaruha zza płotu ukazała się, zagadując:

— Córka moja, a to bym ci pomogła...

Dziewczę główką obojętnie rzuciło, ale stara weszła z wolna, na ziemi usiadła, nieproszona wzięła się do kupek leżących na ziemi i bardzo prędko i zrećnie składać je i wiązać zaczęła.

Milczała z początku, wpatrywała się jej w twarz, mrużąc coś niewyraźnie.

— O! o! — rzekła w końcu — ja bym tu na Lednicy nie wyżyła... Ciasno, cicho, świata nie widać, jak w kleci<sup>58</sup>...

Dziwa wiązała trawy i nic nie mówiła.

— Przy ogniu musicie się piec... dym oczy wygryza. Krasy waszej szkoda... — coraz żywiej i śmielej ciągnęła. — Wy się tu męczycie, dziewucho!... O! o! ja znachorka jestem, ja wiem wszystko i znam... i przez gźło<sup>59</sup> widzę, co się w człowieku dzieje... Tak! tak!

Dziewczyna zarumieniona mocno spojrzała bojaźliwie.

— A cóż wy we mnie widzicie? Co? co?

— Coś ja widzę... coś... ono się dopiero zawiązuje... poczyna — mówiła dalej Jaruha — ale trawa byle z ziemi wylazła, prędko rośnie... Nie darmo tu dola znowu Domana przyniosła! Co komu przeznaczone, to nie minie...

Na wspomnienie Domana rzuciła się Dziwa, spuściła głowę ku trawom i przebierać je prędko zaczęła, a stara widziała dobrze, że co je układać miała, to mieszała coraz gorzej.

— Znacie wy bajkę o pięknej królewnie? — rzekła.

Dziewczę, nie śmiejąc jeszcze podnieść oczów, głową tylko milcząc potrząsało<sup>60</sup>, jakby mówiło, że jej nie zna, a Jaruha tak dalej ciągnęła:

— Jednego czasu była na świecie bardzo piękna dziewczka u króla, który ją kochał nad życie. Co tylko chciała to miała, ptasiego mleka nawet jej nie brakło... Aż, gdy wyrosła,

Kobieta, Mężczyzna,  
Małżeństwo, Przemiana,  
Ucieczka, Los

<sup>57</sup>znać — tu: wiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>kleć — klatka. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>gźło a. giezło — obszerna i długa koszula noszona przez kobiety. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>potrząsało — dziś: potrząsnęło. [przypis edytorski]

a ojciec mówić zaczął, że czas za mąż iść, wręcz mu powiedziała, że nie pójdzie za nikogo, tylko za takiego, który od niej rozumniejszy i zręczniejszy będzie, a jej się upodoba.

Więc nad dworem królewskim złote koło przybito i zaczęli do niej jechać w swaty, i jechali królowie, panowie, kmiecie, żupany, kneziowie, chłopaki dorodne, krasne... ale, gdzie!... wolność jej była miła, żadnego nie chciała.

Jeden był za duży, to go obrem<sup>61</sup> przezywała; drugi za mały, to go krasnalkiem zwała; ten był za czerwony, tamten za bładny, jeden za mądry, drugi za głupi... dosyć, że się nie spodobał żaden.

Po ogródku sobie chodząc kwiatuszki zbierała, piosenki śpiewała, z ludzi się śmiała, w boki się brała i powtarzała:

— Nie będzie mnie miał żaden! nie będzie!

Przyjechał który, wydziwiała srodze. Jednemu kazała sobie przynieść wody żywiącej, której smok o siedmiu głowach pilnował. Ten poszedł po wodę ze złotym dzbanuszkim i nie wrócił; smok go połknął, a dzbanuszek sam do dworu przyplął.

Drugiego posłała po złote jabłka na górę lodowatą, ten jechał, jechał, wpadł w przełęczę i ryby go zjadły tylko piórko od kołpaka pod dwór przyplęło.

Trzeciego wyprawiła, aby jej gwiazd na sznurek nanizal, do noszenia na szyi; ten poleciał wysoko i sępy go rozszarpały, co pilnują nieba, tylko sznurek krasny upadł pode dworem.

Aż się wybrał w swaty do niej królewicz Siła, czarownik wielki, ten gdy ją zobaczył, serce mu się zagotowało i rzekł w sobie:

— Bym i życie postradał, to ją muszę mieć!

Królowna, jak go tylko zobaczyła, srodze się ulęknęła, poczęła bardzo drzeć i płakać.

Kazała mu zaraz iść za morze i przynieść tego ziele, co umarłych odżywia, do którego dostąpić nie można ino przez płomienie, a woda ich żadna nie gasi.

Królewicz zaraz ptakiem się stał, poleciał za morze, z góry na ziele padł, dziobem je pochwyił, uszczknął i przyniósł gałązkę. Właśnie był królowi synek zmarł i smutek we dworze wielki był, przyłożyli ziele do serca, aż chłopak wstał, oczy przetarł i zawołał:

— Dawajcie jeść, bo mi się bardzo dobrze spało.

A król szczęśliwy uściskał go i zawołał do córki:

— Inaczej już nie może być, musisz mi zaraz za niego iść.

Królowna zapłakała gorzkimi łzami.

— Kiedy muszę, to pójdę — rzekła — ale nie inaczej, aż mu się ja siedem razy schowam i siedem mnie razy wyszuka. Dopiero będą jego...

Była bowiem wiedźma wielka, a mogła siebie i drugich przemieniać, jak się jej zachciało; ale królewicz też czarownik był jeszcze większy i umiał tak się przerzucić, jak zapragnął.

Drugiego dnia, przez okienko otwarte, królowna poleciała gołąbką po dworze, zamieszła się w stado i z ptastwem latała... A że ptaki czuły w niej innego ducha, że nie swoją im była, co się do gromady zbliżyła, stado się zaraz rozsypywało, a ona siedziała jedna. Królewicz się jastrzębiem uczynił i pogonił za nią... Ulęknęła się go strasznie, usiadła na ziemi, przemieniła w dziewczynę. Patrzy, jastrząb przy niej królewiczem stoi i za rączkę ją bierze...

Poszła więc gniewna, zamknęła się w komorze, płakała, myślała nockę całą, nade dniem do ogródka się wsunęła, usiadła na grządce i liliję zakwitła... Wszystkie lilije koło niej jak śnieg białe, ona jedna, że krew miała, więc na grządce różowiała...

Królewicz z ojcem idą do ogrodu... bieduje bardzo, gdzie jej teraz ma szukać, jak ją znaleźć?...

Stanęli jakos przy grzędzie, przy lilji; gdy się do niej zbliżyli, biała lilija ze strachu jeszcze mocniej pokraśniała.

Królewicz zaraz poznał ją po rumieńcu, rękę przyłożył do łodygi — aż tu panna stoi i płacze.

— Poznałeś mnie dwa razy, nie odgadniesz raz trzeci.

I do komory leci, zaszuwa się, na łóeczku siadła, płacze, płacze, aż z łez strumyk płynie. Myślała, myślała, płakała noc całą, nad rankiem okno odsunęła... i złotą muszką wyleciała.

<sup>61</sup>obr — olbrzym, ogr. [przypis edytorski]

Leci, leci, ale strach jej wielki. Ptaszki za muszkami latają, tylko co ją który nie dzióbnie. Królewicz może podpatrywał, może mu kto podszeptował, przemienił się w straszne-  
go pająka, zasnuł w powietrzu pajęczynę ogromną — i czeka. Wróble muszkę napędziły  
i w siatkę mu wpadła... pająk do niej... królowna stoi i płacze.

— O doloż ty moja, doleńko!

A pająk ją za białą rączkę trzyma.

— O! ja nieszczęśliwa! Poznał mnie trzy razy... co ja teraz pocznę... gdzie ja się ukry-  
ję...

Znowu idzie do komory, siadła na łóżeczku, głową nakryła i płacze a zawodzi.

— Doloż ty moja, doleczko!

Siostry do niej pukają, przyszły i powiadają.

— Popłyn ty rybką na morze... morze szerokie, głębokie morze... nie znajdzie tam  
ciebie...

A ona zawodzi:

— Poznał mnie trzy razy, co ja pocznę teraz, gdzie ja się ukryję?... W morzu są  
potwory... i boję się morza...

Płakała noc całą, a gdy rozedniało, na brzeg morza biegła; nie widziała, jak królewicz  
patrzył zza drzewa.

Plusnęła w wodę rybką złotą, a on tuż w srebrną się przemienił. Gdzie się złota rybka  
obróci, srebrna goni za nią. Uderzyły się głowami; słyszy królowna słowa:

— Czwartys raz przegrała i musisz być moją!

Gdy te słowa usłyszała, panna do brzegu płynęła i biegła do malowanego dworu,  
zamyka się w komorze i płacze.

Płacze znowu noc całą, nade dniem się namyśliła. U brzegu nad wodą tyle kamuszków  
leży... któż mnie poznać tam może, gdy ja się białym kamuszkciem położę?... Poleciała na  
brzeg do świtu, w kamyczek się obróciła śliczny i leży.

Królewiczowi piąty raz już bardzo było odgadnąć trudno, rozpaczal strasznie. Gdzie tu  
jej szukać, w powietrzu, na ziemi, w wodzie, pod ziemią, czy nad ziemią? Szedł tedy nad  
brzeg morza, chcąc się topić. Chodzi, chodzi, narzeka, ręce łamie, wtem na kamyk na-  
stąpił przypadkiem... a jakie oczko śliczne!... Schyli się do kamyka, a tu panna wykrzyka  
i z ziemi wstaje, z suknią przydeptaną, bo ją nogą ucisnął.

— Znalazłem cię piąty raz... musisz być moją — woła królewicz.

— Do siedmiu daleko! Będziesz mnie miał za siódmą górą i za siódmą rzeką!

Panna do dworu gniewna bieży, aż na ziemi w komorze leży... tak się smuci, tak  
w łzach płynie. Postrzegła myszkę na podłodze, jak się zwinęła i do dziurki schowała,  
i myśli:

— Myszką się stanę... skryję się w norę... tam on mnie nie wyszuka.

Ale wróbel na oknie siedział, słyszał jak szeptała, poleciał do królewicza, usiadł mu na  
ramieniu i szczebiocze.

— Panna myszką się stała... w dziurkę małą schowała!

Królewicz w kotka burego się odmienił, siadł i czatuje.

Mysze jeść się zachciało, prószynki od korowaja pod stołem leżały, ledwie główkę  
pokazała, kotek drogę zastępując:

— A tuś!

Złękła się królowna, aby jej nie połknął, nie schwycił, aż tu słyszy te słowa:

— Poznałem cię szósty raz... moją musisz być teraz...

Padła panna na ziemię i płacze.

— Nieszczęśliwa godzina... doloż moja, doleczko... co ja pocznę z nim?

Na siódmy raz zeszyły się wszystkie siostrzyce i druhny, i czarownice, radzą, radzą cały  
wieczór i noc całą, dzień zaczyna i nic nie uradziły... Królowna z płaczu i ze wstydu się  
zachodzi. Wolalaby już była od razu za niego iść, niż siedem razy się sromać, a ósmym  
w niewolę popaść.

W okienku świta. Co tu począć gdy słonko wnijdzie?... Musi się przemienić! A słonka  
tylko nie widać!... Radziły siostry, radziły, aż się królowna zmieniła w starą żebraczkę,  
pomarszczoną, żółtą, straszną jak ja i... poszła żebrać na gościniec. Mówiła sobie:

— Nie pozna mnie...

Stoi, stoi na drodze, jedzie król na koniku... co za baba stoi? Kazał dać jej miłosierdzie... pojechał. Myśli sobie panna:

— Ojciec własny nie poznaje! Wygrana moja...

Jedzie pan brat, jedzie, spojrzął na staruchę i rozśmiał się.

— A! co za ropucha... spędzić mi ją z drogi...

Panna się odstąpiła i raduje:

— Nie poznał mnie własny brat... Wygrana moja...

Jedzie królewicz na siwku, w boki się wzięwszy i piosenkę nuci. Kołpaczek na ucho włożył, włosy mu wiatr złote rozwiewa... Nic się nie frasuje. Patrzy, żebraczka stara stoi... rzuca jej pierścień złoty.

Wtem panna ze trwogi, choć jej teraz poznać nie mógł, płachtę sobie na twarz zaciągnęła prędko. Tym się zdradziła. Patrzy panicz i wnet do niej przyskoczy, i podgląda jej w oczy... Oczów odmienić nie mogła, świeciły jak dwa słończka... Porwał ją wpół, na konika rzucił.

— Poznałem cię siódmy raz, musisz moją być teraz...

I sprawił król wesele, na którym ja też byłam, miód, piwo piłam — dokończyła Jaruha.

— Hę? hę?... Co komu przeznaczone, nie minie!

Dziwa słuchając uśmiechnęła się i zamyśliła.

— Może — dokończyła — tak to będzie i z Domanem, próżno od niego uciekać! W malowanym dworze byłoby lepiej niż na Lednicy, na ostrowiu...

Rzuciwszy to słówko, Jaruha wstała prędko, zanuciła i poszła. Wiedziała, że się ziarno rzuca w ziemię i leżeć musi czasem długo, nim zejdzie.

Dobrej myśli, podśpiewując, poszła wróżyć pielgrzymom, leczyć, zamawiać, okurzać, byle się za to posilić i napić.

Dziwa w ogródku siedziała, ręce opuściła, oczy w ziemię wlepiła, powtarzała po cichu.

— Przeznaczone nie minie!...

## V

Spokoju nie było u Polanów od Kaszubów i Pomorców, których podprowadzali i zmwiali Leszkowie. Zaledwie odpędzono jedną gromadę, wpadała druga, każda z nich coraz głębiej sięgała i niszczyła. Ludzie nie wiedzieli, gdzie ich szukać. Raz się wdarli od północy, to znowu od wschodu... z prawej to z lewej granicy, gdzie się ich nie spodziano.

A starszyzna się tymczasem na wiece ciągle to pod gród, to na uroczyska po lasach zwoływała, radziła, swarzyła i z niczym precz jechała, knezia sobie wybrać nie umieli. Nie było komu rozkazywać ni kogo słuchać, ni komu dowodzić a wrogów odpierać.

Ludzie się zabrali i do domów prędko rozbiegli.

Niebezpieczeństwo gnało w lasy, głód z nich wyganiał; spasione i stratowane pola stały odłogiem.

Było i takich wielu, co już Chwostka żalowali. Myszkowie dobrzy byli do obalenia, ale się do budowania nie zdali.

Ledwie jeden zbór<sup>62</sup> rozszedł się daremnie, gdy już wici na drugi słano. Tłumnie gromadzono się na niektóre, na inne ledwie kilku się przywlokło, a po granicy miecz i ogień bujały, jako chciały.

Zwoływano starych. — Radźcie. — Starszyzna stękała i rozpowiadała, jak to ono za dawnych czasów bywało.

— Starzy do niczego — mówiono — młodszych ściągnąć potrzeba. Zbierali się młodszy, o wojnie i o łowach prawiąc, dzień zmarnowali... pod wieczór piosnki śpiewali o dziewczętach.

Gdy Leszków napłynęło dużo, Myszkowie szli precz, kiedy się tych więcej ściągnęło, Leszków drużyna swoich odciągała.

Co począć było, nie wiedziano, a przecież coś trzeba było poczynać.

Jednego wieczora, gdy się na Chwostkowym grodzisku znowu wiec kończył narzekaniem daremnym, spostrzeżono jadących ku niemu dwóch obcych ludzi, a ci, co u Piastuna byli na postrzyżnach, poznali w nich tych samych, z którymi tam biesiadowali.

<sup>62</sup>zbór — tu: zebranie, zgromadzenie. [przypis edytorski]



A że właśnie jeść mieli i posilać się po całodziennym wołaniu i stękananiu, wyszedł jeden z Myszków ku nim i w gościnę ich do wspólnego ogniska zaprosił.

Zsiedli więc z koni i przyszedli do gromady, pozdrawiając ją w imię Boga jedynego.

Zastawiono przed nimi kołaczki i mięsiwo, piwo i miód. Mięsa jednak tykać tego dnia nie chcieli i chleba tylko ułamawszy, po trosze się piwa napili.

Młodszy z nich, widząc zasępięte twarze i oblicza chmurne, zapytał, jaka by była przyczyna, że w tych mirach polańskich takie panowało zamieszanie, a oni też sami tak byli utrapieni.

— Jakże inaczej ma być — odezwał się Ścibor stary. — Otośmy jednego zła pozbyli, a drugiego napytali. Nie chcieliśmy niewoli, a nastąpiło zamieszanie. Zrzuciliśmy z tego grodu plemię złe, które nas nękało, a innego sobie dobrać nie umiemy. Ziemię naszą niszczą wrogowie, my się im skutecznie obronić nie umiemy...

— Zaprawdę — odezwał się młodszy z gości — jest to wielkie zło, że mając wojnę wodza nie macie... Przejechaliśmy ziem wiele, od Dunaju począwszy po Łabę i Odrę, a nigdzieśmy nie znaleźli ziemi, gdzie by knezia lub króla, albo wodza i głowy nie było. Sasi i Frankowie naciskają nas wszędzie, bronić się im trzeba albo, jak Obodrycy, trzymać z nimi przeciw swoim, lub ze swoimi wiązać przeciw nim... Inaczej pójdą ziemie w niewolę... Czymże się to dzieje — zapytał gość — że wodza sobie wybrać nie możecie?...

— Tym — rzekł Ścibor — iż każdy z nas chciałby nim być... i każdy się lęka, aby, gdy równy mu wczoraj nim zostanie, jutro go nie nękał.

Myślał trochę młodszy z gości.

— Jeżeli możniejsi się nie godzą — rzekł — jedni drugim zazdroszcząc i lękając się siebie, dłaczegóż byście ze krwi waszej, ubogiego a małego człowieka dla jego poczciwości wynieść nie mieli?

Umilkli wszyscy, a zdziwili się mocno, iż obcy im tę samą radę dawali, którą przyniesiono od wyroczni. Spojrzeli po sobie i Ścibor zapytał.

— Czy wam to wyrocznia też powiedziała jaka, że małego wybrać mamy?

— Nie — odparł młodszy — ale kto ubogim być umiał, pokornym i zacnym, ten w szczęściu i wyniesion sprawiedliwym być potrafi...

A starszy dodał.

— Wszakżeż ubogim jest i ten, który nas czasu postrzyżyn syna swojego przyjmował u siebie, przecie go wszyscy szanujecie. A czemu by i ten waszym kneziem nie miał być?... Rozum ma po temu...

— Piastun!... — zawołali wszyscy razem — Piastun!...

I jakby dopiero teraz przejrżeli jasno, wszyscy poczuli mówić o nim, chociaż między kmieciami jednym z najuboższych był.

Ponieważ noc nadchodziła, obcy podróżni, wkrótce potem pożegnawszy obradujących, jechali stamtąd precz, gospody sobie szukając.

Gromada długo naradzała się po cichu i stąd wprost niektórzy na koń siadłszy, do chaty Piastuna jechali.

Stary właśnie we wrotach stał, stado z pola wracające oglądając, które rżało na widok pana. Patrzał, jak się do matek cisnęły zrzebięta, jak młodzież między sobą gziła się i gryzła. Od bytności dwóch obcych i upadku Pepelka smętne i dziwne myśli przechodziły mu po głowie.

Ścibor, Bolko i jeden z Myszków, przybywszy pod wrota, z koni zsiedli i weszli do zagrody, pozdrawiając starego gospodarza.

— Rad jestem gościom — rzekł do nich wesoło — chodźcie odpocząć pod strzechą... ale was uraczyć czym nie bardzo będę miał. W domu u mnie pustki... dopóki się coś nie zbierze, ubogim chlebem się przelamiemy... Czy z dobrą przynajmniej jedzicie nowiną, czyście nam pana dali?

Ci westchnęli spoglądając po sobie.

— Pana dotąd nie mamy, swobody aż nadto. Tymczasem pomorskie wilki głodne kraj nam niszczą, ani się im opędzić... Ledwie tchniemy. Leszki pozostałe coraz nam nowych na karki ściągają... Czas schodzi marnie.

Wtem Bolko wtrącił.

Władza, Zazdrość, Niewola,  
Wojna, Bogactwo, Bieda,  
Cnota

Koń

Słowo, Krew

— A wy, barci waszych patrząc, z nami nawet na radę iść nie chcecie? Siwe słowo wasze wagę by miało u ludzi.

— Cóż słowo pomoże tam, gdzie już krew mówiła, a tej nie posłuchano? — ozwał się Piastun cicho. — Jam człek mały i ubogi...

Słowa te z jego ust posłyszawszy ci, co Wizuna wyrocznie słyszeli i radę gości obcych, spojrzeli po sobie, jak gdyby dola sama przez usta jego przemówiła.

— Jam człek mały i ubogi!

Jakby trwoga jakaś ich ogarnęła, zdało im się, że wołą było niebios i bogów, aby ten a nie kto inny został wybranym.

— Jutro — zawołał Bolko — terazniejszego wiecu dzień ostatni... Nie może to być, ażebyście wy nie poszli z nami. Przybyliśmy tu po was, musicie iść... wołają was wszyscy... Jeżeli wy nie pójdziecie, rozpelnie się znowu wiec, a narzekanie będzie wielkie...

Stary nic nie odpowiedział.

Siedzieli jeszcze powzdychiwając, gdy w progu, błady jeszcze i słaby ukazał się Doman, który z Lednicy powracał.

Widać po nim było, co przeżył, choćby nie mówił nic. Zastyszano już tu coś o jego losie i wszyscy obstąpili go zaraz, dopytując co się z nim działo, a jak od Pomorców ocalał.

Zaczął im opowiadać, jako mu wesele sprawiano, a ledwie że się ono skończyło, gdy Pomorcy z Leszkami wpadli. Obnażył blizny, które mu pozostały od strzały i od sznurów, jakimi go krepowano do kości, począł się burzyć i wyrzekać o pomstę nawołując.

Pytaniom nie było końca, jak ująć potrafił i ocaleć. Ledwie wierzyć chciano, iż o swej sile mógł potem na ostrów dopłynąć. Drudzy o Pomorców, ich siły, o Leszków i o Niemców badali, jak oni byli zbrojni, czy się na kraj odgrządzali. Na wszystko Doman odpowiadać musiał, starając się tą żądzą zemsty, jaką w sercu miał, natchnąć drugich. Rozżarzyli się też i odgrzązać poczęli.

Doman także wołał, iż pilno było wodza wybierać, i że najgorszy nawet lepszym był od żadnego.

— Jeżeli prędko go nie obierzecie — dodał — każdy o sobie pamiętać będzie. Pzbierają się kupy zbrojne i kto silniejszym się poczuje, drugich za łeb pochwyci. Ja sam ludzi, jakich mam, ściągnę do jednego, niech pola jałowieją, niech zdychają stada, niech je wilcy wyjedzą. Nam trzeba iść na tych, co nas nękają, do ich gniazda i wydusić tam to plemię, abyśmy raz pokoju zażyli.

Długo tak gwarzono u ogniska, a potem pokładłszy się przy nim na ziemi spali.

Z brzaskiem dnia, po cichu Piastun sobie kobiałkę szykował do lasu, gdy Bolko i Ścibor postrzegłszy to, wzięli go pod rękę.

— Ty musisz być dziś z nami — rzekli mu — Gromada się tego domaga, a jej posłusznym być trzeba. Niechaj i Doman jedzie z nami, aby okazał rany i powiedział, co jego oczy widziały.

Chciał się jeszcze stary opierać.

— Jam do pszczoł, nie do wieców zdatny — mówił.

Ale to nie pomogło, upominali się wszyscy głośno, ulec więc musiał.

Pobudzono tych, którzy spali, i wszyscy na koń siedli jechać do grodu. A że czeladź Piastunowa już się o brzasku do roboty rozeszła, na koniu więc z nimi jechał Ziemek młody, syn gospodarza, aby miał staranie o ojcowskiej świerzopie<sup>63</sup>.

Pod wieżą obozem leżeli wiecujący, było ich tego dnia dosyć i coraz nowi jeszcze przybywali.

Grodzisko, na którego żuźlach i gruzach trawa już porastała, wygniecione było i jak tok ubite przez nieustannie obradujących, a jednak ze zborów tych nic dotąd nie wyszło.

Posłuch<sup>64</sup> o Niemcach i grożącym znowu najeździe, napędził starszyznę niecierpliwą. Niektórzy przybywali ze skargami, bo się im już Pomorcy dali we znaki. Szukali oni najmoźniejszych dworów i napadali na nie najczęściej, ubogim łatwiej z dobytkiem do lasów schronić się było.

Wojna, Zemsta, Wróg,  
Przywódca

<sup>63</sup>mieć staranie o kimś, czymś (daw.) — doglądać, opiekować się kimś a. czymś. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>posłuch — tu: wieści, pogłoski. [przypis edytorski]

Kołem już leżeli wszyscy, gdy Ścibor, Bolko, Myszek, Piastun i Doman nadciągnęli. Zobaczywszy starca, który w prostej siermiędze przychodził, tknięci wyroczni wspomnieniem i przez cześć dla siwych jego włosów powstałi.

Wnet go zaproszono do koła, miejsce mu czyniąc i wołając:

— Radź nam ojcze, ratujmy się, bo oto ginimy! Mówiliśmy już wiele, mówcie wy, niech usłyszym, co nam przynosicie.

Zewsząd się głosy podniosły ku niemu, ażeby pierwszy mówić poczynał.

— Aż nie wiecie, co czynić? — zawołał — ja wam nowego nie powiem nic. Zgody potrzeba i prędkiego wyboru. Litujmy się sami siebie a dzieci naszych. Ładu nie mamy, nieład panem. Ład czyńcie.

Milczenie się stało długie.

Wtem jeden ze starszyzny, którego zwano Krakiem, a miał być starego kneziowskiego rodu, powstał z ziemi, czapkę uniósł do góry i wykrzyknął piersią całą.

— Ten nam kneziem będzie! Piastuna wybieramy!

Ucichło chwilę, a potem wnet buchnęło ze stron wszystkich.

— Piastuna obieramy!

— Kneziem Piastun. Krew nasza!

I nie było ani jednego który by nie powtórzył tego okrzyku, jednego, co by mu się sprzeciwił.

Stary cofnął się, rękami jakby odpychając od siebie głosy, które się rozlegały coraz silniej, a coraz radośniej.

— Jam bartnik, człek prosty i ubogi — zawołał — ja ludźmi rządzić nie umiem. Stary jestem, dłoń mam słabą. Wybierajcie innego — nie czyńcie szyderstwa ze mnie.

To mówiąc i gdy tłum się ścisnął, a mieszał, stary skinął na syna, który z dala z końmi stał. Nim się opatrzone, co chce uczynić i zdołano zapobiec temu, wysliznął się im z rąk, gdy sądzili, że ku innym idzie okrzykującym go gromadom.

W mgnieniu oka, zanim pomyślano, by go zatrzymać, już dopadł konia i wraz z synem w cwał ku zagrodzie swej poleciał.

Rzucili się, kto żył, do koni, lecz nim je połapano, Piastun już dosyć odbiegł daleko, a świerzopa czując domową zagrodę, cwałem ku niej zdążyła. Naówczas ujrzano widowisko osobliwe, stu może jeźdźców w pogon biegających za obranym kneziem, gdy reszta pozostała na grodzisku, poprzysięgała, iż z niego nie znijdzie dopóty, dopóki kneź im zwrócony nie będzie i zmuszony do przyjęcia wyboru.

Biegli więc ścigający co tchu, nie tracąc z oka Piastuna i udało się im tylko syna, którego koń mniej był rączy, w ręce pochwycić przerażonego pogonią, gdyż nie wiedział, dlaczego ich ścigano i o ojca a siebie się lękając, łzami się zalewał.

Piastun, pierwszy dopadłszy do kraju lasu, znikł w nim z oczów kmieci, którzy go pochwycić chcieli. Zwolnili więc kroku wiodąc z sobą syna, a spodziewając się, iż w zagrodzie i ojca znajdą.

Przybywszy do dworu, na próżno pytali, nie wiedział o nim nikt, gdyż nie zatrzymując się w domu, wprost do lasu uciekł i skrył się w nim, puściwszy tylko siwą, która swoim obyczajem do wrót przysła i głowę na nich położywszy rżała, aby ją do zagrody wpuszczono.

Wielki żal ogarnął wszystkich na grodzisku, gdy się o zniknięciu Piastuna dowiedzieli — lecz, jak zrazu postanowili, tak dotrzymać chcieli i nie ruszać z miejsca, dopóki by obranego nie znaleźli. Ci, co najlepiej lasy i okolicę znali, wnet poszli na zwiady w puszcę, sądząc, iż łatwo zbiega wynajdą. Minął jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a Piastuna nie było. Powracali z pogoni za nim kolejną wszyscy, przyznając, iż tak się ukrył, że go wyszukać, a nawet na ślad trafić nie mogli.

A ci, co tak pragnęli władzy, dziwili się, iż był człowiek ubogi, który od niej uciekał i ofiarowanej przyjąć nie chciał.

Coraz to ktoś sam lub w kilku ich szło po lasach za Piastunem, zawsze nadaremnie. Młodego tylko syna jakoby zakładnika trzymano sądząc, że łatwiej tym sposobem ojca starego, który do jedynaka przywiązany był, do powrotu zmuszą.

Lecz ani w lesie znaleźć, ani go w zagrodzie, około której czatowano, przydybać nie mogli.

Upłynęło tak całych sześć dni, gdy około grodziska zjawiała się wędrująca wiecznie

Władza, Ucieczka, Polak

Las, Czarownica, Król

Jaruha.

Od czeladzi, która przy koniach stała, dowiedziawszy się, że Piastun uszedł w lasy i w nich się ukrywał, rozśmiała się starucha, nie wierząc temu, żeby ludzi tylu w pogoń za nim posyłanych z niczym wróciło.

Szła zatem do Ścibora i starszyny, którzy na nią i patrzeć, i mówić z nią nie chcieli.

— A ja go tu przyprowadzę — rzekła. — Lasów pewnie lepiej nie zna nikt nade mnie, com nieraz obok z niedźwiedziem pod kłodą nocowała, przede mną się on nie skryje, ja go znajdę.

Tym bardziej, że się z niej śmiano, starucha się uparła iść, Piastuna szukać, a że tak pewną siebie się być zdawała i drudzy pomyśleli w końcu, że bez przyczyny to być nie może, młodszych dwu z dala za nią pociągnęli.

Jak dzień<sup>65</sup> z grodziska ruszyła Jaruha wprost się ku lasom kierując, z takim bezpieczeństwem, jakby zawczasu wiedziała, gdzie ma szukać kryjówki starego bartnika. Idący za nią z trudnością mogli podążyć i przedrzeć się przez gąszcze, wśród których ona drożyny przez zwierza dzikiego wydeptane znała jak swe własne. W wielu miejscach puszcza jak zasiekami zawalona była połamanymi wichrem i starością drzewami, które całe wały nieprzebyte stanowiły, porośłe gęstymi chwasty i puszczejacymi się na próchnie krzewami. Przebywać było trzeba moczary,gniłe strumienie leśne, niziny wodą zzieleniałą zalane. Spod stóp wyskakiwały spłoszone dzikie stworzenia, z trawy nagle do góry podnosiły głowy węże ogromne. Żaden z nich jednak nie rzucił się na Jaruhe, która do nich jakimis dziwnymi przemawiała słowami. Około południa stara na kłodzie siadła spocząc, dobywszy z torby kawałek chleba, spożyła go, dała nogom się wyprostować i szła znowu. Las podnosił się nieco ku górze i składał z nadzwyczajnej wielkości dębów, lip i grabów, podszytych leszczyną, która także do niezwyklej wysokości się wznosiła. Uszedłszy nim kawał drogi, ujrzeni jakby wał stary, zieloną okryty trawą, porośły również drzewy, które wiek jego znaczyły. Wśród niego było jedno wnijście na stare hradyszcz<sup>66</sup>. Jaruha wsunęła się nim rozglądając do koła, a idący za nią w ślad zatrzymali podglądając.

W rogu, gdzie się dwie ściany wałów schodziły z sobą, był szałas, a w nim na suchym z liści posłaniu ujrzeni Piastuna, który z лыka wiązał proste obuwie, jakiego naówczas najubożsi używali.

Jaruha weszła — a Piastun poruszył się jakby przelękły, gdy ją zobaczył.

Stała naprzeciw niego, spierając się na kij.

— Tom was przecie znalazła. — rzekła, a pora! Tam się ludzie rozbijają czekając, a mały Ziemko płacze, bo go jakby w niewoli trzymają! Zlitujcie się nad dzieckiem waszym a wracajcie.

Piastun nie odpowiadając, ręką jej wskazał, ażeby zamilkła, gdy tuż i posłani Bolko z Sobiesławem weszli na hradyszcz, kłaniając się kneziowi.

Ujrzawszy ich, ręce załamał stary.

— Jesteśmy po was posłani — rzekli — wszystek zbór czeka na was, ludzie proszą, wracajcie, gdy taka bogów wola. My bez was stąd nie pójdziemy.

Zbliżywszy się tedy, prosić go zaczęli usilnie, aby woli gromady zadość uczynił. Nie rzekł już nic, tylko:

— Pójdę z wami.

Jaruha siedząca na ziemi śmiała się z radości.

— A tom ja was, miłościwy panie, zdradziła — rzekła. — Niechaj ludzie znają, że baba coś może. Chodziliby miesiąc i nie znaleźli was, gdyby nie ja.

Gdy Bolko, Sobiesław i Piastun szli zaraz nazad, bo się już im ani opierał, ani sprzeciwiał, starucha siadła na hradyszczu, porozwiązywała nogi i sama jedna została tu spoczywać.

Nie lękała się tak samo zwierza dzikiego, jak węzów i wszelkiego stworzenia. Wygodnie umieściwszy się zaraz w opuszczonym szałasie, przygotowywała do noclegu.

Piastun sam poprowadził swoich towarzyszów ku zagrodzie przez łąkę, na której stado z pastuszką znalazłszy, konie z niego dla pośpiechu wzięli. Lecz dla gąszczy w lesie

<sup>65</sup>jak dzień — o świcie. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>hradyszcz — grodzisko; obronny gród. [przypis edytorski]

pośpieszyć nie mogąc, ku nocy dopiero w zagrodzie Piastuna stanęli, skąd Sobek sam przodem na grodzisko ruszył, oznajmując<sup>67</sup>, iż knezia znaleźli i jutro go przywiodą.

Milcząc przesiedział cały wieczór gospodarz na ławie. O dniu Bolko, wstawszy wcześniej, już był na straży. Piastun też nie przeciwiąc się, na konia siadł i jechali.

Na pół drogi do grodu starszyzna była wyszła na spotkanie.

— Miłościwy panie — zawołał, ręce ku niemu wyciągając, Krak — przez nas opuściłeś? Wszak ci to woła było bogów, abyś nam panował i rozkazywał. Na was jednego zgodziły się gromady.

— Nie czułem się na siłach i nie czuję — mówił Piastun — trwoga mnie ogarnia. Ulitujcie się nade mną. Wiem w ubóstwie, co czynię i jak idę, gdy mi moc dacie, azali ja sam znam, na co ją obrócić?

Wołanie wielkie go zagłuszyło.

— Piastun! Piastun!

Wtem tłum się rozstąpił i dwaj owi goście nieznani, których przyjmował w zagrodzie, stanęli przed nim. Zbliźali się z uśmiechem i pokłonem.

— Przychodzimy jeszcze raz, aby mężowi sprawiedliwemu, w imię Boga jedynego, przynieść błogosławieństwo.

Krzyki znowu i im mówić nie dały, wesele stało się w tłumach. Myszkowie, którzy znać przygotowany mieli kołpak kneziowski z piórem, przecisnąwszy się przez ciżbę, przynieśli go Piastunowi — młodszy z gości uczyniwszy nad nim znak, na siwe włosy starca go nałożył.

I znowu wrzawa powstała, radość, głosy, wołania. Starzec stał zamyślony, niemal smutny.

A gdy się doń cisnęli wszyscy — rzekł:

— Widzieliście sami, że władzy nie pragnąłem, anim się jej dobijał. Kazaliście mi ją wziąć, biorę, dzierżyć będę tak, aby ład krzewiła, aby sprawiedliwość niosła, a jeśli surowym być zmusicie mnie, będę nim, pomnijcie, żeście mnie zmusili do tego.

— Rozkazuj i rządz! — zaczęto wołać ze wszech stron — niech będzie jako rzekniesz — niech będzie.

Jeszcze raz okrzyknięto kneziem Piastuna, Ścibor mu rzekł, kłaniając się do kolan:

— Czuwaj nad nami, jakieś nad pszczołami swymi miał pieczę.

Gwar wielki wrzał dokoła.

Ujrzano, że obrany miecza nie miał, Ścibor wnet swój odpasal i na znak władzy własnymi rękami go Piastunowi na biodrach zawiesił. Drugi laskę białą dał w dłoń.

Proszono znowu gości obcych, aby miecz i laskę błogosławili, i uczynili jak żądano, oczy podnosząc ku niebu, składając ręce i szepcząc coś po cichu.

Tłum miał ich za jakichś wróżbitów z daleka.

Piastun wciąż jeszcze, jakby przelękły tym, co się stało, nie wierząc uszom własnym i oczom, długo w niepewności milczał. Szepnął wreszcie do otaczających.

— Wola bogów i wasza niech się stanie. Jakoście mnie wybrali, tak pomoc mi winiliście.

Jak do ojca cisnęli się doń wszyscy, wyrzucając mu, iż zbiegł od nich i opierał się woli losu. Po raz pierwszy w jednym kole Leszkowie i Myszkowie ocierając się o siebie, w zgodzie, razem okrzykiwali nowego pana.

Tymczasem oswobodzony syn Piastunów przybiegł, ojcu do nóg przypadając i ręce jego całując, i uczuwszy się oswobodzonym, chwycił konia, aby do matki z wieścią dobrą pośpieszyć.

Stara Rzepica właśnie po wyjeździe męża u dzieży stanęła, gdy Ziemek wpadł do zagrody wesoly, zwiastując jej, że ojcu kneziowską czapkę na głowę włożono, że mu przypasano miecz i dano laskę białą i że mu się wszyscy do nóg kłaniali.

Rozplakała się niewiasta, ręce łamiąc, a czując, że się ich swobodne, ciche życie kończyło, a pełna trosk i niewoli służba ciągle rozpoczynała. Łzy jej z oczów pociekły, dziecię przytuliła do siebie, nie mówiła nic, a poznać łatwo było, że nie pociechę, ale smutek i troskę widziała przed sobą...

Władza, Bieda, Bogactwo,  
Strach

Władza, Król, Ojciec,  
Obowiązek

<sup>67</sup>oznajmując — dziś: oznajmiając. [przypis edytorski]

Otarłszy łzy fartuchem, pocałowała Ziemia w czoło i na powrót do dzieży swej szła, boć w domu chleba teraz więcej niż kiedy było potrzeba.

Godzina jedna i druga zeszyły na oznakach radości — szli potem na gród znowu i radzić chcieli, a raczej o rozkazy pytać, co poczynać.

— Dziś jedno jest do czynienia — odparł Piastun — kto żyw i silen<sup>68</sup>, na koń niech siada. Dopóki wojna w domu, nic nie ma pilniejszego nad nią. Na koń więc kto może. Starszyzna ludzi niech zbiera pod stanice i przywoździ.

Za czym wołać zaczęto z okrzykami wielkimi:

— Na koń!

To było pierwsze słowo i rozkaz nowo obranego pana.

Wnet powołał do siebie osobno starszyznę, naznaczając radę do boku swego, postanowił wojewodów po mirach i okolicach.

Wtem, gdy tak na gruzach grodu Pepeków rozrządzał kneź — zawołał ktoś, ażeby grodzisko teraz do zgłiszcza tylko podobne, opasać na nowo tynem, odbudować je i w nim panu obranemu uczynić dwór, jaki dla knezia przystało.

— Nie — rzekł Piastun — miejsce to jest nieszczęśliwe i splugawione, nie chcę siedzieć tam, gdzie wspomnienia Chwostka i zgłiszcza stałyby między mną a wami.

Tam będzie gród mój i stolica nowa, gdzie pierwsze odniesiemy zwycięstwo. Niechaj tu stołb pusty na wieki zostanie, świadcząc jak niecnota ginie marnie... niech chwastem zarasta plugawe śmietnisko.

Wieczorem nie sam już, ale liczną otoczony drużyną, która go opuszczać nie chciała, powrócił Piastun do chaty swej; żegnany znowu przeciągłymi okrzykami.

Obcy goście, którzy mu błogosławili, wśród zamieszania powszechnego, znikli niepostrzeżeni. Kazano ich szukać wszędzie, lecz nikt nie postrzegł, ani się opatrzył, kiedy i jak się wysunęli i znikli.

Gdy orszak prowadzący obranego knezia stanął u wrót zagrody, zapłakana jeszcze wyszła przeciwko panu swojemu Rzepica. Los dawnych kneziów serce jej trwożyło, schyliła się ku ziemi i ściskając nogi, zachodziła się od płaczu.

— Kneźno miłościwa — podnosząc ją rzekł stary — gotuj, co masz najlepszego, staw stoły i kadzie, aby ci, co mnie wynieśli, z głodem nie odeszli od progów.

Byłoby się jednak stało to, czego się lękał ubogi człek, gdyby od rana, jak skoro wieść poszła po świecie białym, że Piastuna obrano, nie pośpieszyli kmiecie z darami, aby ich krwi pan wstydu nie miał. Wiedzieli bowiem, że ubogim był. Komory więc pełne były i na niczym nie zbywało.

Tłumy z okolicy, dworów sąsiednich i chat, jak po drodze już witały króla bartnika, tak teraz oblegały zagrodę okrzykując go nieustannie, cisnąc się doń i uważając za dziwów wybór nowego pana, którego im wyrocznie naznaczyły. Obcych owych gości jako posłańców bożych głoszono.

Pozapalano stopy łuczywa jak w noc Kupałową i dzień uczyniono świętecznym, bo przyniósł z sobą nadzieję pokoju i zgody... Całą noc do białego dnia młodzież z żagwiami biegała, budząc po dworach wesołą nowinę, i co chwila nadbiegali kmiecie pozdrawiając pana i okrzykując. Przez nich potem wici na wsze strony rozsyłano, aby ktokolwiek oszczep mógł dźwignąć, stawił się pod swego wojewodę z rodem i czeladzią.

Chwytając i mieniając po pastwiskach konie, lecieli parobczaki z wiciami od dworu do dworu, od chaty do chaty.

Cicha zagroda starego bartnika, dzień i noc teraz wrzawy była pełna. stąd wyruszyli tysiącznicy, setnicy, dziesiętnicy, starszyzna wyznaczona do dzielnic, zwoływać i dobierać lud wszelki.

Nie upłynęło więcej nad ćwierć miesiąca, gdy ponad jeziorem tysiące młodzieży szeroko obozem leżało. Tych Piastun co dzień sam z wojewodami dzielił, ustawiał, opatrywał i zachęcał do boju.

Pomorcy z Kaszubami i Niemcami na czele, zniszczywszy wszczep i wzdłuż niemalą krajów przestrzeń, z łupem i niewolnikami wrócili wprawdzie spod Lednicy, obawiając się zasadzki i utraty grabieży, ale wiedzieli dobrze, iż Leszkowie nie wyrzekli się praw swoich i zemsty, której pragnęli.

<sup>68</sup>silen (daw.) — dziś: silny. [przypis edytorski]

Zwykle idące za łupieżą kupy cofały się obładowane nią w lasy, aby spoczawszy i pozbywszy się ciężaru, na nowo rozpocząć najazd, nowych sobie przybrawszy ochotników.

Młodzi synowie Chwościska cofali się tak z garścią najemnika na Pomorze, ale ciągle czynnymi byli i nowe zaciągi sprowadzali.

Ludzie na zwiady wyprawieni za rubież<sup>69</sup> przynieśli wieści, że się nowa gotowała wyprawa.

Teraz się jej już nie lękano, owszem, żądano prawie, mając czym napastnika osaczyć i zwalczyć. Droga, którą on chodził, spustoszoną była, nowej więc szkody uczynić nie mógł, a w lasach spodziewano się go oskoczyć i wymordować do nogi.

Synowie Chwostka mogli też łatwo wpaść w ręce.

## VI

Wybór Piastuna w dni kilka po całej rozszedł się ziemi, podawano sobie wieść o nim z zagrody do zagrody. Dziwili się wszyscy, a im dalej od Gopła, tym powieść o osobliwszej bogów wyroczeni i woli inaczej była opowiadana. Wierzyli wszyscy, iż to było zrzędzeniem woli, która światem rządzi... Obcy ludzie jacyś, nieznanymi, przyszli jakby umyślnie zesłani rzucić słowo, możni nie mogli się im sprzeciwić, jednym głosem i wolą wywołano starego bartnika z lasu, uciekającego pochwyciono i zmuszono do panowania.

Leszkowie tylko i ci, co im sprzyjali a krwią byli związani, nie śmiejąc nic rzec, smucili się bardzo. Lękali się ci, co do ich rodu należeli, aby ich nie wytępiono i zemsty nad nimi nie szukano.

Na wiecach późniejszych Miłosz stary, głowa rodu, nie pokazywał się więcej. Ze ślepym Leszkiem swym zamknął się w osamotnionym grodzie, obstawił strażą, podwoił załogę — siedział cicho. Starzec teraz jedną tylko żył nadzieją, że się po oślepionym dziecięciu potomka doczeka i we wnuku na nowo odrodzi.

Dla Leszka wyszukano żony, stara macierz stała się piastunką dwojga dzieci, czuwając ciągle nad nimi. Dano mu dziewczę piętnastoletnie, a że ślepotą i jego uczyniła dziecinny, bawiło się ich dwoje pod dębami starymi przy matce, jak gdyby zaledwie rozpoczynali życie. Leszkowa żona, którą Bielką nazywano, ślepemu swemu siedzącemu przy niej śpiewała, on grał na gęśli, a matka stara bajki im o bohaterach prawiała, i tak dnie schodziły powoli.

Ojciec ukryty przysłuchiwał się czasem wesółemu gwarowi smutnej pary, nie pokazując się i nie mieszając do rozmowy, aby słowem jakim nieostrożnym boleści i nieszczęścia nie przypomniał. Osłodzić chciano życie biednemu kalece, dla którego świat cały był w jednym głosie i sercu jednym.

Dni tak płynęły niepostrzeżone, jedne za drugimi, wszystkie do siebie podobne; rzadko głos obcego człowieka u wrót się odzywał, rzadziej jeszcze wpuszczono kogo do grodziska. Starszyzna z Bumirem kilka razy domagała się widzenia z Miłozsem. Raz jeden tylko wpuścić ich kazał, powiedział, że do niczego mieszać się nie chce i odprawił, a gdy potem z naleganiem wrócili, już im nawet wrót nie otworzono.

Jednego z pierwszych dni, gdy po obiorze Piastuna Leszkowie się niepokoić zaczęli o siebie — zastukano do wrót gwałtownie; było z południa.

Stary Miłosz leżał pod dębem na uboczu, za drugim Leszko z Bielką siedzieli o grubym pień oparci, stara matka była z nimi. Do Bielki z dębów stadem zlatywały się gołębie, a ona je, rzucając ziarno, karmiła. Przy Leszku leżały psy jego, które on pieścić lubił. U nóg starego Miłosza wyciągnięty mrucał niedźwiedź jego nieodstępny i dwie sroczki domowe skakały. Gdy u wrót hałas się dał słyszeć, gołębie pierzchnęły na drzewa, psy szczekając i ujadając się zerwały i niedźwiedź począł mruścić, choć mu się lba z ziemi podnieść nie chciało, sroki narobiły wrzasku biegając i podskakując po ziemi, to przysiadając na gałęziach. Tymczasem stróż u bramy wylazł na pomost górny i przypatrywał się, kto przybywał.

Stało tam dwóch ludzi, opończami lichymi otulonych, wyglądających biednie i ubogo, z pozasłanianymi twarzami. Przed chwilą straż chodząca na wałach ujrzała ich szybkim krokiem wychodzących z lasu, gdzie zapewne konie zostawić musieli, bo w zaroślach coś migąło.

<sup>69</sup>rubież — kraniec jakiegoś obszaru; granica. [przypis edytorski]



Stróż nie mógł dopatrzeć twarzy, lecz z ruchów i głosu domyślał się młodych ludzi. Oba niecierpliwie domagali się, aby ich dla rozmowy do Miłosza wpuszczono.

Odźwierny im odmówił.

— Kneź chory — do niego nie wpuszczają nikogo.

Na próżno napierali się i łajali, nie pomogło nic.

W ostatku jeden z nacierających tak do bramy, zdjął z palca pierścień i ukazując go, rozkazał stróżowi, aby natychmiast niósł ten znak do pana.

Przez otwór zasuwany we wrotach ujawszy pierścień, który był przepołowiony i na palcu łańcuszkiem się trzymał tylko, stróż powlókł się pod dęby do pana i bijąc mu czołem, oddał do ręki.

Miłosz popatrzał, westchnął, coś jak łza potoczyła mu się po policzkach i brodzie, skinął na żonę, aby dzieci precz do dworu odwiodła i kazał wpuścić tych gości.

Pierzchnęło wszystko z podwórza, psy nawet powlekły się za Leszkiem. Odsunięto drągi, otwarto wrota i dwaj przybyli weszli z wolna. Tuż za wałem zmieniły im się zaraz postawy i twarze. Stali tam wprzód skurczeni i pokorni, tu się im wyprostowały barki, podniosły czoła, zaświeciły oczy.

Byli to Leszek i Pepelek, dwaj synowie Chwostka.

Oglądając się niemal pogardliwie dokoła, zbliżyć się zaczęli do Miłosza, który się nieco podniósł, gdy ich zobaczył, ale nie wyszedł na spotkanie. Oczy tylko zwrócił, by się im przypatrzeć z daleka. Gdy przed nim stanęli, ręką ich powitał i czekał.

Natenczas starszy się odezwał do niego.

— Dostaliśmy i my się do was kneziu z niebezpieczeństwem życia, bo my, tutejszego pana dziedzice, jak zwierzę dziki jesteśmy ścigani. Wy tu jesteście zamknięci, nie chcecie bronić praw swego rodu... Przyszliśmy was zmusić, abys szedł nam pomagać i dał ludzi.

Miłosz się popatrzał groźnie na obu.

— Wy? Mnie? Zmusić? — jęknął powoli.

— Tak — ciągnął dalej starszy — tak, ja po ojcu odziedziczyłem władzę, choć młody... panem jestem i nad krajem, i nad wami. Przynajmniej rodowi własnemu i krwi nie dam się przeciwko sobie podnosić.

Miłosz słuchał, niekiedy mu oczy błysły — niedźwiedź u nóg jego leżący, głos obcy i ludzi czując nowych, mrucał dziko. Zdawał się czekać tylko skinienia, aby się rzucić na nich.

— My musimy — ciągnął starszy — i ziemię naszą, i gród odzyskać. Wszyscy Leszkowie muszą pójść z nami. Tę czerń i tłuszcę, co podnosi głowy, trzeba zgnieść i wytępić, wybić i spętać.

Mówił powoli, przestając co chwila i wyczekując, azali nie odezwie się Miłosz. Kneź milczał.

— Przyszliśmy oba zapytać was, czy z nami trzymacie, czy z tą czernią i chłopstwem?

W starym Miłoszu widocznie się gotowało i burzyło już coś, choć wstrzymywał się z mową. Niekiedy oczy z krwawymi powiekami podniosły się i wąs siwy zakąsał<sup>70</sup>, ręka wychudła, ogromna, jakby z samych kości złożona, którą na kolanach trzymał, dygotała niecierpliwie.

Na ostatnie pytanie wyzywająco rzucone buchnął nareszcie.

Ręka się podniosła.

— Z wami ani z nimi trzymać nie chcę — krzyknął gwałtownie — znać was nie chcę, nie znam! Stoi was tu dwóch zdrowych i żywych przede mną, a gdzie synowie moi?... Jakaście się ośmielili wnijść tu... wy... Wiecie, że ojciec mojego syna zabić, drugiego oślepić kazał? Przyszliście mi przypomnieć, że ja krwi dzieci moich winienem, jednego z was kazać ściąć tu — zaraz, a drugiemu wylupić oczy i rzucić je psom.

Oba synowie Chwostka, szczerwieniwszy się, chwycili bezmyślnie za miecze u pasa — spojrzeli po sobie strwożeni nieco.

Stary też patrzył na ich twarze młode, kwitnące, na oczy ich jasne i gniew a żal opanowywały go coraz mocniej. Młodzi kneziowie milczeli.

— Wy... mnie... tu, na moim podwórku, przychodzicie rozkazywać... mnie, zmuszać! Wy... mnie!...

<sup>70</sup>zakąsać — zagryzać, przygryzać. [przypis edytorski]

Starszy z gniewu pokraśniał cały.

— Mam to prawo, co ojciec! — zawołał nogą tupiąc w ziemię i czoło dumnie podnosząc do góry. — Wołam was na wojnę za nasz i wasz własny ród. Ojciec mój kazał zabić syna twojego, bo mu się burzył i powstawał; oślepił drugiego, bo szedł za nim i robił też samo... łaska, że mu życie zostawił.

Miłosz nagle dźwignął się z ziemi, róg miał za pazuchą, podniósł go do ust i zatrąbił. Ze wszystkich stron podwórza czeladź się zbiegać zaczęła.

Chwostka synowie niepewni, co się stanie, dłońmi tylko cisnęli miecze, ramię do ramienia się przyparli, twarze im pobladły nieco.

Przodem biegł stary smerda kneziowski, oczyma przerażonymi patrząc, co się z panem jego działo. Miłosz stał i drżał, rękę wyciągnął ku młodym i ukazując ich, wołać począł głosem zmienionym.

— Związać tych ludzi... i rzucić do lochu! do lochu!

— Nas! związać? — wrzasnął starszy rzucając się ku Miłoszowi — ty byś śmiał?

— Samiście szukali tego, oddaliście się mi w ręce, abym pomścił synów moich... Krew ich żąda waszej... Jeden z was zginie, oślepie drugi.

Odwrócił się, ludziom nadbiegającym ręką ich wskazując.

— Związać ich!... do ciemnicy!

W mgnieniu oka czeladź się na kneziów rzuciła, ci barkami oparli się o siebie, dobyli mieczów i stawali do obrony. Wtem jeden z pacholków rzucił się na ziemię i za nogi chwyciwszy, obalił młodszego, drudzy za ręce ich już chwyтали.

Powstał krzyk i wołanie. Związano obu mimo oporu leżących na ziemi.

Ze dworu na hałas ten powybiegały niewiasty, służba, z najdalszych kątów wysypywało się, co żyło, psy ujadać zaczęły, niedźwiedź zaryczał spinając się na łapy. Dwu kneziów wiedziono do ciemnicy.

Była to nie izba, ale jama na pół w wałach, w pół pod ziemią wygrzebaną, dylami ostawiona, ciemna, którą drzwi ciężkie zamykały jak studnię. Długa szyja od wnijścia schodziła w dół do wilgotnej pieczary.

Chwostka synów na rękę niosąc, popychając, ciągnąc, pomimo rzucania się i oporu, rzucono do głębi i natychmiast zawalono drzwi, na które ciężki kamień się potoczył.

Wrzawa nagle ustała. Stary Miłosz począł chodzić po podwórzu, koszulę szarpiąc na piersi, dysząc i jęcząc straszliwie, tarł czoło i łamał dłonie; wiatr długą, siwą brodę mu rozwiewał.

Zdawał się walczyć z sobą. Niekiedy wypogadzała mu się twarz, to dziczała, zasmucała i rozjaśniała. Myślał o pomście za własne dzieci, ale ci, na których chciał się pomścić, to były wnuki jego, sieroty bez ojca i matki.

Gdy Miłosz rzucał się tak, zbierając się co chwila zawołać Hulę dla spełnienia wyroku, we dworze, mimo ciszy, panował niepokój i trwoga.

Ludzie knezia poznali dzieci ostatniego pana, i choć spełnili na nich co im rozkazano, przerażeni byli, przelękli tym, co uczynić musieli.

Litość się w nich obudziła.

Wszystek dwór Leszków trzymał sercem z ich sprawą. Niewolniczo posłuszny, niewolniczo też przywiązany był do panów. Szemrano dziwnie, z dala spoglądając na Miłosza, który wielkimi krokami pod dębami chodził, sam coś mówiąc do siebie.

Hula, którego też Obrem zwano, stał już z dala, czując, że może być potrzebnym. Sam kneź Miłosz wzrost miał ogromny i siłę. Niejeden ród wówczas nią słynął, ale Hula, oprawca, wszystkich we dworze przechodził wzrostem i mocą. Mówiono, że był potomkiem tego rodu Obrów, co niegdyś byli ujarzmili Dulebów i znęcali się nad nimi, niewiasty ich do wozów sobie wprzęgając, aż póki z tych nieszczęśliwych zrodzeni własni ich potomkowie nie zwyciężyli i nie odegnali precz najezdników. Hula Obr zaledwie na pół był człowiekiem, więcej obłaskawionym zwierzęciem, jak niedźwiedź, co się u nóg starego Miłosza wylegiwał. Do żadnej izby wnijść nie mógł, póki się nie nagął na poły; wóz z sianem brał na barki i nosił go jak drugi wiązkę siana. Zwierz mu się nie oparł żaden, a ludzi gniótł w garści jak słomę. Cały gęstym włosem obrosły, ledwie potrzebował okrycia. Żył się najczęściej mięsem surowym, a zimą sypiał w śniegu. Najokrutniejszy spełnić rozkaz było dlań najmiłą zabawką.

Potwór

Zamiast mowy mruczeniem jakimś się odzywał niezrozumiałym, i śmiechem. Na grodzie Hula zastępował wielu, bo ani koń zdziczały, ani żadne stworzenie straszny mu nie było, byle je mógł pochwycić.

Kneź już oczy zwracał na Obrę, a ten stał niespokojnie spoglądając ku niemu; skinienia mu tylko było potrzeba — czekał.

Trzy razy Miłosz głowę ku niemu skłonił, a słowo mu na ustach zamierało.

Wtem do wrót gwałtownie się dobijać zaczęto i wołanie za nimi słyszeć się dało — aby kneziów wydano.

Straż nad bramę wyszedłszy, ujrzała z lasu ciągnący oddział silny, który się powiększał coraz. Po strojach i orężu poznać było łatwo Niemców, Pomorców, Kaszubów i domowników Leszków, zmieszanych z nimi. Krzyki coraz silniejsze słyhać było, domagające się kneziów.

Miłosz miał ochotę kazać Obrowi zdusić obu i trupy ich wyrzucić za wrota.

Co chwila tłum oblegający rosł<sup>71</sup>, oddział w lasach ukryty na dane hasło ściągał się i zewsząd opasywał grodzisko. Stojący na przedzie groźno dopominali się dwu panów swoich. Załoga, która powybiegała na okopy, obyczajem ówczesnym poczęła rozmowę i łajanie wzajemne.

Starszy smerda, z przerażeniem spojrzawszy, co się pod zamkiem dzieje, pobiegł do Miłosza, aby mu oznajmić, że całe wojsko u wrót stało, że obronić mu się nie będzie podobna. Ale stary nie uląkłszy się wcale, sługę przekleństwem odegnał.

Nadbiegła żona, przyszedł oslepy Leszek do ojca, nikt z rozwścieczonym starcem mówić nie mógł. Przypomnienie dzieci pragnienie zemsty zaostrzało. Nie śmiał jednak wydać rozkazu, który mu błędził po ustach.

Wieczór tymczasem zapadał, mrok nadszedł i stojący poza okopami ciągle wykrzykując, poczęli się kłaść obozem pod grodziskiem. Z obu stron nie rozpoczęto kroków zaczepnych, nie rzucił się nikt, bluzgano tylko nawzajem wszetecznymi słowy.

Noc nadeszła czarna, której gwiazdy rozjaśnić nie mogły. Kneź nic nie powiedział jeszcze, lecz Obr zawołany stał za nim i patrzył mu w oczy.

Smerda już nocą przyszedł nad wrota i krzyknął starszyźnie, domagającej się wydania Leszków, że jeśli się na gród targną, głowy ich natychmiast spadną.

Mimo ciemności cała załoga uzbrojona na wałach się rozłożyła. Byli to ludzie, co od dziadów w służbie u rodu Leszków, z niewolników porodzeni, nawykli do nich, patrzali na to, co się działo, starych żalując czasów. Ci, których teraz miał Miłosz, pamiętali ojca Pepełka i służbę swoją na jego dworze.

Miłosz surowy był, obawiano się go, życie tu było nędzne i nieznośne. U wrót nocą zaczęły się nieznacznie z łajañ szeptu i namowy do zdrady.

Gdy Miłosz jeszcze, chodząc z dala, burzył się, bijąc sam z sobą, co pocnie, pomści się czy puści wolno, ludzi mu przekupywano, aby otworzyli wrota oblegającym.

Nad ranem wszystko ucichło, zdało się, że z obu stron znużone gromady posnęły, gdy cicho rozwarły się wierzeje i gromadka zbrojnych, a za nią cały tłum gęsty wpadł i wtoczył się na podwórze. Chrząst wrót, które cisnąc się złamano, obudził starego Miłosza.

Gdy on z Obrem i garścią wiernych ludzi, których miał przy sobie, posuwał się z oszczepem ku wnijściu, gród już był w ręku Pomorców i Niemców, z wrzawą i krzykami biegnących w podwórze i zalewających grodzisko. Ktoś odwalił kamień od lochu, w którym zamknięto młodych kneziów i wypuścił ich z ciemnicy.

Cizba zdziczała rzuciła się rznąć i mordować mściwie.

Pierwszy Miłosz stary padł przebitu dzidą. Stojący przy nim Obr kilku ludziom, porwawszy ich, czaszki o pnie dębów podruzgotał, ale i jego w końcu przywaliła kupa nadciągających Pomorców i na ziemię obalonego zamordowała. Inni wpadli do dworu, gdzie ani niewiastom, ani dzieciom nie przepuszczono, plądrując razem, zabierając łupy, nim by kto ognia podrzucił.

Ranek wstał nad krwawym polem trupami zasłanym, zdrajcy nawet, co wrota otworzyli, gdy się rozwściekła cizba, pozabijani zostali, nie żywiono nikogo.

Dzicz pijana śpiewała i cieszyła się swojemu zwycięstwu.

<sup>71</sup>rosnął — dziś: rósł. [przypis edytorski]

Dwaj synowie Chwostka stali pod dębami, wśród trupów, blade i przerażeni jeszcze niebezpieczeństwem, z którego ocalili i nieszczęściem, jakiego ich zuchwalstwo stało się przyczyną.

Ze dniem dopiero postrzegli, iż Bumir i inni Leszkowie, krewni ich, którzy im towarzyszyli, opuścili ich i znikli.

Zrozumieli, że to zwycięstwo i pomsta krwawa była kłęską.

Ostatni, co im posiłkowali, odstąpili od nich. Zostali sami z garścią Niemców i z najeźnikami, którzy się na nich też rzucić mogli.

Podwórce zamkowe wyglądało straszliwie, jak pobojowisko. Kupami leżały rozrzucone ciała odarte. Wśród nich osobno widać było siwobrodego Miłosza, starą jego żonę, ślepego Leszka, pobite psy, zgniecione gołębie, niedźwiedzia, w którym tkwiło kilka oszczepów. Wysoko na dębu gałęziach latały popłoszone gołębie i dwie sroki skrzeczały.

Resztki załogi, która się po zakątkach skryła, wyciągano i wiązano. Kaszuby skępowaną powrozami Bielkę, we łzach, pokrwawioną, ocaliwszy prowadzili w ofierze zwycięzcom. Padła biedna przy trupie Leszka na ziemię, twarz zakrywając rękami i ryczała płaczem okropnym, grobowym.

Dzicz już wyciągała precz juczne konie obciążone łupami i zdobyczą, wyśpiewując radośnie.

Wśród starych dębów płonęły spustoszone dwory. Dawano rozkazy do pochodu, tłum powoli wylewał się z okopów na równinę.

Długim sznurem płynął przez wrota, wchodząc i niknąc w głębi lasu. Naprzód się cisnął tłum gęsty, potem przeredzone kupy, na ostatku pijana ciżba po kilku i pojedyncze zbójce, którzy się schwyconą zdobyczą dzielić nie chcieli.

Ostatni jeszcze przeciągnął wybitą przez pole drogą i zniknął w lesie.

Z drugiej strony z gąszczy ślepy gęślarz wyszedł z chłopięciem, które go ku okopom wiodło milczące. Wiatr niósł mu spaleniznę ze zgłiszcza. Stał we wrotach, kij jego dotknął leżącego trupa... chłopak przytulił się doń drżący i płakał.

— Stary Miłosz leży z piersią rozbitą... ślepy Leszek zakrwawiony... trup na trupie... żywego nikogo...

Gęślarzowi zadrżały nogi, siadł na kamieniu we wrotach. Dłoń jego sama strun szukała, ale usta pieśni wyjąknąć nie umiały — zawodził tylko.

— Gdy na gniazdo piorun pada, czego grom w nim nie wybije, to się samo w nim zajada, i swą własną krew wypije... Kiedy na ród wyrok padnie, że ma szczeznąć marnie z ziemi, brat na brata ręce kładnie, ojciec żre się z dziećmi swemi. Bez pogrzebu w polu leżą, krucy ciała poszarпали... kości ich wiatr poroznosi i pamięć ich wsiąknie w ziemię...

## VII

Gdy się już na wyprawę przeciwko Pomorcom wybierano, rozproszonego ich niewolnika, w poprzednich zabranego potyczkach, Piastun kazał spędzić do grodu nad Gopło i zamknąć na wieży, bo tam go najłatwiej strzec było. Pilnować jeńców po zagrodach nie bardzo mieli komu, a trafiało się często, że i w dyby pozabijani, na polach się rozkuwali, szli w lasy i przekradali do swoich, prowadząc ich potem tym bezpieczniej na Polan, że tu drogi i osady poznali.

Ludek, Wiszów syn, wysłał też z innymi i Niemca swego Hegona, którego zabrał był z sobą. Ten, że się tu już dawniej włóczył po zagrodach, znał je dobrze, u Piastuna też bywał; wyprosił u czeladzi, co go prowadziła, żeby mu przed knezia pozwoliła iść wprzód i do niego przemówić. Strasznie mu się na wieżycę z motłochem iść nie chciało.

Zręczny Niemiec ufał w to, iż językiem i układną postawą wyprosi się u niego.

Gdy go skępowanego przyprowadzono, padł naprzód przed starym na kolana, żaląc się, iż mu się tu od wszystkich straszna krzywda działa, że go Pomorcy naprzód spokojnie powracającego zabrali gwałtem z sobą, podejrzewając, że Polanom sprzyja, że potem w ich obozie ujęty został w niewolę i posądzony niewinnie o prowadzenie Pomorców.

— Ja nie wojuję z nikim, niczym nieprzyjacielem nie jestem — mówił Hengo wielką udając pokorę — żonę miałem z waszego rodu i mowy. Moja sprawa zamiana i zarobek, ludziom służę, wojny się lękam, mienia całego pozbyłem, na żebraka wyszedłem. Litujcie się panie nade mną.

Przekleństwo, Rodzina,  
Poeta, Poezja, Pamięć

Wysłuchawszy żalów, Piastun odpowiedział spokojnie, iż wojna ma prawa swoje, kraj się bronić musi i bezpieczeństwo swe opatrywać. — Gdyby cię puszczone wolno — dodał — a uchodząc trafilibyście na Niemców, pytaliby was, co się u nas dzieje, musielibyście swoim wyznać wszystko, a nas zdradzić. Lepiej więc dla ciebie i dla nas, abyś tu został, dopóki się wojna nie skończy.

Hengo począł błagać i zaklinać, żeby go przynajmniej na stołb nie sadzano, gdzie sroga nędza panować musiała, wołał w dybach czy w łykach, choćby związany mlecć gdzie w żarnach na zagrodzie.

A że Niemiec płakać umiał i czynić się niewinnym, serce starego skruszył.

Pozwolił mu u siebie w chacie pozostać, wymagając tylko przysięgi na Boga, którego Hengo wyznawał, iż uciekać nie będzie. Hengo palce na krzyż złożywszy, klęknął i przysięgł, że się z zagrody nie ruszy.

Drugiego dnia nędzny ów jeniec wojenny już coś poczynił mieniać, bo choć go ze wszystkiego niemal odarto, w łachmanach odzieży znalazły się jakieś cudownie ocalone resztki i już niewiastom kolce ofiarował, a mężczyznom małe nożyki, które nie wiedzieć skąd dobywał.

Niewiele na to zważano. Uciekać nie myślał w istocie, owszem, wciskał się, gdzie było najludniej, do wszelkich posług ofiarował, a ciągle się z tym przechwalał, że miał żonę z tej krwi i mowy, co Polanie, i syna z niej. Głosił się przeto przyjacielem. Na Pomorców i Kaszubów strasznie wygadywał, dzikość im i łupiestwo zadając<sup>72</sup>. Czynił się też użytecznym tym, że miecze i noże lepiej niż inni ostrzyć, złamane na nowo oprawiać umiał i w czystości trzymać.

Zgłaszali się do niego ludzie różni, służył ochotnie każdemu, a brał, co mu dano, choćby mało wartą skóreczkę jagnięcia.

Raz, gdy pod szopką zajęty był swym rzemiosłem, nadszedł doń przybyły tego dnia po rozkazy knezia Dobek, poznał, a zobaczywszy około majsterstwa, bardzo bolał, że takiego sługi pod ręką nie miał, bo w domu wiele było niezdarnego łomu, z którym ludzie nie wiedzieli co poczynać.

— A czemu żeście mnie wzięwszy nie zatrzymali sobie? — odezwał się Niemiec. — Teraz chybabyście poprosili miłościwego pana, żeby mnie do was na czas puścił pod przysięgą, ja bym porobił, co potrzeba.

Stało się tedy, że Hengo przysięgę powtórzywszy, gdy i Dobek zaręczył, iż go sam pilnować każe, dostał pozwolenie jechania z nim. Wsadzono go z tyłu na konia za jednym z czeladzi i tak się na nowy dwór dostał.

Tu dziwne znalazł życie, inne niż u pospolitych kmiectw po zagrodach. Dobek z dzieciństwa wojakiem był z upodobania, a choć znaczne ziemie miał pod sobą, sam się nimi, ani rolę, ani stadniną, ani barciami swymi nie zajmował.

Miał do tego włodarzów, bartników, stadników, posługaczów, a sam tylko życia żywał. Nie był też żonatym, chociaż kobiet dwór był pełen, które mu i śpiewać, i skakać musiały, gdy rozkazał.

W polu i na łowach szalony i niespracowany, gdy do domu przybył, zwykł był przy ogniu legiwać albo pod drzewem na murawie. Kubek pełny przy nim musiał stać, a wesółki mu prawili baśnie albo kobiety gadkami i pieśniami bawiły.

Całe godziny i dni schodziły tak na wylegiwaniu się i na śmiechu, potem nagle na koń się zrywał, w las prowadził swych ludzi z sobą i dni kilka o chłodzie i głodzie polując, do dwora ani zajrzał. Z kałuży gotów był się napić i lada czym pokarmić.

Tak samo, gdy na wyprawę ciągnął, dobry był do napaści gwałtownej, ale nigdzie nie strzymał długo.

Przyjacielem też umiał niekiedy być takim, że życie stawiał dla druha, a gdy najmniejsza waśń poróżniła go z bratem, ubić był gotów na razie... i potem żałować.

Choć tak gwałtowny i dziwaczny, Dobek razem przebiegłym był bardzo; zataić się umiał do czasu, z człowieka wyciągnąć, a samemu się przyznać cicho.

Z tej strony mało go kto znał oprócz własnych ludzi.

<sup>72</sup>zadawać — tu: zarzucać. [przypis edytorski]

Hengo poznałszy się z nim, począł bardzo mu się przypatrywać bacznie, po drodze nie spuścił go z oka ni z ucha, postrzegał pilno, a gdy do dwora przybyli, zdało się Niemcowi, iż go już całego miał.

Poczęło się tu od tego, iż gorąco się zabrał do czyszczenia, naprawiania i ostrzenia. Wszystek łom leżący w komorze przyprowadził do dobrego stanu. W kilka dni, choć łamaną mową, umiał Dobka tak zabawić, iż się o niego upominał i z kąta go sobie wyciągnąć kazał. Prawił mu, jak to po świecie cale<sup>73</sup> inaczej niż u Polan było, jak tam ludzie żyli, jak się niewiasty nosiły, jak się wojacy uzbrajali, jak panom było wygodnie. Umiał to wszystko w takim świetle przedstawić, iż Dobka ochota brała niezmierna widzieć te ciekawości.

Urabiał go tak powoli Niemiec, powolnym znajdując, zachodził z różnych stron, szczególnie gdy ani bab, ani czeladzi nie było, co by podsłuchiwała rozmowę. Dobkowi pod lipami kładziono skóry, na których się wyciągał, miód mając pod ręką i tak na brzuchu leżąc, gadek lub pieśni słuchał.

Gdy inni się zabawiając pana zmęczyli, podkradał się Niemiec. Próbował zrazu tak nieśmiało coś przebąkiwać o Niemczech, obyczajach swojego kraju, a Dobek ciekaw, do czego idzie, puszczał go, jeszcze mu dopomagając. Czuł, że to nie daremne. Niemcowi zaś zdawało się, że na prostaka trafił.

— Świat to cale u nas inny — prawil Hengo. — Takim ludziom jak miłość wasza, tam by żyć, tu ciężkie życie bardzo, głód nierzadki, napaści, wojny, ludzie się rozbiegają po lasach — niczego dostać, nic zobaczyć, ino ziemia, woda i lasy. Tu wszyscy ludzie jakby równi żyją — panów nie ma, niewolnika mało. Kneziom nawet gromady wielkiej woli nie dają, a tam u nas wojownik panem. Królewskie, cesarskie dwory od złota, srebra i drogich kamieni świecą — domy z muru, z ciosu<sup>74</sup>... wspaniałe i rozkoszne.

Dawał mu Dobek mówić, jeszcze go zachęcając.

— Praw<sup>75</sup> no, praw — ciekawym słuchać.

— U nas ludzie, tak jak zwierzęta rozpierzchle, po lasach nie siedzą, do kupy się pod grody z domami zbierają... Kamienice budują wielkie i w środku jasne. Chramy boże wyniosłe i złociste. Piją tam i jedzą inaczej. Niewiasta, gdy się ustroi, dziesięć się razy piękniejszą jeszcze wydaje. Gdybyście zobaczyli miasta nasze, z podziwu byście krzyknęli. Rzemieślnicy też u nas z kruszcu, co zamyślą, zrobić umieją.

Tak mu to wszystko zachwalał, że się Dobek aż z ziemi podnosił słuchając, oczy mu się paliły, szczególnie gdy opisywać zaczął, jak tam rycerze chodzili zbrojni, obwieszani łańcuchami, jakie nosili żelazne zbroje i tarcze malowane, na kołpakach żelazo, a gźła z łusek żelaznych. Opowiadał też dziwy o kobietach jak śnieg białych, z oczyma jak węgiel czarnymi, które przedziwnie na gęślach grały i śpiewały.

Dobek się pocieszał tym, że to wszystko i u Polan być miało, ale myślał, na co Niemiec tak nastawał chwalać mu swoje kraje? Nie było to bez przyczyny!

— Byłoby to i u Polan pewnie — mówił Hengo — ale wy tego sami nie chcecie. Mielicie kneziów spokrewnionych z niemieckimi, którzy by byli ten sam porządek i tu zaprowadzili, ano ich precz wyrzuciliście i natomiast<sup>76</sup> wybraliście prostego kmiecia.

Dobek teraz zrozumiał dobrze, do czego mowa zmierzała i że Niemiec zdrajca go próbował, udał więc, iż i on podobnie myślał, dodał nawet, że wybór Piastuna przyjął jako inni, chociaż mógł mu być nie bardzo wygodnym.

— Kmieć kmieciowi równy — rzekł — jeśli mogli go wybrać, czemuż nie mnie?

Niemcowi zdało się, że go już ma w garści całego, z wolna więc popuszczać coraz zaczął językowi wodze, na stronę Leszków go nawracając, czemu tamten się nie przeciwiał. Prawił o dworze teścia Chwościkowego, jaki on piękny był, ilu przy nim rycerzy się znajdowało, jakie życie wesołe wiedziono.

Dobek mu wciąż potakując zdradliwie, przodem go puszczał.

Nazajutrz sam już zagadnął o to, a Hengo bez obawy pleść zaczął, namawiając na stronę młodych kneziów.

Wieców nie byłoby żadnych, a posłuszeństwo i ład wyborny...

<sup>73</sup>cale (daw.) — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>cios — odpowiednio ociosany blok kamienny służący do wznoszenia budowli. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>prawić (daw.) — mówić. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>natomiast — zamiast tego; na to miejsce. [przypis edytorski]

Dobkowi niekiedy słuchając pięć świerzbiała, ale go ciągle poduszczał próbując, jak też zajdzie daleko. Hengo się po cichu przyznał, że był w służbie u dziada młodych Pepeków — odważył się nawet szepnąć, iż Dobek widzieć by się z nimi powinien, a wziąć ich stronę i drugich namawiać, za co by mu się potem wielkie ziemie obszary dostały, osypy z nich i daniny.

— A jakże się to dobić do nich? — spytał chytry Dobek.

— Gdyby tylko miłość wasza chciała to uczynić — szepnął Niemiec — znaleźlibyśmy sposoby.

Nastręczała się tedy zręczność<sup>77</sup> poznać bliżej nieprzyjaciela przed wojną i Dobek, który lubił osobliwe wyprawy, nie mógł się strzymać, aby nie zapragnął dokazać tego, co nikt. Obawy nie znał, tylko za zdrajcę uchodzić mu się nie chciało. Trzeciego dnia pod pozorem myślistwa z domu wyruszył, nic nie mówiąc Niemcowi i pobiegł Piastuna się radzić, co miał czynić. Powrócił z postanowieniem, aby korzystać z Niemca, przekraść się do obozu nieprzyjaciela i co można w nim wypatrzeć.

Nazajutrz Hengo i on naradzali się na osobności, tak aby ich nie podsłuchano. Dobek starostę swojego zawołał i w domu pilnować polecił — sam na koń siadł, dawszy Niemcowi drugiego i w lasy ruszyli, nie opowiadając się nikomu, dokąd i po co.

Cieszył się Niemiec nie domyślając, jakie mu niebezpieczeństwo groziło, i uszy nabijając Dobkowi tym, że on u młodych kneziów będzie ręką prawą, panem na ich dworze, że pozyszcze<sup>78</sup> bogactwa wielkie, weźmie ich krewną za żonę — byle stale z nimi trzymał i drugich też do tego po cichu nakłaniał, aby kmiecicia rzuciwszy, dawnych panów się jęli. Dobek milcząc głową potakiwał, a co się w nim działo, tego z oczów nie można było wyczytać. Czasem się tylko ukośnie spojrzawszy uśmiechał.

Jechali tak, lasami przedzierając się, po uroczyskach pustych nocując, dni kilka, aż wjechali do puszczy na granicy pomorskiej ziemi. Tu Hengo znalazł drożyny lepiej jeszcze, wiedział, gdzie szukać ludzi — a przez nich do obozu Pepeków trafić już było łatwo.

Właśnie tam jeszcze na Kaszubów i inne gromady ludzi nawykłych do napaści i wojny czekano, gdy Hengo z Dobkiem manowcami ku obozowisku się zbliżyli.

Dwaj młodzi kneziowie z wujem Klodwigiem stali na granicy w lesie, który zwano Puszcza Dziką.

Miejsce na obóz wybrane samo przez się było obronne, bo je dwie rzeczki, spływające się tu, w widłach obejmowały, a z dala szerokie otaczały błota. Na starym horodyszczu porozbijane były szałas i namioty płócienne. Niemała zbrojnych ludzi kupa już się tu zebrała, inni przyciągali.

Gdy się u straży stojącej na wąskiej haci wiodącej do obozu opowiedzieli — wziął ich jakiś starszy i do młodych panów prowadził. Dla kneziów w pośrodku horodyszczu naprędce była sklecona szopa, na nieociosanych słupach oparta, lada jako deskami i gałęźmi pokryta, której ściany płotami i oponami ostawiono.

Kręciło się około niej rycerstwo po niemiecku odziane, w sukniach pstrych, naszywanych, z żelazem u pasa, a niektórzy i na głowie je mieli. Dzidy też nosili okute żelazem, niektórzy z proporczykami, chociaż na kamiennych młotach i obuchach nie zbywało.

Dopiero pod szopę wszedłszy, kędy młodzi kneziowie z niemieckim swym krewniakiem siedzieli na pierkach sukнем poprzykrywanych, Dobek mógł dostrzec istotnej różnicy tej, o której mu Hengo powiedział tyle — i owego bogactwa, jakie mu opisywał.<sup>79</sup>

Na deskach pozbijanych, które za stół służyły, postrzegł naczynia kowane złociste i opony czerwone, szyte we wzory, na samych też odzież misternie szytą, obszywaną i bramowaną. Oba suknie mieli niebieskie do kolan, blaszkami złocistymi po brzegach naszywane, płaszcz spinane na ramionach kolcami grubymi, na nogach obcisłą odzież sznurami pięknie objętą i skórnie też ozdobne.

Czemu najwięcej się dziwił i czego im najbardziej zazdrościł Dobek, to mieczów prostych, długich, z kruszcu świetnego, pasów do nich sadzonych i stojących z dala, u ścian tarczy guzami nabijanych, spod których skór prawie widać nie było. Inne, czerwono ma-

<sup>77</sup>zręczność — tu: sposobność. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>pozyszcze — dziś: pozyska. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>mógł dostrzec istotnej różnicy tej (...) i owego bogactwa — dziś: mógł dostrzec istotną różnicę tą (...) i owo bogactwo. [przypis edytorski]

lowane, lśniły dokoła prętami z kruszcu do nich poprzybijanymi. Na głowach też mieli kneziowie czapki pozłociste, kunsztownie wyrobione.

Pełno tu było Dobkowi nieznanego sprzętu, którego on nawet w prostocie swej użytku odgadnąć nie umiał.

Gdy weszli, a Hengo przypadł do ziemi, czego Dobek wcale naśladować nie myślał, stojąc i rozglądając się swobodnie — poczęło się naprzód długie, niezrozumiałe szwargotanie. Niemiec zalecał tego, którego tu przyciągnął, jako swą wielką zdobycz i zasługę, za którą mu się znaczna nagroda należała. Wuj i młodzi kneziowie lękać się zdawali, ażeby przybyły nie okazał się szpiegiem i zdrajcą, podesłanym, aby ich siły obliczył i dał o nich znać Polanom.

Dopiero po długiej z Hengiem rozmowie, Leszek starszy, który języka lackiego zupełnie zabył<sup>80</sup> jeszcze, do Dobka się zaczął odzywać, jaką to srogą niewdzięcznością naród się ich ojcu wypłacił za tyle dobrodziejstw, które otrzymał od niego, jak oni oto teraz u swoich nawet zamiast pomocy znaleźli się prześladowani i, w niebezpieczeństwie życia będąc, ledwie je ochronili, przez co dziad ich Miłosz zginął, że zostali zmuszeni szukać poparcia od rodziny matki lub sobie zakupywać je, aby powrócić do dziedzictwa swojego.

Zatem drugi z nich z Klodwigiem wujem kłąc zaczęli okrutnie Polanów, pięściami w stół waląc i odgrażając się wściekle.

Dobek słuchać musiał cierpliwie, nic nie mogąc odpowiedzieć. Stał prawie niemy dopóki rozmowa spokojniejszą się nie stała, a panowie nie ostygli.

Starszy złagodniwszy, zaczął go namawiać, aby i on, i przyjaciele, których mógł przeciągnąć, na stronę ich przeszli, Klodwig powtórzył to po niemiecku, a Hengo tłumaczył, dodając od siebie obietnice łask wielkich.

— Z was jednego — mówił wuj — choćbyście z nami szli, pociechy jako żywo mieć nie będziemy, chybabyście nam drogę ukazywali, a do tego mamy ludzi. Z dwojga rąk, choćby najdzielniejszych, pomoc mała. Jeżeli ochotę macie, inaczej nam posłużyć powinniście.

Powracajcie nazad do domu, weźmijcie<sup>81</sup> dowództwo, ciągnijcie z ludźmi na wyprawę przeciw nam, stańcie na tyłach. Gdy do bitwy przyjdzie, rzucicie się na nich z jednej, my z drugiej strony. Weźmiemy ich w kleszcze, aby nic nie uszło. Innych, co przedniejszych, namówcie, aby toż samo uczynili.

Dobek, choć w nim wrzało i kipiało, słuchał cierpliwie. Poczęli go obietnicami obypywać, przyrzeczono mu ziemi wiele, władze, namiestnictwo, skarby znaczne, a gdy Hengo coś podszeptną śmiejąc się, nawet mu panną niemiecką, pokrewną, za żonę obiecano, z posagiem, którego by na dziesięć wozów nie zabrał.

Dobek tylko słuchał, kłaniał się, na Niemca swego spoglądając z ukosa, i choć go gniew dusił za gardło, zmógł się, aby przyjąć te łaski, jak było potrzeba.

Posadzili go potem z uprzejmością wielką na ławie podług<sup>82</sup> siebie i zaczęli go poić. Leszek pierścień z palca zdjęwszy, dał mu go na znak przymierza, drugi mieczem pięknym obdarzył, a trzeci, chcąc też hojnym być, kubek mu kruszcowy, przepiwszy nim do niego, podarował.

Dopiero gdy miód i wino przyniesiono, a przy ucicie podochočili sobie, Dobek się na lepszą myśl zdobył i ciesząc się w duchu, że Niemców w pole wyprowadzi, począł rozprawiać przedrwiwając, jakby głuptaszkciem był. Leszek, czego nie rozumieli, innym tłumaczył.

Tak około dzbanków czas przeszedł do wieczora niemal, a w umowie stanęło, iż Dobek miał powracać do domu, o dowództwo się zgłosić koniecznie (które mu też należało) i innych na stronę Leszków przeciągać. Wszystko to, półgębkiem wprawdzie, Dobek przyrzekał. Cekał tylko, rychłoli się wyrwie, aby się obozowi cokolwiek przypatrzeć.

Tak obdarzonego i podochoconego Hengo potem zaprowadził pod szalas na hordyszczu zawczasu dla nich opróżniony i tu go na spoczynek złożywszy, sam jeszcze do swoich powrócił.

<sup>80</sup>zabyć — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>weźmijcie — dziś: weźcie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>podług — tu: podług, obok. [przypis edytorski]



Miał Dobek czas i zręczność<sup>83</sup> przypatrzeć się temu, czego był ciekawym, gdyż ze-  
wsząd go obozujący otaczali. Z miejsca, na którym szalas stał, wojsko dokoła rozłożone  
widać było, jazdę, której znaczna część miała odzież z żelaznych łubek i blach, i piechotę  
z tarczami, uzbrojoną w dzidy, oszczepy, miecze i obuchy. Nade wszystko tu podziwiał  
porządek wojenny, którego u Polan nie znano. Wszystek ten lud jak niewolników star-  
szyzna ostro trzymała, a za najmniejszą winę, jednych prętami smagano, drugich obar-  
czano ciężarami. Byli i tacy, co w dybach za przestępstwa chodzić musieli. Obchodziła  
się z nimi starszyzna jak z jeńcami, a gdy który z sotników huknął, drżało przed nim, co  
żyło. Zmiarkował Dobek, że choć taki wojak nie był pewny czasu<sup>84</sup> porażki, wojnę nim  
prowadzić łatwiej było, gdyż do czasu ze strachu był posłuszny.

Z miejsca, na którym szalas stał, liczbę wojska niełatwo rozpoznać było, ale nie zdała  
mu się zbyt znaczną: zbroją tylko i orężem Polan przechodziła.

Gdy Dobek dobrze się już był przyjrzał ludziom i porządkowi, późno w noc nadcią-  
gnął doń Hengo i przy nim się na straży położył, dopytując się ciekawie, jak mu się tu  
podało. Dobek, choćby był miał ochotę w miejscu go ubić, chwalił młodych panów,  
iż gładcy byli, piękni, ochoczy i weseli. Z przyjęcia się niby wielce radował, a Hengde  
obiecował sowitą nagrodę.

Podarki, które dla niepoznaki przyjąć musiał, jak ogniem go piekły.

W obozie kneziów młodych wiedziano już, iż Piastun z całą siłą dążył ku granicy, aby  
naprzeciw nim stanąć i zaprzecić im drogę, zaraz też nazajutrz i oni wysyłać mieli gońców  
po ludzi zacieężnych i wyprzedzić go chcieli napaścią niespodzianą.

Nazajutrz rano bardzo, z nikim się już nie widząc i nie żegnając nikogo, Hengo i Do-  
bek ruszyli przez obóz nazad ku lasom, przy czym tak się pokierował Dobek, aby się  
jeszcze piechocie i jeździe przypatrzeć. Hengo miał mu wszędzie towarzyszyć.

Wziął z sobą różnych darów dosyć, aby nimi do pozyskania więcej ludzi Dobkowi  
dopomagać. Zarania tego dnia gromady niektóre już się w obozie ruszały, a te mia-  
ły przodem iść, drudzy, z posiłkami wnet ciągnąć za nimi, chciano bowiem koniecznie  
wprzód wkroczyć od pomorskiej granicy, nimby się do niej Polanie zbliżyli.

Ruch był wielki, ochota dzika i odgrażania się straszne. Dobek przerzynając się przez  
kupy tego motłochu, musiał się tego nasłuchać za wiele i ledwie mogąc powstrzymać od  
okazania gniewu, konia tylko parł, by co rychlej znaleźć się na swobodzie.

Minąwszy obóz i pola, wjechali nareszcie w lasy. Hengo skorym był wielce do rozmo-  
wy, Dobek milczał pośepnie. Pierścień na palcu go piekł, miecz u boku zawadzał, kubek  
za nadrą<sup>85</sup> go dusił — tak mu pilno było pomścić doznaną zniewagę. Do nocy odjechali  
od obozowiska daleko, o znalezienie drogi już się Dobek nie obawiał — myślał tylko, co  
z Niemcem zrobić.

Przebić go mieczem było nader łatwo, ale rozbolałemu człowiekowi tej zemsty było  
za mało.

Gdy nocą już stanęli na nocleg i konie pętać przyszło, aby je puścić na paszę, Dobek  
się zakręcił powiadając, że postronki pogubił, a kilka tylko pęczków zapaśnego<sup>86</sup> łyka<sup>87</sup>  
znalazło się u siodła. Niemiec, człowiek zawsze przezorny, swój sznur mocny ofiarował —  
ale Dobkowi wydał się on za cienkim.

We dwóch więc wzięli się z niego grubszy skręcić — Hengo pomagał ochoczo. Ogień  
już był wielki pod starym dębem rozpalony i płonął jasno.

Bardzo zręcznie pętlę splótszy Dobek milcząc przystąpił do Niemca i nim się ten  
spozstrzegł, zarzucił mu ją pod pachy. Wziął to sobie za żart Hengo, niedomyślający się  
jeszcze niebezpieczeństwa, gdy drugi koniec sznura przez gałąź przerzuciwszy, chwycił  
Dobek i szarpnąwszy nim, już krzyczącego Niemca nad ogniem zawiesił, skrępowanego  
tak silnie, iż się wywinąć nie mógł. Sznur potem Dobek umocował, a sam nieco opo-  
dał spokojnie się położył na trawie, ogień tylko podkładając, aby Hengo upiekł mu się  
żywcem.

<sup>83</sup>zręczność — tu: sposobność, okazja. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>czasu — tu: podczas, w czasie. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>nadra a. nadro — pazucha, zanadrze. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>zapaśny — tu: zapasowy. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>łyko — tu: sznur konopny, skręcony z łykowatych części łodyg konopi. [przypis edytorski]

Stało się to tak szybko, iż Hengo, rażony nagle, przytomność prawie utracił. Dobek zbyt był zburzony, aby nawet mógł łajać iskrzyły mu się oczy, leżał, patrzył i nasyczał się.

Jęczącym głosem Niemiec się śmierci wypraszał — lecz nie otrzymał słowa odpowiedzi, ogień tylko podkładał Dobek coraz silniejszy, rzucając węń, co mógł ściągnąć gałęzi. Dym i płomień coraz się wyżej podnosząc, już zdrajęc ogarniały. Jęczał coraz słabiej i sznur poruszany okręcał się z nim wśród płomieni.

Tymczasem, gdy jęki ustawać poczęły, mściciel konie oba na powrót ściągnął z paszy, pokładł ładunek na nie, nałożył uzdy i wyczekiwał tylko, rychłoli Hengo w męczarniach skona, aby się od trupa oddalić.

Miotając się jeszcze Hengo, coraz słabszym odzywał się głosem.

Oczekiwanie znużyło znać Dobka, bo chwyciwszy oszczep, rzucił nim w piersi i dobił nieszczęśliwego.

Odszedł potem od ogniska, a wkrótce ciało urwane z gałęzią padło w ogień, żar i iskry rozpryskując do koła, objęły je płomienie. Najmniejszej już wątpliwości nie było, iż Hengo odżyć nie może, skoczył więc Dobek na koń, splunawszy na trupa i szybko się oddalił.

Lżej mu się potem zrobiło, a że noc dosyć jasna dozwalała ciągnąć dalej, ledwie cokolwiek koniom na polance spoczawszy, ruszył, spiesząc nie do domu, ale na prost ku jezioru Lednicy, gdzie się spodziewał znaleźć w pochodzie już wojewodów i ziemie<sup>88</sup>.

Kto by go był ujrział naówczas pędzącego niecierpliwie ku swoim z wieściami, jakie zdobył na wyprawie — myślałby, że go jędze i wiły lasami gnały, tak pilno mu było co najprędzej dostać się do Piastuna i swojej gromady.

Ze wszystkich polańskich mirów, co do oszczepu i procy zdatnym było — Piastun naprzód zebrał u Gopła. Tu mnogi ten lud, tysięcznikom, setnikom, dziesiętnikom, rozkazawszy podzielić, nad oddziałami stawiać dowódców, wojewodów, którzy jemu tylko winni byli posłuszeństwo. Piastun zebrał wojsko daleko liczniejsze niż obrona wymagała. A choć wojakiem nie był, ale prostym bartnikiem, z rojami tymi tak sobie umiał poradzić, iż po raz pierwszy, zamiast kup bezładnie rozbiegających się po lasach i polach, złożył wojsko, które i Niemcom mogło być groźnym.

Uzbrojenie też, choć proste, lepszym teraz było, bo wojewodowie i ich tysięcznicy, sami każdego opatrywali, aby z gołymi nie szedł rękami. Ci, którym koni nie stawało, szli pieszo, uzbroiwszy się w cięższe oszczepy, pociski i tarcze.

Ponieważ innej zbroi na ciele nie mieli, tarcze te służyły w zastępstwie. Sporządzono ich mnogość wielką, z kory lipowej i drzewa, jakich długo potem jeszcze używano.

Jesiennego dnia, wystąpiwszy na pagórek, gdy wszystek lud już z wojewodami stał w polu, a każdy mir i ziemia ze swymi bogi i stanicami na wysokich dzidach wetkniętymi — rozeznac było można i policzyć — uradował się Piastun w duszy: gromady w ładzie stały i wesołymi głosy mu odpowiadały.

Rozkazanie tedy szło po wszech ziemiach, aby Międzyrzecanie, Kujawiacy, Poznańscy, Bachórcy<sup>89</sup> z innymi ciągnęli w porządku pod swymi wojewodami, posuwając się trzema drogami ku granicy. Jedne o drugich ziemie wiedzieć miały, nie przeszkadzając sobie w ciągnięciu i na pastwiskach, a nie pustosząc własnego kraju. Iść mieli w cichości, nie rozbiegając się, tak aby nieprzyjaciel zawczasu się o nich nie dowiedział, nie uszedł, nie osaczył, zasadzki nie miał czasu zgotować. Sam Piastun z synaczkiem, którego mimo lat młodych do wojny zaprawiał, szedł w pośrodku, aby własnymi na wszystko patrzeć oczyma.

Ujrzano też rzecz osobliwą, iż wojewodami mianował ludzi, którzy się tego nie spodziewali, a tych, co nimi chcieli być, pominął. O Dobku jeden on wiedział, gdzie się znajdował, drudzy różnie przebąkiwali, dano więc zastępstwo drugiemu.

Gdy się to działo, a wszystkie siły ławą wielką sunęły się ku granicom, jednego wieczora stanęli na nocleg pod lasem. Piastun z synem i kilku starszyzny u ognia grzać się usiedli. Piekli sobie na drewniakach mięso zabitego kozła i gwarzyli po cichu, gdy niespodzianie zaszleściło niedaleko i kneź ujrział stojącego przed sobą Dobka z bladą twarzą, poruszonego wielce, widocznie wysiłonego podróżą, bo się na nogach chwiało stojąc.

Władza

<sup>88</sup>ziemie — tu: oddziały z poszczególnych obszarów kraju, ziem. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Bachórcy — lud znad Bachorzy, zamieszkujący okolice rzeki oraz podmokłe tereny między Wisłą a Gopłem. [przypis edytorski]

— Dobek! — spojrzawszy nań zawołał Piastun, jakby o niczym nie wiedział — Gdzież to bywał? co się działo z tobą? Ludzie się o was troskali, czy nieszczęścia jakiego nie mieliście?

— Działo się zaprawdę ze mną — rzekł Dobek — co trudno z dala odgadnąć, czemu by uwierzyć trudno, ale się przecie nic złego nie stało. Wracam oto wprost z obozu Leszków w puszczy dzikiej, tak jako mnie widzicie, jeszcze śmierdzą Niemcami.

Wszyscy krzyknęli zdziwieni, a Dobek opowiadać zaczął.

— Wziąłem u was, miłoścy panie, Niemca do naprawy mieczów takiego, który o mało mnie samego nie popsuł. Chytra gadzina, chciała mnie dla Leszków i do zdrady namówić. Wtedy za wiedzą waszą udał, że się biorę na wędę, jechałem z nim aż na granicę pomorską do obozowiska Leszków. Dobrze było podpatrzeć z bliska, jakie siły mają i co myślą. Stało się tak, że mnie przypuścili do siebie, a do zdrady namawiać jęli, udawać musiałem, język sobie kłując, że im sprzyjam. Przepatrzyłem ich zbroje, ludzi i wojsko. Chcieli mnie przekupić darami, dodał rzucając z kolei pod nogi Piastunowi pierścień, miecz i kubek — oto one są. Obietnic mi nie żalowali. Wyrwałem się im, spatrzwszy wszystko — i otom ja jest.

Tchnął mocno Dobek, dziko rzucając oczyma.

— A Niemiec co z wami był? co się z nim stało? — zawołała starszyzna.

— Jużem go nie mógł dłużej ścierpieć przy sobie — odparł Dobek. — Na noclegu dla wilków upiekłem go na gorących węglach, aby smaczniej im jeść było, inaczej by go może nie chciały.

Słuchali wszyscy w podziwieniu wielkim, nim się posypały pytania — jak Pomorcy, jak Niemcy, jak cały obóz nieprzyjacielski był zbrojny, co mówili, jak i dokąd ciągnąć myśleli. Opowiedział Dobek, iż spieszili posiłki zbierać, zwykłą drogą ku Lednicy mając ciągnąć, dokąd już przodowników wysyłano, aby Polanom drogę zabiegli od granicy.

Z drugiej więc strony także nadażać było potrzeba, aby się im nie dać wyścignąć. Z tego, co Dobek widzieć mógł i miarkować, z tego co słyszał, cała Leszków drużyna zebranej przez Piastuna sile równać się nie mogła, orężem tylko straszną była. Serca nabrała starszyzna i wielkiej do boju ochoty, i jak na brzask kazano dać znak do ciągnięcia w cichości ku jezioru, ku Lednicy.

## VIII

Lasami, polami, ostępy posuwały się gromady zbrojne ku jezioru w takim milczeniu, jakby zwierza sploty się obawiały. A stało się, zrzędzeniem dziwnym, że choć wojewodowie mało o sobie wiedzieli w pochodzie, z różnych stron ciągnąc — o jednym dniu i godzinie wyszli z okalających puszczy na równinę. Mogło się to nazwać wróżbą szczęśliwą i gdyby nie nakazane milczenie, radość by była z piersi wyrwała im okrzyk wielki.

Piastun ze wzgórza oglądać mógł, jako miry i ziemie szły w porządku i jedne przy drugich się kładły.

Tu postanowiono zatrzymać się do jutra, czekać na nieprzyjaciela, a jeżeli by nie nadszedł, sunąć zastępem wielkim ku puszczy od Pomorza.

Nie było jeszcze południa, dzień jesienny, ni skwarny, ani zimny, po chłodnej nocy, w lasach stała jeszcze na liściach rosa, w polu wesoło świeciło słońce. Ze trzech stron ściągaly się miry i szycowały powoli — gdy stojący na wzgórzu postrzegli u skraju lasów poruszające się gromady, które naprzeciw nich występowały z puszczy.

Byli to Leszkowie i ich siły.

Nie spodziewali się znaleźć Polan w gotowości przeciw sobie i pierwsze ich kupy z lasów wychodzące, ujrawszy obóz rozłożony na równinie, stanęły wryte.

Zmieszali się widocznie najeźdźcy, obiegać zaczęli konni na boki, rozpatrując się w sile nieprzyjaciela. Nad obu zastępami wielka, uroczysta panowała cisza.

Polanie wcale nie ulękli się wroga, nie ruszyli się nawet z miejsc swoich. Pomorcom też, choćby się byli może cofnęli radzi — uchodzić za późno już było.

Na tej więc dolinie nad Lednicą do stanowczej rozprawy przyjsć miało między Leszkami a kmieciami. Młodzi kneziowie ufni w Niemców, których z sobą mieli, w oręż i w to może, iż Dobek im zdradę przyrzekał, kazali swoim dalej wysuwać się na pole. Gromada

ta, zrazu niewielka, w oczach Piasta rosnać poczęła, rozciągać się, zwiększać i posuwać naprzeciw Polan, on z wojewodami swoimi stał a patrzył — nie wydając jeszcze rozkazów.

Zrazu w cichości stojący Leszkowie, wnet ubezpieczeni przewagą, w którą ufni byli, dali hasło do okrzyków, które bitwę poprzedzając, służą do strwożenia przeciwnika. Dzik wrzask rozniósł się ponad szeregi. Polanie cicho stali jeszcze.

Obok Piastuna sześciu wojewodów, starców z brodami białymi i siwymi — patrzyło w milczeniu jak tam zastęp najeźdźców rósł, wyciągał się, rozdymał i odgrażał.

Ze starców pierwszym był Ścibor, który lud prowadził od Warty, dorodny, mężny i silny — mąż do rady i do boju, milczący, wytrwały, twardy dla siebie i dla ludzi. Siedział na koniu przygarbiony nieco, a że czapki nigdy nie zwykł był nosić, gęsty i bujny włos ogromny wiatr mu jak grzywę rozwiewał. Odkryta pierś, porośla gęstym włosiem, nosiła ślady blizn starych.

W rękę miał dzidę okutą żelazem, a na szyi obręcze miedziane dawne, które dziadom jeszcze służyły.

Drugi przy nim, jak on, prawie biały, w którego włosach jasne jeszcze, dawniej rude, pasami się przebijały, rumiany i świeży na twarzy, choć latami od Ścibora był starszy, zwał się Nagim. Na głowie miał czapkę z wilczej paszczęki. Gorąca w nim krew, ruchami niecierpliwymi grała. Oczyma wodził to po swoich, to po wrogach usta miały przekleństwa i obelgi. Gdyby on rozkazy dawał, już by się rzucił na Pomorców, nie dając im czasu rozwinąć. W rękę miotał oszczepem jakby mu palił dłonie. Podrzucał go i chwycił, a koń pod nim, jakby z panem czuł jedno, podskakiwał do góry i ledwie go naprężona uзда utrzymać mogła.

Za nim stał Luty, Międzyrzeczan wiodący, suchy, blady, wysoki, prawie bez włosów na brodzie i głowie, żółtej skóry, oczu małych, czarnych i niskiego czoła. Łowiec to był, tak jak wojak, zapalczywy i niejedną raz na swoją rękę z garścią<sup>90</sup> małą wdzierał się od granicy Pomorza, we wnętrzości im, łupiąc Nielitościwie. Ten do dzidy nie bardzo był nawykły, obuch ogromny miał w reku, a siekiere u pasa, bo wodzowie owych czasów nie tylko rozkazywali wojskom, ale sami przodować im do walki musieli.

Czwartym był Bolko Czarny, któremu nazwanie to zostało z czasów, gdy włos i brodę miał kruczą. Dziś oboje na pół siwizna objęła. Na małej głowie, w której oczy, nos i usta pod zasklepieniem siedziały czołem, kędzierzawy włos nastrzępiał się wysoko — krępy był i szeroki a silny. Ogorzała twarz ledwie wśród zarostu dojrzeć było można. Bolko czarny rzadko usta otwierał, mówił, gdy był zmuszony, krótko a nakazująco. Mąż był do pracy, nie do słowa i słuchać też próżnych wyrazów nie lubił — ale go nikt nie widział doma ni za domem z założonymi rękami. Gdy czynić co nie miał, cepy strugał.

Z drugiej strony stał Myszko zwany Kulikiem, jak wszyscy z tego rodu wyrosły bujno, zdrów, gorący do boju i do rozprawy na języki; uparty przy swoim, ale nieustraszonego męstwa. Znano go, że gdy się przy czym uparł, a rzekł iż tak być ma, nie cofnął się, choćby życiem przyszło płacić. W zgodzie z nim długo trwać było trudno, lecz komu braterstwo przyrzekł raz, strzymał je we wszystkim i do końca. Nigdzie mu weselej nie było jak tam, gdzie się bić miano. I teraz też usta mu się śmiały, jak do najmilszej słodyczy, bo wiedział, że krwi zakosztuje.

Na ostatek najmłodszy z wojewodów, Poraj, konia pod sobą ledwie utrzymać mogąc, patrzył ku Piastunowi, czekając rychłoli rzecze, aby lud szedł na spotkanie.

Był to mąż w sile wieku, dziwnie zręczny, z koniem jakby zrosły, z oczyma błyszczącymi ogniem wesołym, z usty uśmiechniętymi, strojny pięknie, bo się lubił ubierać i błyskotkami obwieszać. Wszędzie, gdzie wszedł, rad był pierwszym być i starał się o to, potu i trudu nie żałując. Kilka razy już szepnął kneziowi, że godziło by się dać znak do boju, lecz Piastun nie śpieszył, rozpatrywał się w tej sile, która ciągle z lasu płynąc, mnożyć się jeszcze nie przestawała, jakby ją puszcza na zawołanie rodziła.

Po namyśle zwrócił się kneź nareszcie, wejrzeniem zdając pytać, co począć mają — czekać, aż się Pomorcy rzucą pierwi, i odpierać, czy iść na nich ławą całą?

Dwa zastępy stały na dwu wzgórzach, w pośrodku których była dolina. Nieznacznym, prawie wyschłym strumieniem kręto biegł jej środkiem. Żaden z wojewodów ze słowem się nie wyrwał, gdy o kroków kilkanaście ujrano zdążającego ku nim Wizuna, z dzidą okowaną

<sup>90</sup>garść — tu: grupa, oddział wojowników. [przypis edytorski]

w ręku. Szedł rażno, wesoło, jakby odmłodzony i wysiadłszy zaledwie z łodzi, pośpieszał z twarzą jasną ku wodzom.

— Z chramu idę od ognia i wyroczni! — zawołał — niosę wam wróżbę dobrą. Pytałem losów przez ogień, przez wodę, przez ptasi lot, przez wosk lany i dym świętego ogniska... odpowiedziały mi, że wroga zguba czeka!

Spojrzyjcie! oto nad głowami waszymi ptak się unosi jak gołąb biały, a tam pod lasem gęste kruków widać stada!... Łado! Kolado! — krzyknął. — Idźcie na nich! na nich! następujcie!... Niech ich noga stąd nie ujdzie. Łado! na nich!...

Za Wizunem i wodzowie, i bliższe szeregi ten okrzyk wróżby szczęśliwej powtórzyły. Piastun ręką wskazywał ku lasom.

Ścibor natychmiast z ludźmi stojącymi po lewicy ruszył, okalając nieprzyjaciela od lewego boku, Luty poszedł z prawego, Bolko Czarny z nim podążał, Myszko za pierwszym, Poraj i Nagi około Piastuna zostali w pośrodku. Gromady ochotnie, jak jeden człowiek poczęły się ruszać i kupić, podnoszono stanice, tysiącznicy i co dorodniejszy lud na czoło wychodził, tarcze chwytało z ziemi, oszczepami najeżały się szeregi.

— Łado!... — wołali wszyscy.

Z przeciwnej strony rozeznac już było można przodem jadących trzech wodzów w płaszczach czerwonych i czapkach połocistych, a przy nich żelazem obwieszanych Niemców, którzy rękami wskazywali coś, wywijając na prawo i lewo. Za nimi w jedną gromadę zbity tłum mieszał się i rozsypywał, jeszcze niepodzielony. Niemcy, a tych odróżnić było łatwo, stali przy młodych kneziach w liczbie niewielkiej, za nimi zwijali się Pomorcy z żelaznymi mieczami i pękami sznurów u pasa, przeznaczonymi do wiązania niewolnika i łupu.

Gdy Polanie ruszać się zaczęli wołając: „Łado!”, Pomorcy też posunęli się naprzód z okrzykiem, którego rozeznac nie było można. Dowodzący w płaszczach czerwonych skryli się razem z Niemców orszakiem w środek szyków, a na przód wyskoczyli co najzjadlejsi, nawykli do wypraw Pomorcy. Wywijając mieczami i dzidami, poczęli bieć, jakby wyzywali Polan, którzy czekali na nich u pochyłości wzgórza.

Wyschły strumień, ciekący w dolinie resztką wody, dzielił ich we dwa zastępy. Ścibor i Luty rozstąpiwszy się szeroko zabiegli Pomorcom z boków. Z lasów już nie było widać wyrastających sił nowych, ostatnie wysunęły się nieśmiało i dognały tych, co je poprzedzili.

Wrzawa zwiastująca spotkanie rosła coraz, lajano się psami i gadzinami, padalcami i ścierwem zgniłym, najobrzydliwszymi wyrazy... idący przodem pluli na siebie i pięści pokazywali, a gdy z obu stron rozjuszenie wzrosło do szału, pierwsze młoty głucho po tarczach zadźwięczały, ci co stali w pierwszych szeregach zwarli się, naskoczyli na siebie i zmieszali wnet w jedną gąszcz ludzką, w których wrogów od swoich rozeznac nie było podobna.

Z tych przodowników wkrótce powstał tylko wał dogorywających i trupów, który dalszym drogę hamował. Na ziemi leżący jeszcze się dusili i mordowali, gdy już drudzy, depcząc ich i biegnąc po nich, nową rozpoczynali walkę.

Luty, który z boku swych ludzi prowadził, najrzawszy przeciw sobie na koniu siedzącego Klodwiga, wprost się przebił przez ciżbę na niego i spadł nań jastrzębiem. Po czapce i płaszczu poznał w nim wodza. Obuch podniósłszy do góry, zwijając nim rzucił się na Niemca, ten z koniem z miejsca, na którym stał, zerwał się szybko, zabiegł i mieczem uderzył Lutego po obnażonym karku. Krwawa pręga pokazała się na szyi, ale krew nie trysła, a Luty swym obuchem w piersi zmierzwszy Klodwigowi, z konia go na ziemię zwałił.

Niemcy krzyknęli z przerażeniem, całą gromadą otaczając Lutego, który obuchem na wsze strony wywijając, obraniał się im zajadle. Siekły go ich miecze, nie mogąc zadać ran większych nad pierwszą. Zdało się, że stwardniałej skóry jego żelazo nawet wziąć nie mogło, bliznami zaledwie ją znaczyło.

Spółrodka tej gromady, która go opadła, Luty cofać się musiał, a Klodwiga konającego porwali na ręce towarzysze. Ustami lała mu się krew.

Bolko Czarny także wparł się we środek razem z Myszkciem, goniąc za młodymi Pępłkami. Lecz przerażeni losem Klodwiga Niemcy i dwór okrzykli Leszków i murem ich opasywali.

Bitwa, Walka, Wojna

Buta i wściekłość Pomorców wnet jakoś ostygąć zaczęły, gdy przy pierwszym starciu nie złamali nieprzyjaciela. Bili się, ale zarazem cofali, gdy gromady Polan następowały i parły silnie, a z obu boków zajmąwszy wzgórze, ścisnęły ich coraz ciasniej. Droga swobodna ku lasom zwężała się co chwila. Leszkowie ujrzeni z przestachem, że dwie gromady już prawie kraj lasu zajmowały. Pomorcy coraz żywiej też cofać się zaczęli.

W samym środku poboju najzjadlejsza toczyła się walka; tu zwarli się ludzie, którym nie szło o zwycięstwo, ale tylko o to, by się nasycić mogli i namordować.

Dokoła nich trupy leżały okopem krwawym; razem z końmi zmieszane ciała ludzi, w których tkwiły potrzaskane pociski. Ku rzeczce ciekły stąd wężykami jakby czarne strumyki krwi zagęślej. Tu zacięta walka nie ustawała. Jeśli ją przerwała chwila znużenia, wnet powracała wściekłość. Widać było z tych kup martwych ciał wstające nagie trupy, które życie odzyskiwały, aby się z nową zjadłością rzucić na nieprzyjaciela i lec znowu zgniecione. Konie gryzły się; z sobą i napadały wściekle na ludzi, psy Pomorców i kneziowskie wyły, rzucając się na wojaków i padały przebijane oszczepami.

Słońce się już dawno ku zachodowi chyliło, wrzawa i bój trwał jeszcze, ale Pomorców niedobitki już tylko cofały się coraz żywiej, coraz widoczniej chcąc uciekać na lasy. Leszkowie z obawy, aby ich nie pochwycono, już przodem z małą garścią uszli niepostrzeżeni. Dla reszty droga była zaparta. Luty biegnących spychał nazad ze wzgórze w poboju, ze wszech stron obejmowali ich Polanie.

Niewolnika brać całe<sup>91</sup> nie chciano, poczęła się więc dzika rzeź a rozbijanie tej garści rozpaczliwie broniących się ludzi, którym czaszki trzaskały młoty, a oszczepy piersi.

Cała dolina i dwie wzgórzów<sup>92</sup> pochyłości okryte były ciałami, a gdy mrok padł, nie stało już walczyć komu ani kogo zabijać. Starszyzna konno jeździła po polu, a gromady upojonych szaleńcami dobijały tych, co jeszcze drgali i jęczeli.

Ostatnie brzaski wieczora przerażający obraz oświecały, pola zasłane pobitymi, których śmierć chwyciła w różnych walki wysiłkach. Jedni twarzą leżeli na ziemi, drudzy ku niebu zwróconą, jakby się jeszcze dźwignąć chcieli, sparci na rękach skostniałych, z nogami podniesionymi w górę. Gdzieś wróg leżał razem z tym, co go dobił, nie mogąc wyrwać się z ostatniego uścisku. Nad wielą stały wierne konie, wachając trupy i szukając poległych panów.

Piastun i krwawi wojewodowie patrzali na wzgórze, kupy otaczające ich, podnosząc zbroczone dłonie, okrzykiwały zwycięstwo.

Gdy noc zapadła, Polanie rozłożyli ogniska i pieśni śpiewać zaczęli. Gromady czeladzi z żagwiami w rękach obchodzili poboju odzierając pobitych.

Nie spieszo grzebać, aby i ptakom, niespokojnie unoszącym się górą, dać się napaść do syta.

Wyszedł później księżyc zza chmur i zaświecił nad szerokim trupów polem. Zdało się, że trupy powstaną, gdy promienie blade poczęły je dobywać z ciemności, ale pozostały martwe, a z lasu wilcy ciągnęły, na biesiadę, wyjąc z daleka i upominając się o część swoją.

U ognia zasiadł Piastun otoczony wojewodami. Radzili, co począć, iść dalej czy spoczywać?

Stary kneź długo, wedle obyczaju swego, słuchał, co mówili inni, nie spiesząc ze słowem. Gdy kołem obiegły głosy, rzekł w ostatku:

— Dwu z wojewodów pójdzie pogonią za zbiegami i pomści najazd na Pomorzech. Tego starczy dla grozy... My tu, gdzie nam Bogi dały zwycięstwo, na kościach najeźdźców założym gród, stolicę, a nazwany będzie Kneźnem. Jutro pogrzebiemy ciała, aby nie kaziły powietrza i ziemi, a gdy lud spocznie, wnet grodzisko obsypywać i budować począć trzeba.

Uradowani wszyscy powtórzyli okrzykiem — Kneźno! a wojewodowie wstali jeden przed drugim dobijając się tego, by na Pomorze iść mogli. Każdy z nich coś miał za sobą i o mało do sporu nie przyszło, gdy Piastun rozstrzygł<sup>93</sup> rozkazem, aby Luty i Bolko Czarny ruszyli nazajutrz sami. Umilkła reszta, choć zazdrosnym na nich patrzyła okiem.

Przy ognisku na uboczu leżał ranny Dobek; przy nim stali Ludek, Wiszów syn, i Doman. Z zjadłością wielką walczył on dnia tego i nabił wrogów kupy, ale jeden z nich, już obalony, ostatnim wysiłkiem oszczep mu wraził w nogę. Choć z rany zaraz wyjęto

Walka, Morderstwo,  
Okrucieństwo

Zwycięstwo, Krew

Trup, Ptak

Trup, Księżyc, Zwierzęta

Choroba, Obyczaje, Rana

<sup>91</sup>całe — wcale, w ogóle. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>wzgórzów — dziś forma D. lm: wzgórz. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>rozstrzygł — dziś: rozstrzygnął. [przypis edytorski]

drzewce, rana została głęboka, noga była poszarpana, a liście i huba przykładane krwi nawet całkiem zatamować nie mogły. Leżał blady, sycząc tylko z bólu, ale twarz mu się śmiała i oczy błyskały radością, a gdy słabł na chwilę, rzeźwiła go wnet myśl, że się przecie pomszczono na dzicy, która kraj niszczyła.

— Hej — odezwał się Doman — tu leżeć na wygonie i na trupy patrzeć niezdrowo. Wizun już na ostrów powrócił, dzidę we krwi zmaczawszy... zawieziemy się do niego, na ostrów. On ci rany lepiej opatrzy i świętą wodą zaleje... Mnie tam tak uratowano życie. Ja cię powiozę i wiosłami robić będę.

Sambor, który za Ludkiem stał, odezwał się też.

— I mnie byście wzięli... ja mu będę głowę na kolanach trzymał.

Wszyscy się dokoła na ostrów prosili, Doman, Ludek, Sambor, a wszystkich ich tam ciągnęła Dziwa, którą radzi zobaczyć byli.

— Ja bym rad jechał — rzekł brat Ludek — ale mnie serce zaboli widzieć tam siostrę rodzoną do ognia przykutą, gdy gdzie indziej by panowała doma... Nie pojedę... pozdrowicie ją ode mnie... A ty, Domanie?

— Ja pojedę — zawołał Doman — pojedę. Raniła ona mnie i krew moją przelała, ale gdy potem ranny i chory przyplynał, ratowała mnie i pielegnowała.

— Pozdrowicie ją ode mnie! — powtórzył Ludek. — Ode mnie, od braci, od siostr i ścian, i progę, i ogniska domowego.

Dobek nie rzekł nic, wzięto go na ręce i do czółna niesiono. Doman sam głowę jego położył na swych kolanach, Samborowi, który nogi otulał, zostawiwszy wiosło.

Popłynęli powoli. Noc była jasna, widzieli, jak w promieniach księżycy bogunki się po wodzie rzucały, jak z dala nad powierzchnią jeziora ich główki wyskakiwały niktąc, gdy się zbliżali, jak białe ich ręce nad wodą zbierały warkocze, z których krople spadały jasne; zdało im się, że śpiew ich słyszeli, a przyplynawszy bliżej, znajdowali tylko zmarszczoną powierzchnię i wir, w który ją tanecznice wprawiły.

Pokazał się wreszcie ostrowi brzeg i drzewa, a nad chramem dymu słup czerwieniejący w oddali i chat czerwone okienka, a na łące obozy ludzi, co się tu przed Pomorcami schronili, a bitwę słyszeli tylko w wichrów szumie. Gdy czółen<sup>94</sup> zaczął się zbliżać do brzegu, czekała nań ciekawa gromada, a wśród niej Dziwa, patrząca w dal, jakby się kogo spodziewała.

Doman pierwszy poznał ją, nim zobaczył.

— Ona stoi tam! — zawołał — Dziwa! Dziwa! któraż by inna wzrost ten miała? tak głowę niosła? tak królowała jak ona?...

Czólen się już zarył w piasek.

Sambor skoczył na ląd, aby go wyciągnąć, Dziwa przystąpiła ku nim niez dumiona wcale, spokojna, jakby się ich spodziewała i przeczuła.

Gdy Sambor do nóg jej przypadł, rąbek sukni całując, przyjęła go uśmiechem, Doman rumieńcem, a nad Dobkiem schyliła się ciekawie, gdy jęknął z bólu. Stał tu i Wizun, i stara Nania, i dziewcząt stróżek kilkoro.

Wróżbit<sup>95</sup>, który zawczasu przed bitwy końcem powrócił do chramu, w ofierze niosąc włócznię krwawą, nie pytał o jej dalsze losy. Patrzył dumnie i zwycięsko.

— Pobiliśmy ich! — zawołał Doman powstając z czółna — dobrzeście nam wyróżyli. Niewielu z nich żywymi uszło... padł wódz jeden, ale Leszkowie uciekli w lasy...

Wizun nie słuchał prawie, schylił się do rannego, patrząc, gdzie go wróg skaleczył. Dobek wskazał mu na nogę.

— A ty... gdzie mu ten raz oddałeś? — zapytał.

— Leży on tam w polu i krucy nim się cieszą... gardło dał pod tym samym niemieckim mieczem, którym mnie obdarzyli.

— Nieście go do źródła świętego — rzekł starzec — woda go sama uleczy, gdy ten, co ranił, nie żyje...

Wzięto więc Dobka unosząc go pod ręce i szli wszyscy, a Dziwa im przodowała. Niekiedy obejrzała się za siebie i rumieniła spotykając ścigający wzrok Domana.

Woda

Choroba, Wierzenia, Woda

<sup>94</sup>czółen — dziś r.n.: czółno. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>wróżbit — dziś popr.: wróżbita. [przypis edytorski]

W milczeniu zbliżyli się ku chacie Wizuna i chramowi. Tu, na tym samym miejscu, gdzie wprzód leżał Doman, złożono rannego, a Dziwa pobiegła zaczerpnąć wody, bo do źródła przystęp był trudny.

Doman wymknął się zaraz za nią, stała u źródła zadumana, poprawując<sup>96</sup> kosy i wianek, gdy nadchodzącego ujrzała. Lice jej pokraśniało, zwróciła się, spuściła oczy.

— Ja wam czerpać pomogę... ja za was wodę zaniosę — szepnął Doman za dzbanek chwytając.

Nie odpowiedziała mu nic, oczy jej przebiegły po jego twarzy i zawstydzony wzrok padł na ziemię.

— Co ludzie pomyślą? Co powiedzą — zamruczała dziewczę — gdy was tu zobaczą?

— Że ja wam od brata przyniosłem pozdrowienie... Ludek kazał rzec wam od siebie dobre słowo i od braci i siostr pozdrowić, od ścian, progów i ogniska.

Westchnęła Dziwa.

— Im tęskno wszystkim za wami...

Ciągle słuchając odwracało się dziewczę, potem, jakby co rychlej ująć chciało od rozmowy, pochwyciło dzbanek z wodą i poczęło iść żywo, nie śmiejąc obejrzeć za siebie.

Ze spuszczoną głową śpiesząc, biegnąc prawie, wracała do Wizuna chaty, gdzie około łoża pełno było ludzi. Stara Nania ranę obwiązywała, Wizun zioła dobywał; weszła z wodą świętego źródła, ustąpili wszyscy, zmaczała chustę i milcząc położyła na ranie.

— Rychło będziecie zdrowi! — szepnęła po cichu uśmiechając się do niego. — A teraz spoczywajcie tylko...

Wizun też na drzwi wskazywał i wszyscy wychodzić zaczęli. Dziwa znikła pierwsza, tak że i Doman nawet nie dostrzegł, kiedy mu się wymknęła.

Nie mógł też odejść, bo kołem otaczali go, nagląc, dopytując, badając, aby mówił im o zwycięstwie, jak się potykało i wielu zginęło.

Siadł więc na kamieniu pod chatą i gdy go kołem otoczono, począł powieść o bitwie: jak się wszystkie ziemie zeszyły cudownie ze stron różnych o jednej godzinie, jak wróg nieopatrzny sam wpadł im w ręce, jak szli walczyć do boju, a młoty uderzyły o tarcze i miecze, o obręcze miedziane, jak wojewodowie sami cudów dokazywali, lud prowadząc za sobą...

— Gdyśmy ich zewsząd objęli i ścisnęli jak wąż pierścieniem — mówił — nie mieli gdzie uchodzić, bronili życia, musieli bić się wściekle. Padali jak snopy, walili się jak drzewa, jęczeli jak zwierz dziki, gdy go oszczep dobija. Nie chcieliśmy jeńców, padli wszyscy bez mała, ledwie kto życie wyprosił.

Ręce nam już złożone nieśli, abyśmy im wkładali pęta, kłaniali się do nóg, bijąc głowami o ziemię... nie pomogło... czaszki ich pękały jak orzechy... krew lała się jak po deszczu potoki... płynęła do strumienia, a ze strumienia do jeziora, które się zarumieniło od brzegu.

Opowiadał Doman, jak biały ptak unosił się nad Piastuna głową, a czarne kruki nad Leszkami, jak wilkom i psom głodnym na noc zostawiono ciała... mówił, ustawał, a słuchająca ciżba wołała:

— Jeszcze, mów jeszcze... mów więcej!...

Późno w noc mógł zamilknąć Doman, a Bogom chcąc jeszcze złożyć obietę, do chramu poszedł, u ognia może spodziewając się zobaczyć dziewczę, która mu z oczów znikła. Ale tu jej już nie było. Stara Nania z siwymi włosami bacznie go tylko śledziła, nie ustępując i kroku.

Wyszedł więc Doman z chramu na łąkę i ciągnął ku brzegowi, aby się w czóźnie położyć, gdy za sobą szelest posłyszał.

Śmiejąc się szła za nim stara Jaruha. Widząc, że stanął i zwrócił się ku niej, zatrzymała się także, potrząsała głową.

— Ciągnie was tu... ciągnie... — mruknęła — oj, wiem ja, co! A com obiecała, pamiętacie... dotrzymam. Umiem zacząć i odczytać, paneczku... umiem...

— A cóżecie zaczęli dla mnie? — odparł Doman. — Dziewka tak ode mnie ucieka jak bywało!...

<sup>96</sup>poprawując — dziś: poprawiając. [przypis edytorski]



— Oj! oj! — zawołała stara — a tegoż to wy nie rozumiecie, że która ucieka, chce by ją goniono?

Zbliżyła się doń, oglądając dokoła, jakby się lękała być podsłuchaną, dłonią zasłoniła usta, a w ucho mu rzuciła.

— Już teraz, jak ją porwiecie, nie będzie się opierała... nie skaleczy.

— A jakże ja ją od chramu porwać mogę? — zapytał.

— Bywało i to... bywało! — rzekła Jaruha — popytajcie Wizuna. Zabierali mu stróżki kneziowie, brali je i kmiecie, a do chramu się okupywali.

Ledwie dokończywszy tych słów, Jaruha obejrzała się niby przelękną, palce położyła na ustach, płachtę zasunęła na czoło, skryła się w zarośla i znikła.

Doman zadumany powłókł się do czółna, legł w nim, ale sen przez całą noc oczów mu stulić nie chciał. Nade dniem wyrwał się niespokojny ku kontynie.

U słupa przy malowanym tynie z dala stojącą postrzegł Dziwę. Nie widziała go, głowę miała spuszczoną, ręce zwisłe i cicho śpiewała sobie:

— Latka moje, latka młode i piękna uroda poszły z wiatry, poszły z wodą, spłynęły jak woda.

Zakładajcie siwe konie, zakładajcie gniade, usiędę ja i pogonią lata moje młode.

I dognała młode lata na kaliny moście, wracajcie się mi ze świata, choćby do mnie w goście.

Coraz ciszej brzmiała stara ta dziewicza piosenka i rozplynęła się nuceniem tęsknym. Doman się zbliżał ostrożnie, niepostrzeżony, aż zakaszłał, aby nań zwróciła oczy.

I podniosła je, jakby się go tam spodziewała, zarumieniona nieco a smutna. Fartuszek przyłożyła do ust, wzrok się jej niby błękał, jakby go nie chciał spotykać, a nie uciekała.

Zbliżył się pozdrawiając ją wesoło.

— Gadkę bym wam powiedział — odezwał się — gdybyście jej posłuchać chcieli.

— Jakąż? — spytała.

— O was i o mnie — rzekł chłopak. — Co by to było, gdybym ja za was okup złożył, a was z Lednicy zabrał do mojej świetlicy? Noża bym nie miał u pasa... czym byście się wy bronili?

Zarumieniona Dziwa spuściła oczy, potrząsała głową.

— Nie może być, co nie może — odezwała się cicho — nie możecie wy tego!

— A jakby się stało?

Gdy Doman podniósł oczy odpowiedzi czekając, dziewczyny nie było u tynu, wcisnęła się do chramu, siadła na kamieniu, serce ręką cisnęła, na ognisko patrzyła, a poza siebie rzucała okiem strwożonym. Doman przez szparę między oponą a słupem, przyległszy blisko do ściany, patrzył na nią długo, potem w ręce uderzając odskoczył.

— Bywało to nieraz... stać się może teraz.. Nie pójdzie po dobrej woli, ale mi nie będzie krzywą... Bez niej mi żyć trudno...

W piersi się dłonią bił.

— Stanie się, co się stanie... muszę ją mieć, krwiąm ją moją zapłacić!

Zerwał się do czółna iść, nie patrząc już przed siebie, gdy silną dłonią Wizum go za ramię pochwycił.

— Co się ty wiesz i kręcisz?

— Jeszcze mi wczorajsza bitwa szumi w głowie... ot... i różne sprawy, o których nocą, gdym usnąć nie mógł, ludzie prawili. Prawda to stary, że kneziowie Leszkowie dziewczki od ognia porywali?

Wizun głową rzucił.

— Że się to i kmieciom trafiało? — dodał Doman.

Stary milczał i wyczekawszy rzekł ponuro.

— Żli ludzie źle robili... co za dziw? A tobie co po tym?

— A co im się stało za to? — pytał Doman.

Popatrzeli sobie w oczy. Wizun kijem bił w ziemię, patrzył po niebie i po słońcu.

— Tobie pora powracać — rzekł — nie czas baśnie prawić.

Odwrócił się i odszedł.

Zerwawszy liść z drzewa, Doman za nim popatrzył prawie szydersko.

Kobieta, Młodość,  
Przemijanie

W czólnie nań Sambor czekał. Płynęli więc na powrót w milczeniu oba, tylko się mierząc oczyma, a Doman w duchu powtarzał.

— Musi być moją!

## IX

Z dała już widać było, jak gromady trupy układały stosami i pagórki z nich rosły, które mogiłami pokrywano. Roili się tam ludzie, a choć praca smutną była, śpiewali pieśni, wznosili okrzyki.

— Gdzie odgróźki wasze, o rodzie zbójceki? gdzie wasze zwycięstwo i łupy a jeńce? garść ziemi na oczy, oszczep w piersi się tłoczy, to wasza zapłata... Żony stoją w progu, na powrót czekają, wypatrują oczy, wyplaczą źrenice. Wrócą wilkołakami krew ssać ze swych braci.

I sypali śpiewając mogiły, mieniając się cały dzień, sypali drugi, sypali trzeci, aż ziemia litościwa wszystkich pokryła. Na stosach poczesnych spalono Polan, których ciała osobno złożono.

Gdy pole oczyszczone zostało, a wiatr odniósł dymy ze zgliszczów, u brzegów jeziora zebrał Piastun wojewodów i starszyznę.

— Gdzie pierwsze zwycięstwo, tam będzie stolica, tam gród... takom rzekł, tak się stanie.

Ano jeszcze nie pora okopy sypać i drzewo zwozić, póki nasi nie powrócą pomstę wzięwszy.

Nie pora okopy sypać i drzewo w zręb kłaść, dopóki Leszków nie pobierzemy w niewolę, aby na nas sąsiadów nie zmawiali.

Niech gromady spoczną, niech dzidy nowe i oszczepy zasmolą...

Naszych nie widać od granicy, pójdziemy i my na Pomorze i na Leszki...

Wolę kneziowską przyjęto ochotnie, do oszczepów jęli się wszyscy. W chacie Mirszowej znowu naprędce skleconej z niedopalonych szczątków, gościł kneź-bartnik u starego zduna.

Stali tak dzień i dwa, a na trzeci wojewodowie przyszli się opowiedzieć, iż ludzie i oszczepy do pochodu gotowi. Czwartego rano ruszyć mieli.

We wszystkich ziemiach i gromadach z Leszków nie było nikogo, ani Bumir, ani żaden spowinowacony z nimi, na wojnę przeciw synom Chwostka ciągnąć nie chciał. Zostawiono ich w pokoju, krew swej krwi nie bije.

O świtaniu czwartej doby, gdy na obozowisku gwaro być poczynało, ze wzgórza od lasów ukazała się drużyna w kilkanaście koni. Bumir przodem jechał, a za nim Leszkowie.

Ścisnięci w kupkę posuwali się milczący, z pochmurnymi czołami, oczyma spuszczo-nymi, nie pozdrawiając nikogo. Nikt też ich słowem ni ręką nie witał. Obejrzawszy się wkoło, dojechali do chaty, przy której wojewodowie już na koniach stali. Tu zatrzymawszy się, zsiadli.

Czterej wojewodowie zmierz yli ich oczyma srogimi, ale Bumir też wzroku nie spuścił. Skinął na swoich i kołpaków nie zdejmując, weszli do chaty, w której Piastun za stołem siedział, chleb łamiąc czarny.

Stanęli przed nim rzędem, Bumir na przodzie.

— Znacie nas — rzekł. — Leszki jesteśmy, dawni jak wy na tej ziemi ojczyce.

— A dziś kmieci jeszcze starszych na tej ziemi ojczyców nieprzyjaciele — odrzekł Piastun.

Bumir tchnął ciężko.

— Nie mów tak — zaczął z dumą — krew naszą przelewaliście wy pierwsi.

— Nie, myśmy własną mścili — mówił Piastun spokojnie — przelewał ją Leszek, Pepelek stary i młody... napili się jej dużo nimeśmy ją pomścić mogli.

Bumir popatrzał na swoich.

— Gorzej niż krew, wy nam wiece nasze, zabory i swobody wziąć chcieliście, a tych my odebrać nie damy. Po ojcach to spuścizna.

— Piastunie — odezwał się Bumir porywczo — my do was idziem dziś nie z waśnią, nie z gniewem a żalami, ale z pokojem.

— Mówcie, z czym idziecie — rzekł kneź.

Trup, Wampir

Krew, Rodzina

— Pokój niesiemy i zgodę — ciągnął Bumir — mieściliśmy się od wieków na ziemi jednej, żyli z sobą i łączyli. Stało nam dla wszech powietrza, wody i chleba. Chcecie Leszków ród wytępić i wygubić do szczytu? Mówcie!

— Leszki nas z obcymi najężdżają — rzekł Piastun. — Poczęli sobie synowie Pepelka jak wrogi, wojujemy jak z wrogami.

— Ojca mścili i matkę, a krew rodzica świętą jest dla dzieci — mówił Bumir.

— Mają już dosyć tej, którą przelali? — spytał Piastun.

— My pokój niesiemy — powtórzył Bumir — pokój uczynimy i poprzysiężmy sobie na ogień święty, na „kamień w wodę”. Leszkowie i kmiecie niech żyją w zgodzie. Dajcie powrócić Pepelka synom i siedzieć na swej ziemi, i nam też wszystkim, co do ich rodu należym, mir<sup>97</sup> dajcie...

Zadumał się Piastun głęboko.

— A dlaczego wy prosicie za nich? — nie ci, co nam wprzód wojnę i niepokój nieśli?

— Przyjdą i oni — rzekł prędko Bumir.

— Niech przyjdą swobodnie — niech staną przede mną i starszyzną, i kmieciami, niech rzekną, czego chcą. Nie złożą się mir, damy im odejść całym. Dziś iść mieliśmy ku granicy — stoimy tu i czekać będziemy, jeżeli mir i zgoda z nimi przyjść mają.

Bumir ręki chciał na to, co mówił Piastun, i kneź mu rękę dał przy świadkach.

— Idźcie — rzekł — i przywieźcie ich.

Z tym odeszli Leszkowie w pokoju, na koń siedli i jechali wśród ludzi niezaczepiani ręką ni słowem.

Piastun za nimi wyszedł w podwórko ku wojewodom.

— Widzieliście ich — rzekł — zgodę nam przynoszą. Radźcie, co czynić mamy.

Szmer powstał między starszyzną i wojewodami.

Zapaleńszym wojny się chciało, innym kary srogiej na całym rodzie, niektórzy ani ich słowu, ani przysiędze wiary nie dawali.

Zasepiły się twarze na samą tę wzmiankę, aby wojsko od pochodu wstrzymać czekając na obozowisku.

Piastun po raz pierwszy spotkał się z ludźmi, co inaczej chcieli niż on poczynać — rzekł jednak spokojnie:

— Wstrzymamy pochód — a gdy przyjdą Leszkowie, radźcie wszyscy — ja słuchać będę i wybiorę, co słuszna.

Posłańców wnet rozpuszczono po obozie i ludzie znów przy ogniskach się pokladli, ale mruczało wielu. Z wojewodów żaden nie rad był zgodzie, Myszkowie jątrzyli przeciw Leszkom, zemsty się ich na sobie obawiając. Piastun milczał.

Dzień jeden i dwa, i trzy nikogo nie było, zwiększało się szemranie, wielu odzywało się, iż Leszkowie na czasie tylko zyskać chcieli i kłamstwem starego bartnika podeszli.

Kilku z wojewodów i starszyzn wyrzuty poczęli robić kneziowi, iż się dał oszukać, ale na to nie odpowiadał. Domagano się rozkazów do wystąpienia w pole, rzekł im krótko i spokojnie, że stać będą, póki on im iść nie każe.

Piątego poranku, już nie małeńka gromadka, ale orszak okazały Leszków, na drodze od lasu się ukazał. Nieśli stanice swoją z potworą smoczą nad głowami. Środkiem jechali Leszek i Pepelk dwaj bracia — odziani skromnie i bez oznak kneziowskich, za nimi Bumir i co było do krwi i rodu należącego. Ciągnęli tak poważnie, w milczeniu, ściśniętą ławą jedną aż pod chaty, tu stanęli gromadnie w milczeniu.

Z dała ich już ujrawszy Piastun wojewodów zwołał i starszyznę.

Sam wdział siermięgę starą, miecz tylko przepasawszy do boku.

A że do rady kołem zasiadać było potrzeba, kazał dla siebie jak panna młoda, na pamięć, że bartnikiem był, ul postawić wywrócony na siedzenie.

Wojewodowie zaś wdziali każdy z sukni i oręża, co kto najlepszego miał. Z dzidami w dłoni, w kółkach, opońcach, przy mieczach i obuchach, otoczyli knezia dokoła. Z obu stron nieufnie, długo niechętnymi mierzono się oczyma.

Leszkowie powoli podszedłszy stanęli, a Bumir przed nich do rozmowy wystąpił.

— Oto jesteśmy — zaczął — przychodzimy z mirem i zgodą.

---

<sup>97</sup>mir — tu: pokój. [przypis edytorski]

— Radźmy, jako je uczynić mamy — odparł Piastun — niechaj starszyzna daje swe głosy.

Jeszcze po sobie patrzali, gdy z drugiej strony, przez ciżbę nagromadzoną, która się temu widokowi przypatrywała ciekawie, przecisnęli się dwaj goście obcy, ci sami co już po trzykroć w stanowczych zjawiali się chwilach, zbliżając się z poszanowaniem do Piastuna.

Ten, ujrawszy ich, powstał z uly, na którym siedział, witać ich idąc. Zdumieni poczeli go pytać zaraz co to była za narada i zbiegowisko.

— Waśń to domowa dwu rodów na jednej ziemi siedzących — odezwał się kneź stary. — Dużo ona już nas krwi kosztowała. Dziś Leszkowie nam pokój niosą i zgodę, żądając miru i ręki.

— A wy? — zapytał gość młodszy.

— Starszyzna radzić będzie — wnijdźcie, usiędźcie, słuchajcie a głosy swe dajcie...

Szli tedy pobratymcy owi do koła, których gdy poznano i przypomniano, wszyscy ich uprzejmie witając cieszyli się z mężów onych do swej rady.

Odezwali się potem najgorętsi, którym słowo usta paliło, ze słowami groźby i wyrzutów przeciw Leszkom, ciskając im w oczy winę ojca i zarzucając, że znowu sobie panowanie przywłaszczają chcieli.

Niektórzy, szczególnie z Myszków, występowali gwałtownie, niepomiarkowanie, złość swą wywierając na nienawistny ród. Zaczęli jątrzyć a podpalać, twarze bladły i ręce drgały u mieczów, gdy wśród wrzawy młodszy z gości wstał i prosił, aby mu jako druhowi słowo rzec było wolno.

— Jesteśmy goście i przychodnie — rzekł — ale w waszej mowie wspólna wszystkim nam matka przemawia do wnętrzości każdego z nas. Mężowie zacni, uspokójcie serca wasze, podajcie sobie dłonie, przebaczone urazy, zapomnijcie krzywd, życie zgodnie. Sami mówicie, że szeroka ziemia wszystkim starczy i wykarmi. Macie wspólnych nieprzyjaciół obcej mowy i plemienia, przeciwko którym bronić się powinniście. Komuż na korzyść pójdą wasnie i walki, jeżeli nie wrogom, którzy z nich będą korzystać?

Nie lepiejże podać sobie dłonie? bronić wspólnymi siłami! Uczynicie pokój i zgodę, uczynicie!

Mówił tak długo i gorąco gość obcy, a choć zrazu starszyzna się burzyła i szemrała, miał taki dar trafiania do duszy, iż się ludzie z wolna uśmierzali, uspokajali, łagodnieli i z lica im już widać było, że się skłaniali do przejednania.

I rzekł Bolko Czarny pierwszy:

— Niechaj więc stanie zgoda i mir między nami, ale jakąż nam dacie załogę<sup>98</sup> i pewność, że dochowacie miru, gdy my go wam przyrzeczemy?

Dziadowie lub stryjowie niemieccy Pepelków, zmówią się jutro na nas, gdy lud rozpuścimy i wojnę nam wniosą...

— Siedzimy i my, a siedzieć będziemy rozbrojeni wśród was — odezwał się Bumir — głowy nasze każdego czasu są załogiem.

— Któż zaręczy — dodał Myszeko — że miasto braterstwa, którego żądacie dziś, jutro nie zapragniecie panowania?

— Uczynimy uroczystą przysięgę na „kamień w wodę” — odparł Bumir. — Cóż więcej dać możemy nad słowo, głowy i przysięgę?

Szły narady i powtarzały się głosy różne, a Piastun słuchał w milczeniu i goście obcy także, dopóki się nie przebrało słów i przypomnień gorzkich.

Natenczas wstał z kmiecia — kneź i rzekł.

— Idźmy więc do jeziora świętego, niech każdy z nas weźmie kamyk na znak przysięgi i rzuci go wobec bogów na dno wody, mówiąc, jak zwykli byli ojcowie nasi. „Jak kamień w wodę niech przepadną w niepamięć waśni i nieprzyjaźnie nasze”. Jak kamień w wodę!

— Jak kamień w wodę! — zawołali uroczysto Leszkowie wszyscy głosem jednym.

Wojewodowie i starszyzna milczała, lecz kneź spojrział na nich nakazująco i odezwał się, biorąc kamyk u nóg swoich.

— Idźmy wszyscy.

Ruszyli więc Leszkowie przodem, za nimi wojewodowie i Piastun ze starszyzną pochodem uroczystym nad brzeg jeziora, niosąc wszyscy kamyki w rękach — a przyszedłszy

<sup>98</sup>załoga a. załóg — tu: rękojmia. [przypis edytorski]

nad wodę, gdy kneź pierwszy kamień rzucił, cisnęli je wszyscy z okrzykiem wielkim i radosnym, którym się rozległa okolica.

Zaczęto potem dłonie sobie podawać i stała się chwila wesela, gdy poszła wieść po gromadach, że wojny nie będzie więcej, a zgoda i pokój panować mają u Polan, między Leszkami i kmieciami na dawnym zakonie<sup>99</sup> żyć mającymi po bratersku.

Synowie Chwostkowi, choć im bolesną i upokarzającą była ta zgoda, bo dawniej panując, dziś się kłaniać musieli i ulegać — przyjęli ją i milczeli. Inaczej ród by się ich wyrzekł cały.

Żywili też może jakąś nadzieję, iż rzeczy się później lepiej dla nich obrócą.

Legło wszystko, jak stało, obozem nad jeziorem, a czeladź posłano po dworach kmiecych, aby ze stad i komór, co potrzeba dla uczy wspólnej przywiozła.

Święto zgody razem i zakładziny grodu obchodzić miano. Pierwszego dnia czekali wszyscy w polu, szalasy i szatry<sup>100</sup> skleciwszy, drugiego dopiero uroczystość rozpocząć się miała. Ślano więc po gęślarzy i śpiewaków starych i wróżbitów, po Wizuna na Lednicę i ogień święty dla zapalenia pierwszego ogniska, po wodę ze źródła świętego. A gdy się to działo, jak po dwakroć wprzódy, i teraz znikli niepostrzeżeni goście obcy.

Nadszedł tedy dzień zakładzin grodu, a słońce wstało jasne i wesołe, aby mu przyświecać. Piast ze starszyzną, wojewodami, gęślarzami i wróżbitami wyciągnął w pole, gdzie starym obyczajem, parą wołów czarnych oborać miano granice przyszłego grodu.

Lecz stało się, że gdy o wszystkim zawczasu miano staranie, o wołach i pługu nie pamiętał nikt i teraz dopiero postrzeżono, iż ich brakło. Frasunek więc był wielki.

Wtem gdy się tak rozbiegają na wsze strony, oczyma szukając człowieka, co by zarządził na to, patrzą, na polu stoi beznamiętny pług nowy, parą wołów czarnych zaprzężony i czeka na pana, przewrócony do góry.

Przyszedł tedy doń ze śpiewającymi pieśni gęślarzami Piast i starszyzna, kmiecie z Leszkami pomieszani — ujął go w rękę, odwrócił, zapuścił w ziemię, a woły, jakby nań czekały tylko, iść poczęły wolnym krokiem, odwalając skibę czarną i lśniącą.

Wtem, jak owego dnia walki, dwa ptaki białe okazały się wysoko, lecąc nad głową orzącego, a dwa bociany z obu stron pługa idąc towarzyszyły mu, nie trwożąc się ani śpiewem, ani gromadami ludu. Szli wszyscy za pługiem Piastunowym i kneziowską pierwszą skibą, którą wyorawszy na staję, najstarszemu po sobie oddał kneź pług, rzekąc:

— Skiba moja pierwszą niech będzie, ale nie jedyną, niech się wszelka siła składa na gród i stolicę, niech każdy do pługa ręki przyłoży, aby robota była zgodną i silną.

— Łado! — wykrzyknęły gromady.

Wziął tedy najstarszy z wojewodów pług naprzód po kneziu, po nim drudzy, aż do ostatniego, dalej kto chciał i mógł się docisnąć, choć na chwilkę pługa dotykał. Tak oborano dokoła gród przyszły, zostawując<sup>101</sup> tylko miejsce jedno na wrota.

Na wzgórzu nad jeziorem zapalono ogień święty z Lednicy przyniesiony, gdzie już przywiezione podwaliny na przyszły dwór kneziowski złożone były. A było obyczajem prastarym, iż dla odegnania złych duchów ofiarę, domy, dwory i chaty zawsze „na głowy” zakładano. Komu na inną nie stało, koguta zabijał pod pierwszą belką.

I tu więc dwunastu jeńców niemieckich stało już pogotowiu dać głowy pod podwaliny, gdy ujrzano, iż w miejscu, które odkopano, leżała moc wielka ludzkich kości, co za najlepszą wróżbę ogłosił Wizun i życia jeńców nie potrzebowano, gdyż ofiarę sam los Kneźnu już przed laty zgotował.

Padły więc belki na to zgliszcze prastare i zrąb się zarysował na ziemi. W pośrodku jego już wystawiony był stół ręcznikami sztytami pokryty, chleb leżał na nim, aby go doma nie brakło. Gdy zrąb założony został i progi, a pierwszy człowiek miał je przestąpić, wpędzono przodem barana i tego u progu zabito na ofiarę, po czym wszedł bezpiecznie kneź, a za nim starszyzna. Zaczęto częstować wszystkich, ktokolwiek przyszedł, karmiono i pojono dzień cały i noc całą, przy śpiewaniu pieśni i radości wielkiej.

Nazajutrz gromady wojsk rozpuszczając zaczęto po dworach i chatach, odprawiać wojewodów z nimi, zostawując tylko małą część dla obrony nowego grodu i osoby nowego

Miasto

Dom, Ofiara, Obyczaj

<sup>99</sup>zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>szatry — namiot. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>zostawując — dziś: zostawiając. [przypis edytorski]

knezia. Szły one śpiewając po lasach i błogosławiąc pokój, który po najazdach i burzy zaświtał.

Okolo grodu natychmiast ludzie się krzątać zaczęli, wznosić szybko chaty i budować. Nie tylko dla knezia, ale dla drużyny jego stawały dwory nad Jeleniem<sup>102</sup> i poblizu zamku, tak że w oczach prawie rosła nowa osada, która już tu raz niegdyś wedle podań istnieć miała.

Piastun zaś, dopóki dwór dlań nie był skończony, w prostym szałasie przebywał, do starej swej chaty leśnej dojeżdżając niekiedy, po której tęsknił zawsze. Gdy wreszcie dach stanął i drzwi zawrzeć było można, a na ognisku naniecić ognia, przewieziono znad Gopła wszystkie mienie Piastunowe na gród nowy, aby pierwsze ubóstwo jego i prostota obyczaju, zawsze jemu i potomstwu przypominała, iż ze stanu kmiecego wyniesionym został.

Chociaż płaszcz kneziowski i czapkę włożył stary, w komorze swej, siermięgę wieszal, aby mógł na nią patrzeć, pod oknem malowanego dworu ul kazał postawić, aby mu jego barcie leśne przypominał. A na wiosnę stała się rzecz dziwna, bocian, który na chacie starej mieszkał, gniazdo na dworcu założył.

Syna też jedynego, Ziemowita, tak chował ojciec, aby obyczaju ziemiańskiego nie zapominał, i na równi z ubogimi mógł życie małym opędzać — pracy, głodu, znoju i zimna się nie lękając.

Pozostaje nam tylko dopowiedzieć o losach Domana i Dziwy, które się też wkrótce rozstrzygnęły.

Gdy się kmiecie po dworach rozjechali, a Doman też powrócił do siebie — chodził długo a myślał, co ma począć, aby albo z serca zbyć dziewczynę, albo ją znowu porwać i uwieść a w domu panią uczynić.

Dobek leżał jeszcze na Lednicy ze swą raną, powoli do zdrowia i sił przychodząc, zajrzeć więc do niego miał powód druh i nikt tym odwiedzinom dziwić się nie mógł. Lecz nie wybrał się sam. Najodważniejszych z czeladzi swojej dobrał kilku i kazał jechać z sobą.

Właśnie Kneźno i gród ściągnęły tam na brzegi znaczny napływ ludu, cieśli i robotnika, Piastun też dozierał, jak się osada wznosiła. Przybywszy więc tu, Doman znalazł więcej świadków, niż mu było potrzeba i musiał szukać brzegu dalej samotniejszego, skąd by na Lednicę popłynął.

Dobrano między wzgórzami jeziora Łachę, okrytą trzcinami i zaroślami, wśród których konie stanęły. Rybacy człon dostarczyli i Doman dnia jednego pod wieczór puścił się samoszost na Lednicę, ludziom wprzódy nakazawszy, co czynić mają.

Przybito w takim miejscu poza chramem, gdzie rzadko kto dopływał — i tu ludzie czółna w trawach wysokich pochowali, a Doman pieszo naprzód udał się do chaty Wizuna.

Ten, skoro go postrzegł, wstał ręce doń wyciągając, bo kochał zawsze wychowańca i radował mu się wielce. Nie wątpił też, iż przybył dla zobaczenia Dobka, który choć jeszcze dobrze nogą nie władał, na próg już mógł wyniść i o kiju się przechadzać.

Gdy się potem stary oddalił, Doman przyznał się przyjacielowi, z czym przybywał.

— Starego — rzekł — gdy powróci, zabawiajcie, a choćbyście krzyk jaki usłyszeli, starajcie się, aby rychło za mną pogonić nie mógł, dopóki łodzie moje nie odbiją od brzegu. Złożę okup do chramu za nią, jakiego zażądam — a wziąć ją muszę. Krwią ją sobie kupiłem.

Ponieważ ku wieczorowi się miało, szedł więc Doman do chramu, gdzie się Dziwę znaleźć spodziewał, bo najczęściej przy ogniu przesiadywała.

Tu jej nie było.

Wybiegł więc co rychlej, szukając u wnijscia okolo ogródka, niemal cały ostrów przetrząsając, a nie śmiejąc jednak nikogo zapytać o nią.

Już mrok padać zaczynał, gdy w końcu z dala postrzegł ją idącą nad brzegiem jeziora i pospieszył do niej Doman. Poznawszy go, chciała zrazu Dziwa przyspieszyć kroku, aby się z nim sam na sam nie spotykać, ale chłopak tak zręcznie zaszedł jej drogę, że mu się wymknąć nie mogła.

<sup>102</sup>Jeleni właśc. Jelonek — niewielkie jezioro w obrębie Gniezna. [przypis edytorski]

Wolała tedy stanąć, aby mu nie okazać, że się go lękała. Doman podszedł do niej, nie witając nawet, jakby ją wczoraj dopiero widział.

Złożyło się tak szczęśliwie, iż właśnie od miejsca tego nieopodal stały ukryte łodzie; przystąpiwszy więc Doman w milczeniu — myślał już tylko, jakby ją w tamtą pokierować stroną, aby nie obawiając się pogoni, mógł ją schwyciwszy do łodzi zanieść, nimby ludzie nadbiegli.

— Po Dobka przybyłem tu — odezwał się wesoło — ale on biedny, jeszcze się nie wylizal z rany. Żleście go tu pilnowali.

— Pilnował go stary Wizun, Nania i ja — odezwała się cicho Dziwa — ale ranę miał srogą, może od jadowitego oszczepu, która się długo goić nie chciała.

— Moja, choć na piersi, daleko się rychlej zamknęła! — rzekł Doman.

Dziwa oczy spuściła i zamilkła. On zbliżył się ku niej — zaczęła się więc cofać ku brzegowi i szli tak kilka kroków. Strach jakiś widocznie ją ogarniać zaczynał — oglądała się, czy kto nie nadejdzie i którędy by od niego uciec mogła. Tymczasem szła nad brzegiem, a on coraz przysuwał się bliżej.

O kilka kroków postrzegł Doman głowę jednego z ludzi swych, który ostrożnie podniósłszy się z sitowia, podglądał i słuchał — kto się zbliżał.

Dokoła jakoś pusto było i w chwili, gdy Dziwa, uniósłszy nieco fartuch, puścić się miała uciekać, Doman przyskoczył, porwał ją w pół, podniósł od ziemi, a choć krzyknęła, wołając ratunku, biegł z nią wprost do czołna swego.

Ludzie już gotowi czekali. Przez wodę rzucił się ku nim, niosąc ją na ramionach łamiącą ręce, skoczył do czołna, które przymocowane było do dwóch mających je ciągnąć za sobą — i kazał odbijać od brzegu.

Dziwa oczy zakrywszy płakała, ale się nie wyrывała Domanowi, upadła na dno łodzi, osłaniając twarz ze wstydu.

Pierwszy jej krzyk znac posłyszała Nania, gdyż wnet zjawiła się u brzegu, gdy już o mroku czołna ze trzciny i zarośli na czyste wody wypływały. Nie mogła dostrzec nic z dala, oprócz łodzi, które szybko uciekały. Stała więc słuchając i patrząc na próżno — gdy i stary Wizun, czegoś się domyślający może, nadążył.

Ten bystrym okiem wnet dopatrywał i odgadł, co się stało, i kij podniósł, grożąc do góry. Ale czołna pędziły, co starczyły wiosła i wkrótce znikły w mroku wieczora.

Nocą już Doman dowiózł narzeczoną do łądu. Płakała ciągle, milczała, ale się nie opierała temu, co za dolę i przeznaczenie swe uważała. Wiózł ją więc z sobą na koniu nie do własnego dworu, ale do chaty Wiszów, choć nic nie mówił jej o tym.

Z domu rodzicielskiego brać ją chciał, aby nie mówiono, że porwał dziewczkę, po rójniczemu. Gdy nad ranem, zza łez patrząc, ujrziała Dziwa znaną okolicę, usta jej się rozśmiały, zapłakane poweselały oczy. Spojrzeniem cichym podziękowała Domanowi.

Ranek był jesienny, chłodny, gdy u wrót zagrody stanęli.

Na podwórku u studni czerpała wodę Żywia i bratowe, we drzwiach Ludek sposobił się wyjść na łowy. Gdy ujrzeli nadjeżdżających i poznali Domana wiozącego niewiastę z twarzą zakrytą, wszyscy się ku nim rzucili.

Wtem Dziwa skoczyła na ziemię i zapomniawszy o wszystkim, ręce podnosząc witać zaczęła swoich rozrzewniona i szczęśliwa. Dwie siostry rzuciły się sobie na szyję z krzykiem radości — bratowe cisnęły się ją witać — brat biegł pytać, co się stało.

Doman zsiadał u wrót.

— Ludku, bracie — rzekł. — Siostrę wam odwożę, los mi ją przeznaczył, moją być musi, ale ją chcę mieć z rąk waszych i spod ojcowskiej strzechy. Sprawcie więc wesele i pobłogosławcie!

Dziwa twarz zarumienioną tuliła na siostry ramionach, płacząc i śmiejąc się razem. Ludek z drugim bratem, który wybiegł z chaty, w ręce klaskali.

Przyszły więc wprędce swaty, sproszono drużbów, przyjechał w królewskim orszaku pan młody, sprawiono wesele, na którym siedem dni goście jedli, pili, śpiewali, skakali i weselili się.

I ja tam byłem, miód, piwo piłem, bo każda stara baśń, tak się przecie kończyć powinna.

## DOPISEK. DZIEJOWE LEGENDY

Jak trudne są do opowiedzenia dzieje dziecięcego wieku człowieka, tak i pierwszych dni, tych tajemniczych, wzrostu i rozwijania się, które świadków, co by je wypowiedzieli, nie mają. Jak dziecko po przyjściu na świat rośnie olbrzymio i sił nabywa szybko, tak naród, wśród tych mroków pierwoytu, obdarzony jeszcze całą potęgą z kolebki wyniesioną, niepojętym sposobem kształtuje się do przyszłych swych losów.

Nic też trudniejszego, jak podnieść zasłonę okrywającą pierwociny bytu narodu. Te chwile mało po sobie pomników zostawiają i śladów. Analogia tylko, porównanie, pewne stałe prawa, którym byt ludzkości podlega, coś o tym pozwalają wnioskować.

Z rodzin urastają rody, plemiona, gminy, narody wreszcie, ale tajemniczy proces ten nie pozwala się dośledzić faktycznie i embriologia narodu pozostanie zawsze tylko prawdopodobieństwem i hipotezą.

Dzieje Słowian w ogólności długo są prawie nieprzebitą mgłą okryte, nie zna ich nikt, nikt o nich nie wspomina. W tej ciszy, wśród której pewne skazówki tylko, pewne cechy charakterystyczne widocznie się istnienia ich domyślać każą na tych samych ziemiach, na których później występują — rosną niezliczone plemiona jednej krwi i mowy; to nieznanne i ukryte, to fałszywie do innych zaliczane.

W Herodotowej Scytii czuć Słowiańszczyznę spowiniętą, widzimy ją tak samo daleko później zagarniętą Germanią Tacyta. Nie jest to bez znaczenia.

Gdy plemiona i narody inne dobijają się sławy i rozgłosu, Słowianie chcą spokoju i kryją się, w domowym ognisku znajdując wszystko, co ich życie stanowi.

Zupełnie zgodne z tym ich charakterem w przeszłości jest pierwsze zjawienie się w dziejach.

Posłuchajmy tego świadectwa o nich, które ma w sobie coś mistycznie przejmującego, gdy zważymy, że to jest *pierwsze* objawienie się Słowian światu.

Okolo roku 629 pisze Teofilakt Simokata<sup>103</sup>: „Następnego dnia zostało przez straż królewską schwytanych trzech mężów, rodem Słowian (Sklabenoj). Nie mieli oni przy sobie żadnego żelaza ani żadnej broni, ale nieśli w rękach gęśle, zresztą zaś niczego przy sobie nie mieli. Zatem król (cesarz grecki Maurycy) rozpytywał ich o narodzie i gdzie sobie obrał siedziby, i dlaczego uwijają się około rzymskich granic. Oni zaś odpowiedzieli, że są rodem Słowianie, że zamieszkali na krańcu Oceanu Zachodniego i że Chagan (chan Awarów<sup>104</sup>) aż do owych to stron wyprawił posły celem pozyskania posiłków wojennych, zasyłając władcom narodu liczne dary. Ci tedy władcy dary przyjęli, ale przymierza zawrzeć nie chcieli twierząc, iż uciążliwa im jest dalekość pochodni; i posłali tych właśnie teraz pojmanych do Chagana, żeby się przed nim uniewinnić. Jakoż w piętnastu miesiącach dokonali tej podróży. Ale Chagan, niepomny na prawo posłów, postanowił przeszkodzić ich pochodni do kraju. Oni zaś nasłuchawszy się o narodu rzymskiego — tak z bogactw jak z ludzkości — największej sławie (jak to śmiało rzec się godzi), skorzystali z dogodnej chwili i uszli do Tracji. Mówili dalej, że *chodzą z gęslami, gdyż nie przywykli przypasywać mieczów*, ponieważ kraj ich nie zna żelaza i pozwala im przeto żyć w pokoju i zgodzie, grają tedy na gęslach, nie umiając uderzać w trąby. Bo komu obca jest wojna, słuszna, mówili, ażeby taki podobał sobie w ćwiczeniach muzycznych. Słyszając to samowładca polubił naród i gościnnym przyjęciem zaszczylił ich, samych jednych z pomiędzy wszystkich barbarów, którzy się z nim zetknęli, a podziwiając ich wzrost i dorodność ciała, odesłał ich do Heraklei”.

W tak idealnym świetle zjawia się nam po raz pierwszy to plemię Słowian, niezające mieczów, z pieśnią i gęślą idące przez świat i życie do chana Awarów, na dwór cesarza Maurycego.

<sup>103</sup>Teofilakt Simokata (pierwsza poł. VII w. n.e.) — urodzony w Egipcie, sekretarz i prefekt w cesarstwie bizantyńskim za rządów Herakliusza I (610–641); historyk, autor ośmiotomowej *Historii*, opisującej panowanie cesarza Maurycego (ok. 539–602), który sprawował władzę w Bizancjum od 582 r. n.e. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>Awarowie — lud koczowniczy należący do grupy altajskiej, w VI w. z nad granicy Chin przeszedł do Europy, docierając na tereny dzisiejszych Węgier, skąd prowadził wyprawy łupieskie głównie przeciw Bizancjum; w IX w. pokonani przez Franków Awarowie znikli z kart dziejów. [przypis edytorski]



Ten sam charakter dawnej społeczności słowiańskiej, miłującej pokój i niewprawnej do wojny, potwierdza Jornandes<sup>105</sup>, pisząc o nich *armis disperiti*<sup>106</sup>.

W tej ciszy i przy tych śpiewach wyrabia się tam idealna jakaś społeczność, której instytucje później zetknięciem się z innymi narodami nadwerężone i zepsute, zdradzają właściwą i wielce rozwiniętą cywilizację. Im głębiej sięgamy w ten mityczny byt, tym idealniejszym się on przedstawia.

Wiara w jednego Boga, małżeństwo, czystość obyczajów, poszanowanie własności posunięte do tego stopnia, iż domy nie potrzebowały zamknięcia, gościnność nieograniczona, patriarchalne rządy<sup>107</sup> i organizacja gmin, i połączenie ich z sobą rodzajem federacji, wszystko to na dnie starej Słowiańszczyzny dotykalnie jest widoczne<sup>108</sup>. Wojny, potrzeba obrony od nieprzyjaciela, przypasanie oręża do boku, wciskanie się obcych pojęć i obyczaju, jak tylko wyszczerbiły ten cały w sobie organizm słowiański, natychmiast następuje proces rozkładu jego, psucie się i wyrabianie czegoś, co musi się stosować do bytu, do temperatury, jaka Słowiańszczyznę otacza. Zostają tylko szczątki dawnej organizacji, która postradawszy siłę samoistną do dalszego wyrabiania się, przechodzić musi przesilenie nowej metamorfozy.

Odosobnienie tylko, w jakim owi Słowianie z gęśłami żyli, dozwalało im zgodnie z ich naturą wyrabiać się i tworzyć sobie cywilizację własną, zetknięcie z obcymi zmienia warunki.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pierwsze chwile takiego przesilenia w narodowym organizmie są zawsze upadkiem i osłabieniem, abdykacją i chwilowym obłędem.

W całej walce Słowiańszczyzny, szczególnie z plemionami germańskimi, widzimy w niej zabytek starego organizmu — który nieprzyjaciele nawet wynoszą wysoko — i jako pierwszy skutek nowej cywilizacji: obozwładnienie, chorobę, upadek. Tracą oni to, co wyrobili w sobie sami, a nie mogą od razu przyswoić tego, co im w formie mało pojętej i do ich natury niezasosowanej przychodzi.

Ci ludzie gaśli, nieznający żelaza, przez długie wieki zdradzają w sobie swe pochodzenie, pozostają marzycielami, a dają się podbijać, zawojowywać i ujarzmić.

W późniejszych wiekach plemiona słowiańskie różne ulegają wpływom sąsiedztw rozmaitych, klimatu, warunków życia i kształtują się odrębnie. Słowiańszczyzna dzieli się na niezliczone nie narody, ale grupy drobne, które potrzeba obrony skupia w małe całości. Jest to właśnie ta epoka tajemnicza, w której się tworzą pierwiastki Lechię składające.

U tej drugiej kolebki Polski panuje ta sama ciemność, która okrywa początki Słowiańszczyzny. Tu i tam, podanie, legenda, to jest poezja stanowi materiał dziejowy. Drugim jest to, co się odgrzebuje z ziemi po mogiłach, choć tu epoką zabytków oznaczyć stanowczo bardzo trudno.

Prawie aż do tej chwili, gdy się Lechia ochrzczona ukazuje po raz pierwszy w walce i przymierzu z Germanami, nie mamy o niej tylko podania<sup>109</sup> ciemne.

Podania te nawet czerpać już dziś musimy nie u źródła, z ust ludu, który o nich zapomniał, ale z kart kronik, co je napisały niewiernie, starając się stworzyć coś pojęciem swojego wieku odpowiedniego<sup>110</sup>.

Godzą się na to wszyscy badacze nasi, iż podania o pierwotnych dziejach narodu są mieszaniną rozmaitego pochodzenia żywiołów, sklejonych w nieforemną całość. Można z nich jednak coś wydobyć, tak jak z grobowych szczątków...

Nie ma wątpliwości, iż dzieje Leszków, Popielów, podania o Wandzie, Krakusie itp. odnoszą się do pewnych zwrotów i stanowczych zmian w przeszłości narodu, a raczej

<sup>105</sup>Jornandes a. Jordanes — żyjący w VI w. n.e. urzędnik rzymski i historyk, znany przede wszystkim jako autor historii Gotów. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*armis disperiti* — w orężu niedoświadczeni. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*rządy patriarchalne* — tu: rządy oparte na władzy najstarszego z rodu, patriarchy. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*wszystko to na dnie starej Słowiańszczyzny (...) jest widoczne* — Ob[acz]. Prokopa [Prokop, Procopius (500–565)] — uczonec i historyk bizantyński, autor dzieł opisujących panowanie cesarza Justyniana I (483–565); Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>109</sup>*nie mamy o niej tylko podania* — nie mamy o niej żadnej innej informacji, jak tylko podania. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*odpowiedni* — tu: odpowiadający. [przypis edytorski]

części jego składowych, gdyż przed Piastem i jego potomstwem nie istnieje ani<sup>111</sup> pojęcie całości jakiegś państwowej. W głębi puszczy, w ciszy lasów, tworzą się dopiero małe grupy pierwotne, których połączenie ma stanowić późniejsze państwo Bolesławowskie<sup>112</sup>.

Kronikarze nie umieją nawet zrazu jednostajnie nazwać kraju, który z kolei Polanów, Lachów i Lechów przybiera imię. Gdy nagle za Mieszka i Bolesława, syna jego, występuje to państwo na karty dziejowe, pojmujemy łatwo, że to zjawienie się jego poprzedzić musiało wewnętrzne urabianie się, które mu dało siłę do życia.

Długosz<sup>113</sup>, który w piętnastym wieku według idei ówczesnych układał dzieje polskie, spisał i uporządkował podania poprzedzające epokę historyczną, równie swobodnie i bez krytyki, jak późniejsze przedstawił w świetle swojego czasu. Nie można mu tego mieć za złe, bo każdemu pokoleniu zdawać się musi, iż ono jest w posiadaniu prawdy wyłącznym.

Dla Długosza więc podanie najstarsze poczyna się od Lecha, od niego idzie nazwisko ziemi, Lechii i Lechitów. Wie jednak Długosz, że rozmaite plemiona spokrewnione z Lechitami, a raczej do nich należące, różnymi się imionami od miejscowości zwały.

Ten mityczny Lech Długosza schodzi bezdzietnie. Nie wiadomo właściwie kiedy istniał, jak długo ród jego panował, dosyć, że zgasł bezpotomnie.

Po tych pierwszych rządach monarchicznych, a raczej patriarchalnych ojca rodu i narodu, który rodziną rozrodzoną władał, następują rządy gminowładne<sup>114</sup> tak zwanych dwunastu wojewodów.

Podanie stawiające rządy patriarchalne w początku, a po nich ów rząd małych jednostek gminowładny, nie jest wcale w niezgodzie z naturą rzeczy. Takim porządkiem owszem musiał się odbywać ów proces tworzenia narodu. Dwunastu wojewodów, naczelników mirów, gmin itp. w wykładzie pragmatycznym<sup>115</sup> Długosza niewłaściwą przybierają fizjonomię<sup>116</sup>.

Wtrącony po nich Krak, który widocznie jest pochodzenia czeskiego, nie ma związku z legendą lechicką. Służy on w budowie podaniowych dziejów do związania Lechii ze słowiańszczyzną i charakter powieści o nim zupełnie jest odmienny. Miesza się w niej baśń ludowa słowiańska, potargany jakiś poemat stary, z wysiłkiem niedołącznym do historycznego oddechowania<sup>117</sup> epoki. Krak panuje zarazem Polanom i Czechom i zakłada Kraków, który pierwotne Gniezno wydziedzicza. Życie całe skupia się w tym mieście polsko-czeskim. Ale na Wawelu pod zamkiem, w jaskini zjawia się potwór niesłychanej wielkości bajeczny smok (*olophagus*<sup>118</sup>), który połyka bydłęta i trzody, i ludziom nie przepuszcza.

„Gdy zaś długim zmorzony głodem — pisze Długosz — nie znajdował przygodnej albo podrzuconej sobie pastwy, wtedy z dziką wściekłością, w dzień biały i na jawie, wypadając z łożyska i zionąc z paszczy przeraźliwe ryki, rzucał się na najroślejsze bydłęta, konie, woły zaprzężone do wozu lub do płużyny<sup>119</sup>, dusił je i dławił, niemniej srogi pożerca<sup>120</sup> ludzi, którzy łakomstwu jego ująć nie pośpieli<sup>121</sup>...”

Wszyscy mieszkańcy trwożą przejęci chcą opuszczać Kraków. Krak wpada na myśl nakarmienia potwora ścierwem wypełnionym siarką i próchnem, woskiem i żywicą, w które

<sup>111</sup>ani — tu: nawet. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>państwo Bolesławowskie — państwo Bolesława Chrobrego (967–1025), księcia Polski od 992 r., koronowanego w 1025 r. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>Długosz, Jan (1415–1480) — polski historyk, autor *Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae (Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego)* opisujących historię Polski od czasów legendarnych do r. 1480 i obejmujących także dokładny geograficzny i hydrograficzny opis ziem polskich; sekretarz biskupa Zbigniewa Oleśnickiego, kanonik krakowski od 1436 r., od 1480 r. arcybiskup lwowski; dyplomata, podróżował jako poseł do Rzymu, Czech i na Węgry, od 1467 r. wychowawca synów króla Kazimierza Jagiellończyka. Pochowany na Skałce. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>rządy gminowładne — rządy gmin, rządy demokratyczne. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>wykład pragmatyczny — tłumaczenie pewnych zjawisk mające na celu wyjaśnienie wewnętrznych zależności między poszczególnymi faktami, ich przyczyn oraz skutków; wykład (objaśnienie) praktyczne. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>fizjonomia — twarz, wygląd. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>oddechowanie — odznaczenie, wskazanie cech charakterystycznych. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>olophagus właśc. *holophagus* (z gr. *hólos*: cały, *phagus*: pożeracz) — calożerca, tj. pożerający zdobycz w całości. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>płużyna — pług. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>pożerca — dziś: pożeracz. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>pośpieć — zdążyć. [przypis edytorski]

niewielko zapuszczono ognia. Smok pożera łakomie rzuconą mu pastwę i płomieniem w trzech dręczony zdycha. Krak, wybawiwszy tym sposobem kraj od klęski, panuje wśród szczęśliwości i pokoju, a lud, po zgonie, wdzięczny sypie mu mogiłę na górze Lassocie pod Krakowem, taką właśnie, jak dawnym swym władcom pod starą Upsalą w Szwecji sypał naród na pamiątkę. Z tej to mogiły zrodzona jest legenda o Kraku. Dlaczego jedna ze trzech córek pozostałych po Kraku panuje potem oddzielnie w Czechach, podanie nie tłumaczy. Jest to znowu węzeł, który ma łączyć Kraka i Polskę ze słowiańszczyzną i legendą już posiadającą prawo obywatelstwa.

Z trzech córek Kraka widzimy tylko dwie występujące w podaniu. Libuszę i Wandę. Oprócz tego zostawia on dwu synów: Kraka i Lecha, których by można uważać za przedstawicieli dwóch później połączonych dzielnic, chrobackiej i lechickiej.

Zazdrosny Lech zgładza zdradziecko starszego brata Kraka, rąbie ciało jego na części i zasypuje piaskiem udając, jakoby go zwierz dziki rozszarpał na łowach. Panuje więc Lech oplakawszy lży fałszywymi brata, a nawet panowanie jego trwa lat wiele, ale w końcu zbrodnia się wydaje, znajdują jej dowody i Polacy strąconego ze stolicy skazują na wieczne wygnanie. Inna legenda opowiada, że wcale nieukarany, w zgryzotach sumienia, bezpotomnie dokonał żywota.

Bratobójstwo to, w pieśniach starych powtarzające się, ma charakter ludowej powieści. Godna uwagi, że w daleko późniejszej legendzie o żywocie św. Stanisława powtarza się to rozczwartowanie ciała na części.

Jako spadkobierczyni po bracie występuje córka Kraka Wanda, o której powieść utworzona, mimo późniejszych dodatków, ma cechy podania mogilnego i pierwotnie była pewnie utworem ludowym. Legenda ma w sobie tyle wdzięku, że nęciła już nieraz poetów, ale sprowadzenie tej powietrznej postaci na ziemię, zawsze ją umniejsza i odbiera jej urok, jaki ma w powieści ludu. Wanda nie chce znać męża, pragnie pozostać swobodną i panią swoich losów, dziewictwo swe ślubuje bogom. O granicę panujący książę Allemanów Rytogar, znakomity rodem i bogactwy, wysłał posły prosząc o rękę Wandy, która dziewosłęb<sup>122</sup> te z odmową odsyła. Rytogar nie mogąc ją skłonić inaczej do poślubienia, wkracza z ogromnym wojskiem w granice. Wanda staje na czele sił swoich i przyjmuje wyzwanie.

Jeszcze raz Rytogar stara się ją skłonić do zamełcia, a Długosz wie nawet, jak wymownie przemawiali jego posłowie i jak pięknie im odpowiadała królowa. Potem trąby dają hasło do boju, ale Niemcy przypatrzwszy się pięknej królowej, z zabobonnym strachem pierzchają przed tym zjawiskiem. Wanda zwycięża ich potęgą niewieściego, dziewiczego swojego wdzięku. Rytogar nie mogąc ich skłonić do bitwy, z rozpaczą, po pięknym monologu, sam się mieczem przebija. Wanda, z Niemcami zawarłszy przymierze, przez dni trzydzieści obchodzi zwycięstwo i dobrowolnie siebie na ofiarę bogom poświęca, rzucając się do Wisły. Zwłoki jej wydobyte z wody lud pogrzebie nad Dłubnią, o milę od Krakowa, sypiąc jej taką jak ojcu mogiłę.

W wyrobieniu kunsztownym powieści o Wandzie znać późniejsze czasy, mnogie szczegóły i upiększenia; niewątpliwie jednak jest to podanie stare, popsute tymi ozdobami misternymi, jakie mu narzucono.

Powracający po zgonie Wandy znowu wojewodowie, doskonale oznaczają, gdzie powieści wciśnięte zostały, powieści mogilne, które kronikarze z ust ludu wzięwszy, posłużyć się nimi chcieli do związania dziejów tych bajecznych z podaniami słowiańskimi, a mianowicie czeskimi.

W rozwoju narodu wracające gminowładne rządy wojewodów do rzeczywistości nas zbliżają. Na tle tej prawdy występuje znowu nie już chrobacko-czeska, ale lechicka powieść, niemniej wyglądająca podaniowo, jak poprzednie.

Napaści nieprzyjaciół — mówi podanie — Węgrów i Morawian, zmuszają Polanów do szukania sobie wodza. „Był naówczas — pisze Długosz — między Polakami rycerz dzielny, imieniem Przemyśl (imię jest lechicko-czeskie, a raczej starosłowiańskie), wyćwiczony w żołnierce i nad stan swój świadomy sztuki wojennej, a wyższy dowcipem i przemysłem niż znakomitym rodem, który oprócz tego dał się być poznać z poczciwością i wielu zacnych przymiotów, a stąd wielką miał u ludzi wziętość. Osobliwsze więc w ro-

<sup>122</sup>dziewosłęb — swat. [przypis edytorski]

dakach wzbudzał zaufanie, że z wrodzoną zdatnością łączył wprawę nabytą w licznych przygodach i bitwach. Ten postrzegłszy, że nieprzyjaciel poczynał sobie niedbale i nieostrożnie, wziął przed się zamiśl więcej dowcipny niż śmiały... Z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca kazał na wzgórzach przeciwnych obozom nieprzyjacielskim porozwieszać w wielkiej ilości błyszczadła (?) do szyszaków podobne, na które gdy uderzyły promienie słoneczne, nieprzyjaciele tak się przerazili, że czym prędzej za broń porwawszy, bez należnego szyku i porządku, bieżeli<sup>123</sup> ślepo i zapalczywie w tę stronę, gdzie mniemane świeciły helmy, chciwi nowego nad Polakami zwycięstwa”.

Długosz opisuje obszernie, jak Przemysław wwiódłszy tym sposobem nieprzyjaciela w zasadzkę, napadł nań i pobił. Za to szczęśliwe zwycięstwo Przemysław okrzyknięty jest królem i nazwany Leszkiem.

Cała ta powieść zdradza jakąś fabrykację potrzebną do połączenia znowu legendy z Leszkami i z Lechem pierwotnym.

Na dnie podania jest jakaś głucha tradycja. o panowaniu Lechów plemienia czy stanu nad krajem. Godna uwagi tylko, że tradycja o prostym pochodzeniu Przemysława wspomina i że poczucie narodowe ciągle podnosi zasługę nad krew, jak później w legendzie o Piaście.

Przemysław także jest ubogim żołnierzem, niewielkiego rodu. Ludowego tu pierwiastka nie czuć bardzo, raczej kronikarską robotę i niezbyt foremną.

Ten Przemysław Leszek zmiera znowu bezpotomny, przyszyty jest na tle gminowładztwa dwunastu wojewodów jak fantastyczna jakaś ozdoba, dla przypomnienia Leszków.

Następują wybory nowego króla (w czym już znać jagiellońskiej epoki Rzeczypospolitej natchnienie). Kandydaci do korony zjawiają się w wielkiej liczbie, rodzą się współzawodnictwa i niesnaski, wybór trudny, dla uniknięcia więc ich „po długich sporach (Długosz) zgodzono się dla skrócenia rozruchów na taki środek, aby obrano słup za metę, do której by wszyscy ubiegający się o panowanie, w pewnym oznaczonym czasie, na koniach różnej maści i różne mających odmiany, ścigali się rączym pędem w zawody, a kto w tym wyścigu pierwszy stanął u słupca, temu, bez względu na stan, lecz wskutek szybszego biegu, przyznać miano godność książęcą”. Wyścigi te miały się odbyć w pobliżu Krakowa nad Prądnikiem, na darnią pokrytej równinie. Sędziami miała być starszyzna wybrana ku temu. Przebiegły młodzieniec, *imieniem Leszek*, w nocy drogę ponatykał żelaznymi kolcami, które po wierzchu przysypał piaskiem, z boku dla siebie zostawiając sobie tylko wiadomą ścieżkę. Zdradę tę odkryli dwaj młodzi, którzy pieszo chcieli się zabawić biegając do mety — ale o tym nikomu znać nie dali. Wyścigi naznaczone zostały na dzień 15 października i ogromne tłumy ludu zebrały się na nie. Długosz powiada, że dla starszyzny urządzone były ławice, a widzowie, gorąco przejęci, wcześniej już zajmowali się wypadkiem gonitwy. Zaraz w początku konie innych zapaśników poranione padać zaczęły, gdy tymczasem Leszek, który oprócz tego *konia swojego podkuł*, wiadomą ścieżką pierwszy doścignął mety i za słup pochwycił.

Razem z nim wszakże pieszo i ów, co odkrył zdradę, wśród śmiechów powszechnych, doszedł do słupa. (Leszek miał jabłkowitego konia, o tym na pewno wie Długosz<sup>124</sup>). Zdrada i kolce wydały się, Leszka rozszarpano, a pieszy ów, skromny chłopak, został okrzyknięty.

Legenda, w której jest wzmianka o podkutym koniu, zdaje się wskazywać czasy, gdy już heraldycy ową tak pospolitą w herbach polskich podkowę, czuli się w obowiązku wytłumaczyć. Dziwnie niezręcznie ściąga się to wszystko do Leszków. Przemysław przewany jest Leszkiem, ten, który zdradą dobiega do słupa, Leszkiem się zowie i ów ubogi chłopak także otrzymuje to miano — „było bowiem — dodaje Długosz — w owym czasie powszechne i nadawano je książętom wysadzonym do rządów *jakoby miano godności*”. Ciekawa to tradycja o znaczeniu wyrazu, a równie zajmująca jest powieść Długosza, który charakterystykę kreśli Leszka tego z wielkimi szczegółami. Przyznaje mu przymioty nad-

<sup>123</sup>bieżyć — podążać, iść. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>o tym na pewno wie Długosz — Kraszewski zwraca uwagę na szczegóły, które podaje w swej kronice Długosz, a które, ubarwiając opowieść, muszą stanowić element dodany do przekazu tradycyjnego; trudno uwierzyć, żeby kolor konia czy przytoczone co do słowa długie przemówienia postaci należały do przekazu, raczej stanowią autorskie uzupełnienie spisującego ustne podania kronikarza. [przypis edytorski]

zwyczajne, rycerskie zdolności, zaprowadzenie ćwiczeń wojskowych, skromność obyczaju i stała pamięć swojego ubożego pochodzenia. „Często na zebraniach publicznych — pisze — gdy konieczność wymagała przybrania się w szaty książęce, dawną grubo tkaną kiereję<sup>125</sup> i przyodziewek lichey, w którym był wzięty na stolicę państwa, w miejscu najwidoczniejszym rozwiesić kazał, aby oczom jego obecne, przypominały mu pierwotnego stanu prostotę”. Nie zdaje się, że to wprost z bajki wyjęty szczegół o jakimś biedaku, o jednym z kilku braci, co skromnością swą na wywyższenie zasłużył?

Od tego to Leszka drugiego, przez syna jego, pochodził Popiel (Pompilius). Podanie mówi, iż był prawym synem Leszka III, z żony jego, a że oprócz niego z nałożnic dwudziestu, zostało po nim inne potomstwo, Bolesław, Kaźmirz, Władysław, Wratysław, Oddon, Barwin, Przybysław, Przemysław, Jaksza, Semian, Ziemowit, Ziemomysł, Bogdał, Spicygniew, Spycymir, Zbigniew, Sobiesław, Wizymir, Czestmir, Wisław.

Imiona te także zdają się być przez heraldyków dla wyvodu rodzin szlacheckich stworzone, co w Jaksie, Wizymirze, Barwinie i innych widocznie się czuć daje. Potomstwo miało się rozsiąść na Rugii, u Połabian, Obodrytów, Kaszubów itp.

Historia Popielów nader obszernie i z wielkimi szczegółami przez Długosza jest obrobiona. Zmusiła potrzeba przenieść już stolicę z Krakowa do Gniezna i kronikarz przechodzi tu, a raczej przeskakuje, znajdując naturalnym, że się okolice góryste przykrzyżyły Popielowi, a wreszcie i Gniezno także, skąd wynosi się do Kruszwicy. Po tym Popielu, który się nie wslawił niczym, następuje jeszcze jeden Popiel, którego dwudziestu stryjów (dwadzieścia plemion słowiańskich) osadzają na państwie.

Młody ów dziedzic wielkich przodków, okazuje zaraz za młodu jak najgorsze skłonności, a Długosz znowu charakteryzuje go jak najdobitniej mówiąc, że „gonił za nieprzyzwoitą zabawą i rozpustą, zajmował się urządzaniem biesiad, przeciągłych pijatyk, hulanki i tańców, rad pilnował wianeczków a nie broni”. Oprócz tego gnuśnym był do boju i zniewieściałym, za co go Chwostkiem, to jest nikczemną istotą przezwano. Ożeniono go z księżniczką niemieckiego rodu z sąsiedztwa, wielkiego pochodzenia, powabną, ale dumną i chciwą, która naturalnie męża opanowała. Przyjście na świat dwóch synów, Lecha i Popiela, wzmogło jeszcze jej znaczenie i przewagę...

Stryjowie na próżno starali się upadłego tak nisko synowca podźwignąć, nie wymogli na nim nic, a zjednali sobie nienawiść żony jego, która obawiając się, aby oni kiedy w miejsce jej synów nie doszli do rządów, namawiać męża zaczęła na zgładzenie ich ze świata. Długosz umieścił z tego powodu całą jej przemowę do męża wielce przekonywającą i dowodzącą, że koniecznie pozbyć się stryjów powinien.

Przebiegła niewiasta postawiła na swoim, Popiel udaje ciężką chorobę i stryjów do siebie zaprasza, a niby czując się bliskim zgonu, żąda, aby z nim razem stypę, to jest ucztę pogrzebową odbyli.

Udawane jęki i rozpacz nad jakoby już umierającym księciem, miały być tak rozrzewniające, że „nawet posągi spiżowe<sup>126</sup> zdobiące zamek królewski na tak rzewliwe płacze i narzekania *łzawym potem splotyły*”. Te posągi spiżowe na zamku Popiela są zaprawdę rzeczą osobliwą.

Odbyto więc ów jakiś obrzęd pogrzebowo-religijny, a potem zastawiono hojną biesiadę. Komedia owa choroby, rozpacz, polecenia pozostać mającej wdowy opiece stryjów, przeciąga się długo. „W ciągu tych rozmów — powiada Długosz, który układa powieść swą nie skąpiąc szczegółów — słońce poczęło blask swój usuwać z niebokręgu, a Popiel skończył już grę całą kuglarstwa, które przebiegła żona jego dla podejścia stryjów i panów wymyśliła. Stryjowie też i panowie dopełniwszy tego wszystkiego, co przy umierającym lub zmarłym księżęciu czynić się zwykło, czekali, według upewnienia o objawionym bogów wyroku ostatecznej zgonu chwili. Wtedy Popiel, na pożegnanie niby ze stryjami i starszą, każe przez sługi podać sobie miodu, aby przy ostatnim uścisku zatwierdzić spełnieniem czary umówione z nimi przymierze. Miał zaś puchar złocisty, przemyślną i pracowitą robotą ryty misternie, a podstawiony zręcznie przez królową, w którym napój acz w niewielkiej ilości podany, pienieł się i burzył tak, iż z połowy naczynia występują

<sup>125</sup>kieraja — opończa z kapturem. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>spiż — stop miedzi i cynku z dodatkiem cyny i ołowiu, odporny na korozję, przysłowiowo trwałe materiały, twardszy od żelaza; w starożytności stosowany do wyrobu broni, w średniowieczu przede wszystkim dzwonów, a następnie armat. [przypis edytorski]

z szumem do góry, po zdmuchnięciu piany opadał i wracał stopniami do równowagi, jak to widzimy na wrzącym ukropie, gdy się spod niego ogień usunie. Napój śmiertelny wsączony do tego pucharu podano najpierw królowi Popielowi, aby go pokosztował, a drudzy uważali za czysty i zdrowy. Król udaje, jakoby pił do obecnych panów, a zdmuchnąwszy pieniste belty, podnoszące się ze środka naczynia, wypróżnia je na pozór; rzeczywiście ani dotknął się usty, a tym mniej pokosztował napoju, pozostała zaś połowa, która mocną zaprawioną była trucizną, każdy z stryjów, dając pocałowanie królowi, spełniał po kolei”.

Przywieśliśmy<sup>127</sup> tu cały ten ustęp, aby o powieści Długosza dać wyobrażenie. Stryjowie szaleją z bólu i umierają, a Popiel śmierć tę ogłasza jako zasłużoną karę za zbrodnię knowaną przeciw bratankowi.

Zakazuje oprócz tego ciała ich chować, sam zaś dalej wiezie życie rozpustne, zastawia biesiady, zalewa się winem i wonnościami, upaja rozkoszą. Tymczasem z trupów stryjów, wylega się mnóstwo niesłychane myszy, które napadają Popiela i jego rodzinę „biesiadującego przy stole”. Służba na próżno je odpędzić się stara, kupami nachodzą, dniem i nocą nie dają im spoczynku, rzucają się nawet na odpędzające straże, przeciskają przez nałożone dla odstraszenia ich ogniska. Popiel chroni się na statku wśród jeziora, potem do „drewnianej wieży”, zewsząd wodą otoczonej, myszy płyną za łodzią, pędzą na wieżę, zjadają dzieci w oczach rodziców, potem żonę, na ostatek Popiela, którego tak na drobniuchne kawałeczki rozniosły, iż szczątku najmniejszego z niego nie zostało. Następuje pogrzeb reszty ciał stryjów i zwołanie zjazdu do Kruszwicy dla obioru nowego króla.

Zrodziły się tu ze współzawodnictw niezgody i zatargi, potworzyły stronnictwa. Nie chciano nikogo ze zohydzonej wybrać rodziny. Tymczasem sąsiedzi najazdami kraj trapiли.

W takim to położeniu kraju opatrność znowu nastęcza, jak w kilku poprzednich powieściach, człowieka niskiego, pospolitego stanu, dla uratowania go...

Piast, wedle opowiadania kronikarza, nazwany tym imieniem dla wzrostu niskiego i krępej a silnej budowy ciała — był człowiekiem prostych obyczajów i wrodzonej poczciwości, ubogim, żyjącym z kawałka roli, którą uprawiał. Żona jego, równie poczciwa, zwała się Rzepica. Mieli tylko jednego syna.

Jeszcze za życia Popiela raz dwaj nieznani pielgrzymi, na próżno prosząc o schronienie u księcia, gdy go im odmówiono, udali się do chaty Piasta. Tu ich gościnnie przyjęto, sądkiem miodu i utuczonym prosiakiem, które przygotowane były dla uraczenia sąsiadów zaproszonych na postrzyżyny syna. Uboga ta uczta, jak w Kanie galilejskiej stała się cudowną pomnożeniem za sprawą pielgrzymów napoju i mięsiwa. Synowi nadali oni imię Ziemowita. Długosz widzi w nich aniołów albo apostołów Jana i Pawła, gdyż sami, zapytani, mieli się tymi nazwać imionami.

Oznajmują oni Piastowi o przyszłym jego wyborze — i upewniają, że tłum zgłodniały zebranych na wiec nakarmi i napoi... To nakarmienie i napojenie... (wielce charakterystyczne, gdy się wspomni sejmy późniejsze) skłania umysły do wyboru uboższego Piasta... Wzbrania się on przyjąć władzy, aż nareszcie ulega wyraźnemu zrządzeniu opatrności.

Piast, jak ów Leszek, co suknię kazał rozwieszać swoją dla przypominania mu ubóstwa, wziął z sobą swoje chodaki z kory dębowej urobione, kazał je zachować w pałacu i wszystkim potomkom pokazywać, aby się wyrzekli pychy i próżności...

Na tym się kończą legendy poprzedzające dzieje pewniejsze u Długosza, legendy już u niego tak wypełnione, tak pełne drobnych rysów dobitnych, jak gdyby czerpane były z jakiego źródła prastarego, które z taką barwą je przechowało.

Trudno zaprawdę dziś oznaczyć, co kiedy do opowiadań ludu, służących im za tło i podstawę, przyrosło. W wielu epizodach widać heraldyczne przyrostki, powieści z czasów rycerskich, może Krzywoustego, w innych późniejszych jeszcze tkaniny, na ostatek rękę historyka, który upięknia, wypełnia, rozszerza, dramatyzuje te baśnie stare, a zarazem zaciera ich pierwotną prostotę.

Skuba, który Krakowi dopomógł do zatrucia smoka, Jaksza, stryj Popiela, są to postacie z legend herbowych pobrane. Powieści o wyścigach Leszka, o Przemysławie i hełmach, widocznie są już nowsze, same szczegóły w nich to poświadczają. Długosz, szukający znaczenia moralnego w tych opowiadaniach, nadaje im barwę, jaką mają całe jego dzieje.

<sup>127</sup>przywieść — tu: przytoczyć. [przypis edytorski]

Baśń u niego staje się historią budującą, wykazującą, że sprawiedliwość Boża ściga winnych, że kara nigdy nie mija występku, prędzej czy później, a cnota zostaje nagrodzona.

Całość tych legend, jak się z pierwszego wejrzenia na cały ich ciąg przekonać się łatwo, nader nieforemnie się składa. Usiłowanie połączenia ich z jakąś chronologią, z dziejami pewniejszymi innych państw, nie wytrzymuje najbardziej pobłażającej krytyki. Szczegóły niemal jedne powtarzają się kilkakrotnie, scena przenosi z Krakowa do Gniezna i z Gniezna do Krakowa bez widocznej przyczyny. Leszkowie znikają i wracają. Jawnym jest, że podanie o mogiłach Kraka i Wandy i czeskie tradycje zostały wszyte w miejscu dowolnym.

Pomimo to wszystko w legendach tych nie tylko imiona, ale główne rysy podań ludu jeszcze dziś są widoczne. Na próżno by tylko usiłował kto z tej tkaniny potarganej i sklezionej dowolnie, stworzyć ciągłe następstwo wypadków.

Leszkowie i ich panowanie, rząd gminowładny pierwotny, obalenie książęcej władzy Lechów przez kmieciów, których Piast przedstawia, są jedynymi jasnymi pozostałościami historycznymi, które mają znaczenie.

W tym wszystkim pełno jednak poezji, pełno pomysłów pięknych, na które się składały wieki, i wartość artystyczna tego płodu wyobraźni i natchnienia narodowego jest niezaprzeczoną. One są kwiatem tym wyrosłym na mogiłach, który coś przecie ma w sobie z ciała i ducha szczątków pokrytych nimi...

Koniec

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stara-basn-tom-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Stara baśń: powieść z IX wieku, tom III, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], Kraków 1876

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Żurek, Marta Niedziałkowska, Sekuła Aleksandra.

ISBN 978-83-288-0459-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).